



10061699

145

EDMUND JEZIERSKI

KSIĄŻĘ JÓZEF
PONIATOWSKI

WARSZAWA 1933

WYDAWNICTWO J. PRZEWORSKIEGO

Centrala Bibliotek Ruchomych
Wydz. Powiatowego
przy Inspektoracie Szkolnym
W CHELMIE

16. lwr.

~~775~~ 2583



929

9808/c

Złożono w drukarni „Litolit”, Warszawa,

Odbito w druk. „Grafia”, Warszawa.

W S T Ę P.

W plejadzie bohaterów polskich ogólnie czczonych i miłowanych przez naród, poczesne miejsce, tuż obok Kościuszki, zajmuje ks. Józef Poniatowski, będący uosobieniem honoru, bohaterstwa, męstwa i umiłowania Ojczyzny.

Poznać życie tego bohatera jest obowiązkiem każdego Polaka, a zwłaszcza młodzieży polskiej. Na przeszkodzie temu stał brak popularnie a źródłowo opracowanego życiorysu. Zadaniem tej pracy jest brak ten usunąć. Przy opracowaniu jej posługiwałem się następującymi źródłami:

Prof. Szymon Askenazy — Książę Józef Poniatowski.

Dr. Marjan Kukiel — Dzieje oręza polskiego.

Prof. August Sokołowski — Dzieje Polski.

Prof. Henryk Mościcki — Pozgonna cześć dla księcia Józefa,

Adam Wolański — Wojna polsko - rosyjska 1792 r., i inne.

Autor

I

Nie należał bynajmniej do magnackich, raczej z chudopachołków się wywodził, ród Poniatowskich, herbu Ciołek, który raptownie w zaraniu XVIII stulecia na widownię wypłynął, starając się wszelkimi sposobami zająć miejsce wśród rodów magnackich, choć nie mógł im ani majątnościami, ani splendorami koligacji, ani też dostojenstwem zajmowanych urzędów dorównać...

Ot, z szaraków, ponoć z podstarościch wywodzący się ród, co mu później też wielokrotnie wypominano, dopiero usilnymi zabiegami a staraniami imć pana kasztelana krakowskiego, Stanisława Poniatowskiego, przez małżeństwo z Czartoryską na pierwszy stopień magnaterji wprowadzony został, i dalej już miał się piąć wzwyż, aż do korony królewskiej...

Pan kasztelan krakowski, którego za protoplastę świetności rodu uważać należy, nie żałował bynajmniej ani trudów i zabiegów, nie przebieając w środkach, służąc naprzemian każdemu, kto był silniejszy, a więc i Karolowi Szwedzkiemu, i Stanisławowi Leszczyńskiemu, i Augustowi II i III Sasom,

którzy w czasach owych walnę o władzę nad Polską toczyli, byle tylko nadania i tytuły nowe zdobyć, byle tylko dojść do owych wyżyn upragnionych, o których marzył w ciągu wszystkich lat żywota swego.

Mimo wszystkich jednak wysiłków i zabiegów, nie pozostawił pan kasztelan dziatwie swej mienia zbyt wielkiego, a miał jej dość liczną gromadkę... Natomiast dał jej i wykształcenie odpowiednie i polor prawdziwie europejski, które stanowiły wówczas klucz do wszelakiej pomyślności, w ten sposób kładąc fundament do przyszłego wyniesienia rodu, o jakim nawet we snach nie marzył...

Boć jeden syn jego, Stanisław August, który dla nauki po świecie wędrując, na dworach królewskich i carskim, jako młody dyplomata bywając, nabrał tam wielkiej wiedzy, a dzięki możnej protekcji carycy Katarzyny II, zdobytej niezbyt godziwemi środkami, i królem został...

Drugi syn na stolcu prymasowskim, a więc równym królowi, zasiadł, inni wysokie godności w Rzeczypospolitej osiągnęli, a córki za magnatów za mąż wyszły...

Siódme dziecię pana kasztelana, syn Andrzej, przyszedł na świat w r. 1734 w Gdańsku, gdzie rodzic jego, jako stronnik naówczas Leszczyńskiego, po zdobyciu tego miasta przez wojska rosyjskie pod wodzą Münnicha, a po ucieczce króla Leszczyńskiego do Francji, przebywał...

Andrzej Poniatowski, po otrzymaniu w domu

starannego wykształcenia, został wyprawiony przez ojca zagranicę, gdzie też wstąpił na służbę do armji austriackiej, by tam dosługiwać się stopni i zaszczytów, a dorabiać mienia...

Z armją tą wziął udział w wojnie siedmioletniej i w pierwszym zaraz starciu z armją Fryderyka Wielkiego—Pruskiego pod Pragą, odniósł ranę ciężką i omal nie dostał się do niewoli...

Wyleczywszy się z ran, walczył dalej, a odznaczwszy się męstwem, awansował bardzo szybko i w niedługim czasie dosłużył się stopnia pułkownika i otrzymał order Marji Teresy...

Młody, piękny, waleczny, a przytem wykształcony i gładki w obojęściu pułkownik bez trudu zdobył serce córki magnackiego, choć niezbyt zamożnego rodu Kinskych, z linji hrabiowskiej, chlumeckiej, mile widzianej przez Habsburgów, niezbyt urodziwej przytem Heruli—Teresy, córki Leopolda, i wkrótce poślubił ją w dn. 6 marca 1760 r.

Młode małżeństwo osiadło w Wiedniu, w pałacu Kinskych, przy Herrengasse, a w rok potem urodziła się tam im córka, Marja Teresa, trzymaną do chrztu przez samą cesarzową Marję Teresę...

A w dwa lata potem, w dn. 7 maja 1763 r., o godz. 3 zrana, urodził się im syn, który na chrzcie świętym tegoż dnia w kościele Schottenkirche, otrzymał imię Józef.

Obrzędu chrztu dokonał ks. Lambert Gspoun, a

ojcem chrzestnym był wuj jego, pułkownik Józef Kinsky...

W rok po urodzeniu jego na ród Poniatowskich spadł splendor niemały. Stryj jego, starszy brat ojca, Stanisław August, stolnik litewski, dzięki przemożnej opiece i protekcji carycy Rosji, Katarzyny II, obrany został królem polskim...

A że w sprawach, gdy szło o splendor rodu, bracia trzymali się solidarnie, pracował nad tem gorliwie i Andrzej Poniatowski, czerpiąc bez skrupułów na związane z tem wydatki ze skarbca ambasadora Rosji, Repnina, zyskując poparcie swej monarchini, cesarzowej Marji Teresy, i nie wahając się na czele obcych zastępów rozbijać rodaków, należących do opozycji...

Pomimo jednak czynnego udziału w elekcji króla, uwieńczonej takim powodzeniem, pan starosta rycki i generał austriacki, Andrzej Poniatowski, nie powrócił do Polski, natomiast obdarzony został wraz z całą rodziną Poniatowskich na sejmie koronacyjnym warszawskim dziedzicznym tytułem książąt polskich...

Pozostał w dalszym ciągu w Austrii, dalszą karierę swoją opierając na służbie cesarskiej, dorabiając się tam nietyle fortuny, ile wysokich zaszczytów i urzędów. I tak od Marji Teresy otrzymał tytuł książęcy czeski, urząd inspektora piechoty, oraz feldcechmistrza armji austriackiej...

Młody ks. Józef od lat dziecinnych wychowywał

się w środowisku obcem, dalekiem od polskości, gdyż rodzic jego, zaustrzaczony zupełnie, oprócz tytułu starosty ryckiego, odrzucił dla kariery wszystko co polskie precz od siebie, a matka, ziemczona czeska, nie wiele mogła mu o Polsce powiedzieć...

Zdawało się, że w tem otoczeniu zatraci młody ks. Józef wszystko, co go z Polską łączyć mogło, że pójdzie w ślady ojca i wysługiwać się będzie Austrii, gdy naraz zaszła zmiana...

W r. 1773, gdy ks. Józef liczył lat dziesięć, raził go cios dotkliwy... Ojciec jego, nieodznaczający się nigdy zbyt silnem zdrowiem, a przy tem opanowany ciężką chorobą piersiową, zapadł nagle na chorobę płuc i wkrótce potem zmarł. Zwłoki jego pochowane zostały w katedrze św. Szczepana w Wiedniu...

Wychowaniem ks. Józefa zajęła się matka, przebywająca to w Wiedniu, to w Pradze. Nie było ono zbyt korzystnem dla młodego chłopca, gdyż matka jego, osoba schorowana, zdziwaczała, unikająca towarzystwa ludzi, a przytem przeczulona na punkcie miłości dla syna, nie potrafiła nadać mu właściwego kierunku...

Szczęście całe, iż sprawą tą zajął się stryj chłopca, król Stanisław August, miłujący go bardzo gorąco i głęboko...

Przedewszystkiem zajął się on uregulowaniem spraw majątkowych bratanka, gdyż sukcesja, pozostała po ojcu jego, nie była zbyt wielką, a matka również pochodziła z rodu, który poza świetnością,

nie opływał w dostatki, tak, że dochód z połączonych dóbr nie pozwalał na prowadzenie życia na stopie, odpowiadającej godności książęcej i wysokim kolidacjom...

W tym celu przeznaczył mu cały szereg starostw i majątności, z których dochód miał ułatwić mu życie....

Lecz ważniejszym nad to było, że zajął się w zupełności fizycznem i umysłowem wykształceniem księcia, przyczem pierwsze, ze względu na zręczność i żywość chłopca, szło znacznie łatwiej od drugiego. Gdy młody ks. Józef, pomimo wielkich zdolności umysłowych, nie kwapił się zbytnio do nauk książkowych i dopiero przynaglony, odrabiał zadane mu lekcje.

Dobrał król dla niego wychowawców, przeważnie cudzoziemców, a więc Niemiec Königsfeld zajmował się ćwiczeniami ciała i nauką jazdy konnej, Francuz Heunequin udzielał mu nauk książkowych, a Anglik Plunkett, głośny później generał i dyplomata, wykładał mu sztukę wojskową i miał ogólny nadzór.

Nie było ani jednego Polaka w tem gronie mistrzów ks. Józefa, lecz byli oni w najbliższem otoczeniu jego, i od nich to nauczył się on mówić dobrze po polsku i pisać, choć z błędami.

Na tę naukę polskiego kładł silny nacisk król, który nie chciał za żadną cenę dopuścić do zaustrzajenia lub zniemczenia synowca, prawiąc mu sam

o Polsce, sprowadzając do Polski i wskazując przyszłe powołanie i czekające go zadania.

Dziwnym wogóle był ten stosunek króla Stanisława Augusta do synowca. Najlepiej scharakteryzował go prof. Sz. Askenazy w dziele swem o ks. Józefie:

„Miało w sobie coś całkiem wyjątkowego, coś wzruszającego i zasmucającego zarazem, to szczególniejsze, niczem rodzonego ojca, tak głębokie, czujne, nie słabnące, owszem z biegiem lat coraz żywsze przywiązanie Stanisława Augusta do tego właśnie synowca, do ukochanego Pepi. Ani dzieci własnych, ani nikogo właśnie tak, na ten sposób, król nie kochał. Wprawdzie i dla drugiego, starszego swego synowca, ks. Stanisława, bywał również hojny, albo bodaj hojniejszy jeszcze, skoro nawet po sobie przeznaczał mu koronę; — lecz czynił to, wiedząc dobrze, co był wart ten kandydat, powodując się racją polityczną i obowiązkiem familijnym. Względem ks. Józefa powodował się zgola czem innym. Tutaj szedł za popędem serca, a zarazem za mimowolną i nieodpartą reakcją niespokojnego sumienia. W tym świetnym młodzieńcu on kochał nie tylko krew swoją, ale samego siebie, takim, jakim byłby chciał być, a jakim nie został. Widział go, wstępującego w życie, z impetem, z blaskiem, jak sam był przychodził ongi, w swojej dobie wiosennej; widział w nim swoją własną młodość górną, tak już teraz daleką, niemilosiernie ściętą szronem kłesk

męskich i mrozem beznadziejności starczej, a niestety, skalaną także, sponiewieraną przez własną ciężką winę. Takim, jak ten synowiec, młody, piękny, ubóstwiany, — † on był niegdyś, ale nie był nigdy takim, jakim był nadto ten młodzieniec szlachetny, rycerski, ofiarny, czysty. Kochał w nim stary król to połączenie swoich błyskotliwych zalet i swoich nieodżałowanych braków; kochał tego niedościgniętego dla siebie ducha prawości, bohaterstwa, poświęcenia, którego nigdy sam osiąść nie umiał, i ten honor, który sam utracił. W jego osobie on jakgdyby brał odwet za samego siebie, jakgdyby zasłaniał się przed ścigającą go samowiedzą moralną. A nieszcześliwy, słaby do końca w swojej topieli, będzie też usiłował zasłaniać się jego osobą przed groźbą realną i swoje przywiązanie i dobrodziejstwa drogo opłacić mu każe.“

Troskliwość też swoją posuwał król tak daleko, że polecił przesyłać sobie szczegółowe relacje z postępów jego w naukach, ba, o wszystkich czynnościach jego, a nawet jego sprawozdania piśmienne z dzieł przeczytanych, przyczem o wszystkim przesyłał mu swój sąd.

Co roku też nieomal, poczynając od r. 1778, sprowadzał go do siebie do Warszawy, wprowadzając do kół dworskich, a nawet wyprawiając go na Litwę do majątku rodzinnego, ażeby się tam zapoznał z interesami i stosunkami miejscowymi...

W r. 1777 ks. Józef w czasie manewrów pod

Pragą został przedstawiony cesarzowi austriackiemu, Józefowi II, któremu spodobał się bardzo ze względu na piękną a szlachetną postać.

Poczęto też wpływać na niego, zwłaszcza ze strony rodziny matki, nie bez ubocznego nacisku cesarza, ażeby wstąpił do służby wojskowej austriackiej.

Sprawa ta jednak nie była tak prostą, jak się napozór wydawało. Rząd austriacki, po pierwszym podziale Rzeczypospolitej, wszelkimi sposobami starał się nakłonić do służby wojskowej polską młodzież szlachecką i wielkopańską... Wstąpienie do tego wojska synowca króla polskiego, ks. Józefa Poniatowskiego, stałoby się magnesem przyciągającym... Lecz właśnie te względy wywołały potrzebę uzyskania pozwolenia królewskiego.

Po pewnem wahaniu zgodził się król, lecz postawił następujące warunki: książę wstępuje do wojska austriackiego jedynie czasowo, dla tem lepszego wyćwiczenia się na wypadek, jeśli zajdzie potrzeba służenia własnej Ojczyźnie; że w takim wypadku na pierwsze wezwanie z pod obcego sztandaru pod ojczysty się stawia; że narazie regularnie za urlopami do kraju zjeżdżać będzie; że nie wstąpi do korpusu gwardji szlacheckiej galicyjskiej, sformowanej w świadomych, wynaradawiających celach politycznych i wyobrażających niejako ze strony tamecznego społeczeństwa dobrowolną sankcję podziału, lecz do jakiego zwyczajnego dobrego pułku jazdy, przy-



czem będzie się starał niezależnie od służby kawaleryjskiej, nabyć dokładnej znajomości innych także rodzajów broni...

Przyjął te wszystkie warunki ks. Józef i w początkach lutego 1780 r. zaliczony został do armji austriackiej skutkiem „całkiem szczególnej łaski Najwyższej“, na mocy odrębnego pisma cesarza, w wykonaniu woli cesarzowej Marji Teresy.

Pierwszym stopniem służbowym jego było podporucznikostwo w II regimencie karabinierów im. arcyks. Franciszka Toskańskiego, późniejszego cesarza, konsystującego w okolicach Pragi. Pierwszym wodzem jego, oraz kierownikiem militarnym, był sędziwy feldmarszałek Lacy.

A wkrótce potem, gdyż w r. 1781, dzięki sumienności służbowej, a przytem osobistej pamięci cesarza, pismem odręcznym tegoż, awansował nadliczbowo na rotmistrza en second, następnie w styczniu 1782 r. — na dowódcę szwadronu, a we wrześniu 1784 r. — na majora.

W służbie wojskowej odznaczał się brawurą rycerską i wysokiem poczuciem honoru. One też wywołały ostry zatarg z kolegą z powodu obrazy pamięci ojca. A nadmierna brawura popchnęła go w lipcu 1784 r. do zakładu, że przepłynie w pełnym rynsztunku na osiodłanym koniu wezbraną i szeroko rozlaną od deszczów rzekę Łabę, co też wykonał.

Dzięki brawurze też, mimo że był świetnym jeź-

dźcem, w zimie t. r. skutkiem upadku z konia złamał nogę, lecz wkrótce wyleczył się z tego. W końcu roku 1784 przeznaczony został do Lwowa, do formowanych tam dywizjonów ułańskich, gdzie objął dowództwo nad żołnierzem polskim.

Tam, w zagrabionych na Polsce dzielnicach, gdy mu rozkazano formować ułanów na usługi obcej potęgi, gdy musiał przebywać w niedawno od kraju oderwanej Galicji, poczuł się Polakiem i pisał do króla, że chciałby tak w przyszłości na własnej ziemi dowodzić, co gdy nastąpiło, wojna 1792 r. spotęgowała to uczucie i ustaliła na zawsze...

Awansował też w dalszym ciągu szybko, gdyż już w grudniu 1785 r., po wcieleniu jego dywizjonu do pułku szwoleżerów im. v. Levenehr, został drugim podpułkownikiem, a jesienią t. r. przeszedł do pułku szwoleżerów cesarskich im. Józefa II, najwyborowszego pułku armji austriackiej.

Tam zaprzyjaźnił się też z kapitanem Mackiem, cieszącym się sławą najzdolniejszego oficera. Od niego też pobierał naukę sztuki wojskowej. Niestety, wiedza Macka, oparta na starych tradycjach, jeszcze z czasów wojny siedmioletniej, miała przedewszystkiem pomścić się na nim samym, gdy zostawszy feldmarszałkiem bity był ze swoją rutyną przez rewolucjonistów wojskowych, Napoleona Bonaparte i jego generałów.

Lecz Mack okazał się dla ks. Józefa nietylko nauczycielem, ale i przyjacielem serdecznym, zwłaszcza

w czasie ciężkiej gorączki nerwowej, na jaką zapadł w tymże roku. a w czasie której pielęgnował go iek najstaranniej...

Zaledwie wyzdrowiał ks. Józef, gdy z polecenia króla Stanisława Augusta musiał podążyć do Berlina, gdzie został przedstawiony królowi Fryderykowi Wilhelmowi II.

Z radością przywitał go królewski stryj w Warszawie, obdarzając dwoma najwyższymi orderami polskimi, św. Stanisława i Orła Białego.

Po dłuższym tymczasem pobycie w Warszawie wrócił do Wiednia, lecz wkrótce, gdyż już w lutym 1787 r. nadeszło wezwanie królewskie, by czemprędzej przybył do Warszawy w nader ważnej sprawie...

Posłusznie podążył tam i dowiedział się, że ma towarzyszyć królowi w podróży na Ukrainę, do Kaniowa, na zjazd z carycą Katarzyną II, która, objężdżając swe zagrabione Polsce dziedziny południowe i mając spotkać się tam z cesarzem Józefem II celem zawarcia ważnych umów, wyraziła życzenie spotkania się z królem Stanisławem Augustem.

Jakie względy kierowały królem, kiedy wyraził żądanie, by synowiec towarzyszył mu w tej podróży, trudno wiedzieć. Być może, pragnął go przedstawić swej protektorce, by i dla niego zjednać jej względy w spełnieniu ukrytych rojeń o zapewnieniu mu dziedzictwa tronu.

Nudną wielce dla żywego i, pełnego energii młodzieńca była ta podróż w towarzystwie starzejącego

się króla i biskupa Adama Naruszewicza, w połączeniu przytem z wielce nudnym ceremonjałem przyjęć uroczystych po drodze.

Z zadowoleniem też przyjął polecenie królewskie, gdy po przybyciu do Kaniowa okazało się, że trzeba będzie tam zbyt długo czekać na carycę, ażeby podążyć do Kijowa na jej spotkanie...

Podążył tam i odrazu wpadł w wir licznych roszaków, spieszących do Kijowa ze złożeniem holdów i pozyskaniem łask wszechmocnej carycy.

Znalazł się tam w towarzystwie świetnym i błyszczącym, a powierzchownością swoją zjednał sobie wszystkich. Nawet stara już caryca Katarzyna II wyraziła się o nim, że przypomina jej króla Stanisława Augusta, ale takiego, jakim był przed dwudziestu laty.

Pomimo znacznego powodzenia, duszna atmosfera Kijowa, służalczość magnatów, pycha dygnitarzy moskiewskich, nużyły go i przejmowały wstrętem, i po miesiącu ciągłych zabaw, marzył o ucieczce stamtąd...

Zawarłszy szczerą przyjaźń z rówieśnikiem swoim, Francuzem, Karolem de Ligne, wymknął się z nim pewnej letniej nocy z Kijowa, wsiadłszy do łodzi, i Dnieprem popłynął do Kaniowa, skąd, nie czekając zupełnie na spotkanie króla z carycą, wrócił czemprędzej do swego regimentu na Morawy.

Karnawał 1788 był w Wiedniu bardzo wesoły, choć nad państwem austriackim wisiało ponure wi-

dmo wojny z Turcją, której tak pragnął cesarz Józef II.

Ks. Józef, mianowany w styczniu t. r. adjutantem przybocznym cesarza, brał w tych zabawach bardzo żywy udział, rozrywany przez damy, podbijający ich serca urodą swą i wdziękiem.

Wtedy też po raz pierwszy serce jego zabiło żywiej dla młodziutkiej, gdyż zaledwie dziewiętnastoletniej Karoliny Thun. Kochał się w niej na zabój, spędzał z nią dni całe na muzyce, śpiewach i rozmowie, i zdawało się już, że uczucie to stanie się trwałem, gdy naraz rozkaz cesarski powołał go na plac boju.

Żegnany łzami ukochanej, porwany zapalem bojowym, który brał górę nad uczuciem dla niej, stanął młody, gdyż zaledwie 25 letni pułkownik przy boku cesarza.

Spotkał go jednak zawód srogi, gdyż jako adjutant przykuty był do miejsca, podczas gdy rwał się do czynu, do starcia wręcz z przeciwnikiem...

Występował też coraz z nowymi projektami, które miały nareszcie wyrwać go z narzuconej mu bezczynności, rzucił nawet myśl uformowania wspólnie z de Ligne'ym oddziału ochotniczego w Galicji, na czele którego miał prowadzić walkę podjazdową przeciwko Turcji.

Zbudziła się w nim dusza polska przodków, przywykłych do harców z pohańcem... Projektowi jego

oparł się feldmarszałek de Lacy, który nie chciał pozbywać się tak zdolnego oficera.

Trwał więc przy boku cesarza z kilku oficerami przyjaciółmi, a gdy przyszło do oblężenia twierdzy tureckiej Sabacz, gdy w dniu 24 kwietnia 1788 r. przywiózł ochotnikom rozkaz Józefa II, by szli na wały, a gdy nie zdradzali ochoty ruszać do szturm, konia oddał luzakowi, i stanawszy na czele z pałaszem w ręku, szedł pierwszy na fosę...

Niemcy jednak nie chcieli naśladować go, a gdy najpierwszy przedostał się z kilku zaledwie ludźmi przez rów forteczny aż pod sam parapet, a przyjęty strzałami wręcz załogi, odniósł ciężką ranę kulą w udo,.. odbiegli go rannego z pola.

Z narażeniem życia wyniósł go z pod gradu kul szeregowiec Körner, z pochodzenia Kroat, który następnie pozostał już przy nim w charakterze wierne-go i oddanego sługi.

Rannego przewieziono natychmiast do lazaretu w Semlinie, gdzie otoczony nader troskliwą opieką lekarską, uratowany został od grożącego mu kalectwa.

Ocenił męstwo jego cesarz Józef II, i w listopadzie t. r. „w łaskawem uwzględnieniu wyświadczonych Nam i Domowi Naszemu, a i nadal spodziewanych wiernych, gorliwych i pożytecznych usług, zdobytego doświadczenia wojskowego, okazanej chwalebnej przed nieprzyjacielem odwagi i innych posiadanych dobrych zalet“ — mianowany został nad-

liczbowym drugim pułkownikiem szwoleżerów cesarskich.

Zaledwie z ran się wyleczywszy, zwrócił się z prośbą o udział w kampanji 1789 r. Uwzględnił prośbę jego cesarz i rozkazem z dn. 2 maja t. r. przeniósł go w drodze wyjątku w randze drugiego pułkownika do regimentu Modena armji czynnej na placu boju, gdy naraz nadeszło pismo króla Stanisława Augusta, wzywające go na służbę Ojczyźnie...

Na to wezwanie nie mógł pozostać głuchym ks. Józef...

II

Polska, po straszliwych przejściach rozbiorowych, wywołanych haniebną uległością większości magnatów i posłów sejmowych żądaniom zaborców, powoli dźwigać się zaczęła z upadku...

W narodzie całym powiał jakby inny duch, zbudziło się pragnienie odrodzenia, nabrania mocy, by ratować zagrożony byt państwa... Na czoło narodu wysunęli się gorący i rozumni patryjoci, którzy jedyny ratunek widzieli w zwiększeniu siły zbrojnej i wzroście oświaty.

W tym kierunku też szły prace sejmu, zwołanego w r. 1788 pod łaską marszałkowską Stanisława Małachowskiego.

Uchwały o wojsku stotysięcznym i konieczności wezwania oficerów polskich, w służbie obcej pozostających, były wyrazem tego.

Ks. Józef, który z całej siły bronił się przed udziałem w pracach sejmu, a zwłaszcza przed projektem czenia go z jakąś bogatą dziedziczką polską; w którego sercu nie wygasło jeszcze uczucie dla Karoliny Thun, z rozpaczą myślał o tem, że jednak

będzie musiał usłuchać rozkazu króla, z którego do-
brodziejstw jedynie istniał i żył.

Pisał też z rozpaczą w duszy w czasie swej re-
kowalencji:

„Cierpię, jestem nieszczęśliwy, życie mi
cięży, kiedy myślę o ofiarach tyrańskich, ja-
kich wymagają ode mnie.“

Jednocześnie wszakże zastrzegał się:

„Gdybym mógł przez swoje wiadomości woj-
skowe być w czemkolwiek użytecznym Oj-
czyźnie, gdybym w narażeniu życia mógł za-
chować jej prawa i przywileje, o wtedy nie
chcę spoczynku, pogody, wszystko poświęcę“...

Życzenie to spełniło się wkrótce...

W połowie czerwca otrzymał list od króla Sta-
nislawa Augusta, który mu pisał:

„Wczoraj posłowie i senatorowie, przez
sejm wyznaczeni do utworzenia projektu
o składzie wojska, żądali ode mnie publicznie
na sesji sejmowej, abym Cię odwołał do służ-
by Ojczyzny... Po tym publicznym kroku nie
mogę jak tylko oświadczyć ci życzenie i wolę
moją, abyś sam tu powrócił.“ —

„...Skoro zastanowisz się nad okolicznościami
i skoro cesarz wiedzieć o nich będzie, ani on,
ani nikt, ani ty sam nie znajdziesz powodów,

zwalniających Cię od najpierwszego twego o-
bowiązku, do którego Cię wzywam. Bóg dał Ci
się urodzić Polakiem, a sądzę, iżem Ci do-
wiódł, że Ci zastępuję ojca. Z tytułu jednego i
drugiego piszę do Ciebie i żądam, abyś się nam
powrócił, jak będzie można najprędzej przy-
zwoicie to uczynić“...

Na ten zew do służby Ojczyźnie, bez wahania
porzucił ks. Józef myśl o dalszej walce z Turkami i
natychmiast, w pierwszych dniach lipca, złożył ce-
sarzowi prośbę o dymisję...

Poparta przez pismo króla Stanisława Augusta
do cesarza Józefa II, została uwzględniona, lecz jed-
nocześnie, zgodnie z obowiązującymi przepisami, mu-
siał on złożyć t. zw. rewers dymisyjny, w którym
oświadczał formalnie, iż „nigdy nie będzie obcemu
mocarstwu służył przeciw Najdostojniejszemu domo-
wi austriackiemu“...

Choć to była tylko konieczna formalność, wyso-
kie pojęcie o honorze wojskowym, jakim przepojony
był ks. Józef, nie mogło się pogodzić z myślą, że jed-
nak kiedyś może być postawionym wobec koniecz-
ności albo złamania zobowiązań tego rewersu, albo
też nieposłuszeństwa w służbie Ojczyzny...

W obawie tego konfliktu obowiązku z honorem,
jednocześnie z podaniem o dymisję zwrócił się z pro-
śbą o zwrot tego rewersu, a więc i o „zwolnienie od
rzeczonych zobowiązań.“

Dymisję otrzymał szybko, gdyż już w kilka dni, lecz rewers na wyraźny rozkaz cesarski zatrzymany został.

Nie zaprzestał jednak ks. Józef zabiegów o wycofanie go, i wreszcie po wielu naleganiach i staraniach uzyskał to, że w kwietniu następnego roku zgodził się cesarz Józef na wydanie tego rewersu na ręce pośła polskiego w Wiedniu, Woyny.

W ten sposób wszystkie krępujące go więzy z Austrią zerwane zostały.

Spiesznie załatwiał wszystkie sprawy swoje w Wiedniu tak, że już w sierpniu 1789 r. stanął w Warszawie, a w dn. 3 października t. r. uchwałą sejmową mianowany został generałem - majorem wraz z Kościuszką i innymi.

Jednocześnie z tem został szefem gwardji pieszej koronnej i członkiem deputacji do ułożenia regulaminu wojskowego.

Znalazłszy się w nowem zgoła dla siebie środowisku, w którym do czasu tego bywał tylko przelotnym gościem, tak różnem przytem od Wiednia, gdzie był tylko jednym z wielu młodych a wytwornych oficerów, święcić zaczął nader łatwe tryumfy.

Synowiec króla, i to ulubiony, z natury rzeczy musiał zająć przodujące stanowisko wśród młodzieży męskiej, nietylko stolicy, a nadomiar przytem odznaczał się wybitną urodą i wytwornością, oraz opromieniony był sławą niedawnych bojów z Turkami...

Odnosił też łatwe zwycięstwa nie tyle może na

polu prac nad kształceniem i rozwojem nowotworzącej się armji, ile na parkietach salonów, w rozrywkach i zabawach...

Stawał się coraz bardziej popularnym wśród ludu warszawskiego ten młody, piękny książę, „Szarmancki“, jak go z uszczypliwą ironją nazwał w jednej ze swoich komedji Niemcewisz.

Goniły za nim przyjaźnie oczy mieszczuchów, a zwłaszcza mieszczanek, gdy mknął jak wichher przez ulice Warszawy w wysokim a modnym wówczas kabriolecie, zaprzężonym w cztery lub osiem ognistych koni, powożąc stojąco, podobny do młodego boga greckiego, mając przy boku dwóch przyjaciół swoich, przeważnie Wielhorskiego Michała, towarzysza broni z wojny tureckiej, oraz Tadeusza Kościuszkę, wślawionego udziałem w walkach o wolność Stanów Zjednoczonych Ameryki Półn., i wielce popularnego wśród ludu.

Krażyły też niezliczone opowieści na temat przygód romantycznych młodego księcia, a choć tylko część z nich prawdziwą była, wierzyli im wszyscy, a to znów dodawało mu uroku w oczach pięknych dam.

Wir zabaw, jaki spotkał w płoczej, idącej, co prawda za przykładem króla, Warszawie, wciągał go coraz bardziej, działając szkodliwie zarówno na zdrowie fizyczne, gdyż i tak był z natury wątły po ojcu, jak i na moralne, gdyż zniewieściał, zaczynał smakować w tem życiu, pełnem rozkoszy i swawoli, którego używał nad miarę może...

Lecz w tem szaleństwie nie zapomniał o obowiązku... On to wyrwał go z niego, uratował może przed zgubnemi następstwami...

Na wiosnę r. 1790 objął dowództwo dywizji IV brasławskiej, i udać się musiał do głównej kwatery swojej do Tulczyna.

Tam, na rozległych przestworzach Ukrainy, pod ożywczem wpływem powietrza, otrząsnął się z łatwością z czaru życia warszawskiego, i z zapałem zabrał się do umiłowanej pracy wojskowej...

Gorliwie zajął się ćwiczeniem powierzonych mu oddziałów, zwłaszcza kawalerji, którą szczerze umiłował, formował nowe oddziały, jak pułk kozaków granowskich, który stał się jego ulubionym oddziałem przybocznym. Objeżdżał miejsca rozlokowania wojsk, musztrował je, a tak się przejął tem zajęciem, że zupełnie wywietrzały mu z głowy tak niedawne tryumfy warszawskie.

Zbudził się w nim żołnierz i przyszły wódz, a choć przeszkodą znaczną był mu brak praktycznego i teoretycznego przygotowania, głęboką intuicją swoją chwycił w lot wszystko i przyswajał sobie.

Sam sobie zdawał dobrze sprawę z tego i bez żadnych osłonek przyznawał się do tego, pisząc np. latem 1790 r. do króla:

„Bardzo jest dla mnie pochlebne zaufanie, jakie we mnie pokładają, ale wyznaję, że mam

największą niespokojność co do sposobów, jakimi bym potrafił nie zawieść go... Może doszedłem do tego, że potrafię z dobrą wolą i rozumem pułk prowadzić w ogień, ale nie miałem czasu dojrzeć na generała komenderującego i pozyskać dość wiadomości i talentów na zapełnienie tak ważnego miejsca. Nie ludzę się wcale pod tym względem i z drżeniem czuję, jak wielkie zobowiązania mam wypełnić; nie śmiem odmówić stanowiska, jakie mi dają; oby okoliczności nie sprawdziły obaw moich. Użyję wszelkich sił, jakie mi niebo dało, aby rzeczy szły najmniej źle, ale aby one szły dobrze, na to potrzeba ludzi innej miary, niż ja jestem...“

Z okresu tego zasługuje na uwagę stosunek jego do podwładnego mu Tadeusza Kościuszki. Choć dzieliły ich znacznie różnice przekonań, wiek, oraz usposobienie, cenił go wielce, stanął z nim odrazu na stopie przyjacielskiego stosunku, i przy każdej sposobności, nietylko w korespondencji, ale i ustnie wychwalał jego zalety. Twierdził stale, że ten jego niepospolity zastępca „posiada wiele wiadomości i skromności i jest nadzwyczajnie kochany przez korpus, którym dowodzi.“

Kościuszcze też powierzył zastępstwo, gdy w listopadzie t. r., wezwany przez króla, podążył do Warszawy.

Wpadł tam odrazu w wir życia nietylko towarzyskiego, ale i politycznego.

W czasie tym grupa patryjotów, pod przewodnictwem Stanisława Małachowskiego, Ignacego Potockiego, Tadeusza Mostowskiego, ks. Hugona Kollątaja, Józefa Weyssenhoffa, Juljana Niemcewicza i innych, przy współudziale samego króla, opracowywała w tajemnicy wielkiej zasady nowej konstytucji, która w czyn zamieniona, wyprowadzić miała Polskę z dotychczasowego zamętu na nowe drogi odrodzenia i potęgi.

Wiedział o tych zamierzeniach ks. Józef, musiał wiedzieć, gdyż król przed umiłowanym synowcem nie miał żadnych tajemnic, i gdy przyszedł wiekopomny dzień 3 maja, jemu powierzono dowództwo nad wojskiem, asystującym przy dokonaniu tego zamachu stanu, a mającym bronić go przed wystąpieniami opozycji.

Bawił w Warszawie do lipca t. r., poczem wrócił do kwatery swej w Niemirowie, wioząc z sobą przyrzeczenie królewskie, że osobiście zjedzie do obozu...

A gdy król Stanisław August, z obawy niewygód, nie kwapił się z tem, przypominał mu to ciągle, a jednocześnie prosił o przysłanie mu przynajmniej kogoś z Sejmu, któryby dokonał zwiedzenia obozu, rewizji tego, co dokonano, oraz stwierdził istotne a naglące potrzeby wojska...

Tymczasem nad Rzeczpospolitą gromadziły się od Wschodu groźne chmury.

Caryca Katarzyna II, oburzona uchwaleniem Konstytucją 3 maja, szukając odwetu za czyn, który pomniejszył znacznie jej wpływy w Polsce, zgodziła się na projekt Potemkina, ażeby na Ukrainie zorganizować konfederację dyzunicką, na wzór Chmielnickiego, i w ten sposób zagarnąć województwa południowe z twierdzami Berdyczowem i Kamieńcem, a przez zabranie najurodzajniejszych ziem polskich nie dać Rzeczypospolitej możliwości utrzymania nawet 30.000 wojska, a jednocześnie ludzi ją nadzieją otrzymania Mołdawji w razie połączenia się z Rosją.

Gorliwych pomocników w tem niecnym dziele znalazła w Szczęsnym Potockim, hetmanie Rzewuskim, Branickim i innych, którzy, niezadowoleni ze stanu rzeczy w Polsce, a oddani gorąco Rosji, gotowi byli pójść na wszystko, byle nie dopuścić do utrwaleńa konstytucji 3 maja.

Stąd narodziła się ohydna Konfederacja Targowicka...

Potemkin, uzyskawszy zgodę carycy, mianowany przez nią atamanem kozaków ekaterynosławskich i czarnomorskich, posunął się z wojskami swemi aż do granicy Polski i w pobliżu wojsk polskich obozem się rozłożył.

Niemile patrzył ks. Józef na to sąsiedztwo, a gdy w początkach września 1791 r. Potemkin w sposób stanowczy zwrócił się do niego z żądaniem wydania dwóch aresztowanych dziesiętników kozackich, otrzy-

mał od ks. Józefa nader uprzejmą, lecz nie mniej stanowczą odmowę.

Na manewry, jakie we wrześniu i październiku t. r. odbyły się pod Braclawiem, król przysłał komisarza wojskowego, starostę brańskiego, Michała Starzyńskiego, uprzedzając synowca, wbrew jego woli, że „w ten sposób się urządzi, aby Sejm posłał do obozu kogoś takiego, który mógłby dobrem służyć świadectwem.“

Pan starosta brański uczynił zadość woli króla, dał opinię naogół dobrą, choć tylko piechota i artylerja, dowodzone i ćwiczone przez Kościuszkę, wykazały postęp, natomiast kawalerja na niskim stała poziomie.

Nadomiar na manewrach byli obecni w przebraniu cywilnem czterej oficerowie rosyjscy feldmarszałka Rumiancewa, o czym dowiedziano się zapóźno.

Po manewrach chciał ks. Józef zaraz wyjechać do Warszawy, lecz król nawet wstrzymywał go od tego z powodu grożącej wojny z Rosją.

Gdy jednak nagła śmierć Potemkina na jakiś czas to niebezpieczeństwo odsunęła, w listopadzie wyjechał do Warszawy, powierzając znów zastępstwo Kościuszcze, z którym w ożywionej a serdecznej korespondencji pozostawał...

Obecność jego w Warszawie, wobec zbliżającej się a nieuchronnej wojny z Rosją, była nawet konieczną ze względu na niezbędne zarządzenia natury wojskowej.

Otrzymał wtedy niezbyt przyjemną dla niego sukcesję po Szczęsnym Potockim w postaci awansu na generał-lejtenanta, którą to godność ten ostatni do czasu tego piastował.

Innym znów był dar, wyjednany wbrew jego woli od Rzeczypospolitej przez króla. Sejm wzamian za zrzeczenie się przez króla prawa patronatu w królewskich miastach, oprócz miast, oraz rozdawnictwa dwóch starostw, ofiarował temuż do jego dyspozycji na rzecz osoby przez niego obranej, intratę 100.000 zł. rocznie.

Mimo, że ks. Józef bronił się przed przyjęciem tego daru, tłumacząc królowi, że ma od Rzeczypospolitej awans, pobiera płacę za służbę i to mu wystarcza, król uparł się przy swoim i oświadczył na Sejmie:

— Rozumiem, że nie uchybię nikomu, gdy przypomnę, że mam bliskiego synowca, który jest nie obdarzony dotychczas, a który zagranicą starał się nabyć wiadomości, których teraz używa na usługi ojczyźnie. Ale na klęczkach byłem proszony od niego, aby jego imię nie było wymienione w prawie, gdyż mówił mi, że nie chce, aby imię jego w księdze prawa umieszczone było w taki sposób, iżby zdawało się, że nagroda uprzedziła zasługę...

To podeptanie uczuć rycerskich ks. Józefa przez króla, nie przyniosło mu żadnych korzyści, gdyż Tar-gowica uchwałę sejmową skasowała, a naraziła go tylko na niezbyt przyjemną dyskusję w Sejmie...

Doczekał się jeszcze ks. Józef w Warszawie wielce spóźnionej uchwały o niezwłocznem doprowadzeniu do skutku wojsk stutysięcznych, dotychczas będącej na papierze, poczem zaraz w maju 1792 r. wyjechał na Ukrainę, na wojnę z wkraczającą do Polski potężną armją rosyjską...



Zdawał sobie ks. Józef dobrze sprawę z całej odpowiedzialności ciężkiego zadania, jakie król na barki jego złożył.

Oświadczał wyraźnie królowi, że „mamy czem się bić, nie mamy czem wojować“, — gdyż wiedział dobrze, że jego słaba, zaledwie 20000 armja, złożona z młodego, niewyćwiczonego naleźycie i źle zaopatrzonego żołnierza nie zdoła stawiać oporu świetnie wyekwipowanej 60.000 armji rosyjskiej, prztem już zahartowanej w bojach w czasie wojny tureckiej...

Wiedział również dobrze, że wpływy Targowicy ogarniają cały teren, na którym będzie musiał walczyć, że macki jej sięgają do jego armji, wywołując niekarność, że wśród mas ludowych, rozagitowanych przez emisarjuszy moskiewskich, a pamiętających jeszcze niedawną hajdamaczyznę, spotka żywioł nie tylko niechętny, ale i wrogi...

Ten wrogi nastrój do własnego wojska zarówno szlachty, jak i chłopów odczuwał dotkliwie na własnej skórze, gdy dla jego żołnierzy brakło żywności, a wrogowi dostarczano ją w obfitości.

A nadomiar wszystkiego, co najważniejsze, dotkliwe braki w zaopatrzeniu wojska, o czym sam pisał do króla:

„Wielka część parku bez broni; kilka korpusów bez namiotów i polowych rekwizytów; kasy bez pieniędzy... broń od piechoty zła, kulbaki, ekwipaże końskie, lazarety niedopatrzone,... umundurowanie zaczęte, ale dla opóźnienia sukna niemal nigdzie nie ukończone“.

Niedziwota też, że w podobnych warunkach prosił króla, aby powierzył dowództwo jakiemu biegłszemu od niego obcemu wodzowi, ofiarując się chętnie pod nim służyć...

Lecz król nie ustąpił... wysyłał synowca na stracony posterunek, niewiadomo na co licząc, w każdym bądź razie nie na zwycięstwo...

A tymczasem, na terenie wojny sprawy przedstawiały się fatalnie.

Komisja wojskowa Sejmu zlekceważyła raporty Kościuszki, zastępującego ks. Józefa, z listopada 1791 r., o pułkach moskiewskich, rozpościerających się nad granicą, i zamiast szykować wojska i broń, obwarować punkty zagrożone, dopiero w dniu 3 lutego 1792 roku przesłała mu takie polecenie: „Komendy z luk ściągnąć i — korpus uformowawszy — granice Rzeczypospolitej ocalić, spokojność utrzymać, zamiary nieprzyjacielskie zniszczyć“...

Lecz jak i jakimi siłami miał tego dokonać, Komisja ani wspomniała...

Sam król wątpił jeszcze dn. 25 kwietnia w możliwość wojny, ks. Józefa zatrzymał do 7 maja w Warszawie, a ks. Wirtemberskiego, dowodzącego armją litewską, zobowiązał słowem w dn. 9 maja, że za tydzień wyjedzie do armji...

A tymczasem w dn. 18 maja 1792 r. nastąpiło wypowiedzenie wojny przez Rosję, a w dn. 19 maja granice Polskie przekroczyły dwie silne armje rosyjskie: ukraińską — Kachowskiego w sile 64.000 ludzi, i litewską — Kreczetnikowa w sile 32.000 ludzi.

Zastali oni wojsko polskie słabe, rozrzucone na znacznej przestrzeni, bez planu i przygotowania...

Armji Kachowskiego miał stawiać opór ks. Józef na czele 17.000 ludzi, armji Kreczetnikowa — ks. Wirtemberski na czele 10.000. ludzi.

Na froncie litewskim skutkiem zdrady ks. Wirtemberskiego, wróg posuwał się naprzód prawie bez boju i już w dn. 14 czerwca zajął Wilno.

Lepiej trochę sprawa przedstawiała się na Ukrainie.

Gdyby ks. Józef był wodzem doświadczonym, mógł nawet odnieść tam zwycięstwo, lecz, niestety, brakło go ks. Józefowi. Nie potrafił przytem opanować chaosu, który zakradł się do armji.

Ks. Józef, przybywszy późno do swojej kwatery w Tulczynie, nie mógł już skupić rozproszonych kor-

pusów i cofnął się do Pikowa, gdzie spotkał dywizję Kościuszki i Wielhorskiego...

Manewr ten był spóźniony, bo nieprzyjaciel tymczasem—przeszedłszy Dniestr pod Mohylowem i Soroką, a granicę suchą koło Olwiopola i od Kijowa — skoncentrował pod Litynem przeważne siły w liczbie 41.000 żołnierzy, którym ks. Józef nie odważył się stawić czoła...

Cofnąwszy się do Lubaru, zatrzymał się tu ks. Józef na dwutygodniowy wypoczynek.

Ztamtąd słał do króla do Warszawy gońców z prośbą o instrukcję, żeby mu „nikt nie zarzucić nie mógł, gdyż więcej jak samo życie niosę na ofiarę Waszej Królewskiej Mości i ojczyźnie mojej, bo honor i reputację“, błagał króla o posiłki „prośbą najmocniejszą, aby W. K. M. zlitował się nad moim biednym stanem, nad tą garstką żołnierza, o choczego wprawdzie, ale bardzo szczupłego; a w końcu zapewniał, że w razie niespełnienia tych próśb pozostaje mu „w ostateczności szukanie chyba tylko śmierci“.

W obozie pod Lubarem doszedł go niktzemny ordynans hetmana półnego Rzewuskiego, nakazujący wojskom koronnym łączyć się z Targowicą.

Odpowiedział na niego krótko i dobitnie, jak „żołnierz, przysięgły honor kochający i powinności swojej zadość czyniący“, „jak obywatel... człowiek poczciwy, nie ukrywający swych myśli, wzgardę dla podłych mający za правило“.

W obozie tym również doszła go wieść o ohyd-

nem traktowaniu jeńców polskich, wziętych do niewoli przez Moskali; wystosował wnet pismo do Kachowskiego, bardzo energiczne w tonie, grożąc represjami, a jednocześnie przesłał mu 500 dukatów na ich potrzeby...

Za ten czyn ludzki, dowodzący miłości, jaką żywił dla żołnierza, skarcił go król Stanisław August, nazywając czyn jego zbyt szlachetnym, gdyż i złota szkoda, i żołnierze łatwiej dadzą się brać do niewoli, gdy im wygodnie będzie w niewoli.

Z bezradności i bezczynności ks. Józefa pod Lubarem skorzystał wróg, ażeby szczupłe siły polskie ze wszystkich stron otoczyć.

Zamiar ten nie powiódł mu się wprawdzie, gdyż Poniatowski, spostrzegłszy wcześniej podejrzany ruch korpusu Lewanidowa, wysłał przeciwko niemu Kościuszkę i miał czas wycofać się z trudnej pozycji, ale kolumna Wielhorskiego, idąca w tylnej straży, poniosła klęskę na grobli boruszkowieckiej, skutkiem załamania się mostu, i straciła kilka dział wraz z kasą 13 pułku.

Ta trudna sytuacja doprowadziła ks. Józefa do takiej depresji duchowej, że nawet w dalszym odwrocie widział słabą szansę ratunku i tejże jeszcze nocy wysłał do króla raport rozpaczliwy o swojej sytuacji prawie bez wyjścia, podkreślony jeszcze w ustnych wyjaśnieniach, wysłańcowi na drogę przydał on.

Mimo to jednak weszło wojsko polskie spokoj-

nie już do Połonnego, które od połowy czerwca umacniał fortyfikacjami pułkownik inżynierji Sierakowski.

Gdy jednakże krótkość czasu nie pozwoliła wykończyć obwarowania, postanowiono na radzie wojennej opuścić i tę pozycję. Spaliwszy zatem magazyny, nagromadzone w Połonnem, i zagwoździwszy armaty, których nie można było uprowadzić, ruszyła armja do Szepełowki, gdzie zetknęła się z dywizją ks. Michała Lubomirskiego, stojącą w Zasławiu.

Tegoż samego dnia, 19 czerwca, ukazał się 8 tysięczny korpus Markowa i uderzył na arjergardę polską pod Zieleńcami.

W ten sposób wywiązała się niespodzianie bitwa, zakończona porażką Moskali.

Zwycięstwem tem był zaskoczony sam książę Józef, który przyznawał się z wrodzoną mu prawdomównością:

— Ten bój był bardziej przypadkowym spotkaniem się, niż wydaną własną bitwą.

W bitwie tej książę Józef okazał w całej pełni swe męstwo, prowadząc osobiście w najgorętszej chwili do boju zachwiany pułk Potockiego, dając w ten sposób przykład młodemu żołnierzowi, a jednocześnie zapominając o oględności wodza, dawał ujście swej brawurze żołnierskiej.

O tym czynie swoim nie wspomniał nawet w raportach, przesyłanych królowi, w których wychwalał zasługi podkomendnych swoich: Kościuszki, Mokrońskiego, Wielhorskiego i innych...

Dowiedział się jednak król o tem od osób trzecich, i zachwycony, a zarazem przerażony, pisał do niego:

„Życie Twoje jest koniecznie potrzebne i mnie i państwu... Zaklinam Cię, jeśli mnie kochasz, nie oddawaj się rozpaczy... Pamiętaj, że jesteś duszą armji, i jeśli ona utraci tę duszę, trupem się stanie...”

Zwycięstwo to podniosło księcia Józefa na duchu, pozwoliło otrząsnąć się z dotychczasowej depresji, a jednocześnie utworzyło silną więź między nim a wojskiem, więź, opartą na szacunku i zaufaniu wzajemnem...

Lecz brawura rycerska nie pokryła w ks. Józefie braków, jakie wykazał jako wódz. Nie wyzyskał zupełnie zwycięstwa, wypuścił Markowa, który mógł być z łatwością wzięty do niewoli, i zatrzymawszy się przez dwie godziny na pobojowisku, — w dalszym ciągu cofał się do Ostroga.

Prawda, miał na swe usprawiedliwienie to, że po bitwie wygranej znalazł zaledwie po dwanaście ładunków na działo, a w magazynach tylko na dwa dni żywności...

Ważniejszym jednak jeszcze tłumaczeniem było to, co pisał do króla w r. 1790:

„Uczyłem się przez lat 11 służby obcej, być posłusznym i wykonywać szybko i dokładnie

rozkazy, dawane mi przez starszych; może doszedłem do tego, że potrafię z dobrą wolą i rozumnie prowadzić pułk w ogień, ale nie miałem czasu dojrzeć na generała komenderującego i pozyskać dość wiadomości i talentów na zapelnienie tak ważnego miejsca.“

Po przybyciu też do Ostroga, zatrzymał się znów beczynnie na dziesięć dni, pozwalając Kachowskiemu zebrać rozproszone korpusy i na wojska polskie z przeważającymi siłami uderzyć...

Nie wolno jednak w tym wypadku całą odpowiedzialnością obciążać ks. Józefa... Pomimo braku doświadczenia potrafiłby on zdziałać znacznie więcej, lecz wszelkie ruchy jego paraliżowały sprzeczne rozkazy, nadsyłane z Warszawy przez króla, a przy których musiał ostygnąć zapał najgorętszy...

W chwili, gdy pod Zieleńcami oręż polski pierwsze swoje święcił tryumfy i gdy, korzystając z zapалу żołnierza i z połączenia się z dywizją Lubomirskiego, można było odważyć się na jakiś krok zaczepny, biegli adjutanci królewscy z Warszawy do ks. Józefa z poleceniem, by Kachowskiego prosił o zawieszenie broni.

Musiał się zdziwić niemało generał rosyjski tą propozycją Poniatowskiego.

Człowiek miernych zdolności, chwiejny w opinii, trudności znajdujący w każdej rzeczy, otoczony oficerami, o których Kościuszko, po pierwszej z nimi roz-

mowie, z pogardą się wyrażał, nie wiedział Kachowski, co miał wodzowi polskiemu odpowiedzieć i dopiero po naradzie z dyplomatycznym reprezentantem carycy, Bűchlerem, odrzucił zawieszenie broni, zabierając się równocześnie do ataku na obóz polski.

Silne położenie Ostroga jednak i dzielność artylerji polskiej udaremniły w pierwszym dniu usiłowania Moskali.

Nazajutrz zmienił Kachowski taktykę i zamiast od frontu starał się ruchami flankowymi obejść stanowisko polskie.

Kanonadą trwała do 12 w nocy, poczem ks. Józef dla braku amunicji cofać się zaczął, chociaż, w czasie dziesięciodniowego postoju pod Ostrogiem, mógł i powinien był przygotować się na przyjęcie nieprzyjaciela.

Ta sama historja nieomal powtórzyła się w kilka dni później pod Dubnem; naczelny wódz polski, nie widząc już dogodnej dla siebie pozycji, postanowił udać się na linję Bugu i bronić przez tę rzekę przepawy nieprzyjacielowi.

Pomimo olbrzymich błędów, jakie dotąd popełniono, pomimo nieszczęsnego systemu ciągłego cofania się, które żołnierza demoralizować musiało, nie było położenie armji polskiej rozpaczliwem.

Po lewym brzegu Bugu podawały sobie ręce wojska litewskie i koronne, razem z dywizją rezerwową gen. Byszewskiego, liczące 35.000 ludzi. Siła ta, skupiona w jednym miejscu, mogła śmiało stawić czoło

każdemu z wojsk nieprzyjacielskich z osobna, oparta wreszcie o stolicę i patriotyczne mieszczaństwo warszawskie, mogła się bronić długo i skutecznie.

Nie myślano o tem, niestety, w Warszawie, a i wódz polski, ks. Józef, nie pojmował należycie swego zadania. Rozciągnawszy nieliczne siły swoje na 8 milowej przestrzeni, zamierzał on bronić nieprzyjacielowi przejścia przez rzekę, która, przy niskim stanie wody, wszędzie prawie zbrodzić się dała.

W tym celu sam zajął stanowisko w Świrzu, dywizję Wielhorskiego wysłał na północ, gdzie zetknęła się z wojskiem litewskim, na prawem skrzydle zaś, pod Dubienką, postawił Kościuszkę.

Kościuszko, aczkolwiek nie pochwalał planu naczelnego wodza, zajął się pilnie wypełnieniem poleconych sobie rozkazów.

Przewidując, że główny atak nieprzyjaciela będzie skierowany na Dubienkę, skąd łatwo mogli Moskale oskrzydlić i ogarnąć całe wojsko polskie, obwarował on stanowisko swoje jak tylko można było najlepiej. Część 4-tysięcznej dywizji, prawe jej skrzydło, oparł o terytorjum austrjackie, pokryte lasem i, podług jego mniemania, zupełnie zabezpieczone od nieprzyjaciela, lewe rozciągnął ku Kulemcycom, sam stanął pod Uchanką, a front wzmocnił baterjami i flesztami.

Kachowski w dn. 18 lipca o świcie wysłał 9-tysięczny korpus Kutuzowa na zrobienie dywersji ku

Dorohuskowi, sam zaś z resztą armji, w liczbie 29.000 żołnierzy, uderzył na Kościuszkę.

Tormasow, pokomendny Kutuzowa, znalazłszy brody na Bugu, przeszedł rzekę, spędził słabe oddziały pułkownika Grochowskiego i majora Krasickiego, zapalił Dorohusk, ustawił most pontonowy i zanim Poniatowski nadbiegł z posiłkami, przeprowadził cały korpus na drugą stronę Bugu, poczem wódz polski dał rozkaz Wielhorskiemu cofania się na Chełm.

Po południu zaczęła się walka zawzięta na prawem skrzydle. Korpus Dunina, przywitany zrazu silnym ogniem artylerji polskiej, rozwinął się wkrótce pod osłoną 50 armat gen. Breźnikowa, którym 10 dział Kościuszki sprostać oczywiście nie mogło, i uderzył na Uchankę i na prawe skrzydło polskie, został jednak po trzykroć odparty.

Wtedy wysłał Kachowski kawalerję pod dowództwem Palmenbacha, przez terytorjum austrjackie, dla obejścia i zdobycia baterji polskich. Atak nie powiódł się, Palmenbach zginął, z komendy jego mało wróciło, a reszta, rozbita przez jazdę Wielowiejskiego, szukała w ucieczce ocalenia.

Pomimo tak dzielnej obrony, jednak położenie Kościuszki, wobec przeważających sił nieprzyjacielskich, zgwałcenia neutralnej granicy galicyjskiej, pogorszyło się znacznie.

Pozostawiony sam sobie, bez nadziei posiłków, narażony na zupełne odcięcie od głównej armji i niechybną zgubę, nie miał on innego ratunku, jak od-

wrót do Krasnego-stawu.

Jakoż skutecznił go „z najzimniejszą krwią i w największym porządku, z nieustannym ogniem karabinowym i użyciem armat“, zadając ścigającemu nieprzyjacielowi bardzo dotkliwe straty.

Tak skończyło się pamiętne spotkanie pod Dubienką.

Okryło ono chwałą Kościuszkę i młodego żołnierza polskiego i dowiodło, czego z tem wojskiem mógł dokonać wódz zdolny, przezorny i na wszystko zdeterminowany.

Nie był nim, niestety, ani Stanisław August, ani mążny ks. Józef.

Pierwszy znał wprawdzie zasługi „wyśmienitego naszego Kościuszki“, mianował go generał-lejtnantem i szefem 4 pułku buławy polnej koronnej, ale równocześnie donosił Bukatemu, że wojnę skończyć musi w przyszłym miesiącu dla braku magazynów i pieniędzy.

Drugi gotów był przenieść teatr wojny nad Wisłę i bronić się ile możności, spotkał się jednak z wyraźnym rozkazem króla, polecającym zaniechanie kroków nieprzyjacielskich.

Stanisław August od samego początku wojny nie miał zaufania ani do sił narodu, ani do dzielności wojska. Otrzymawszy naczelne dowództwo od sejmu, który natychmiast się odroczył, zapewniał on wprawdzie Stany Rzeczypospolitej, że „osobiście sam się stawi i wystawi, gdziekolwiek przytomność jego przy-

datna będzie do zachęcania w niebezpieczeństwach“, ale zarazem nadmieniał niedwuznacznie, że „gdyby się dały znaleźć jeszcze i inne drogi, przez któreby otworzyć się mógł wstęp do traktowania raczej piórem, niż orężem, żadnegooby odrzucać, żadnegooby zaniedbywać nie należało.“

Jakoż przyszłość niedaleka dowiodła, że myślał o piórze, a nie o orężu, bo ani „stawił się“, ani nie „wystawił“ nigdzie z obawy, że „kuchni przyzwoitej“ mieć nie będzie, a co do starań i zabiegów o uzbrojenie i obronę kraju, to niedbalstwem i niedołęstwem swoim zmarnował i zapał i ofiarność obywateli.

Wszelkie narzekania na brak żywności, amunicji, broni i pieniędzy były nieuzasadnione, i niedostatek, jaki wojsko chwilowo cierpiało, wynikał z nieudolności naczelnego kierownictwa, a lenistwa lub zdrady intendentów, zupełnego braku energii i przezorności u góry.

Nie umiano skorzystać ani z zapału obywateli, ani z olbrzymich środków obrony, które same z siebie się nastęrczały.

Nie ściągnięto wcześniej rekrutów z województw południowych, nie wcielono nadwornych milicji panów ukraińskich do wojska, nie zabrano armat z Nieświeża i innych rezydencji magnackich, nie zdołano wreszcie użyć tych sił, jakimi Rzeczpospolita w istocie rozporządzała.

Ilość wojska na końcu kampanji wynosiła 70.000 ludzi, w arsenał warszawskim znalazło się po wojnie

300 armat, a jednak na linii bojowej skupiono zaledwie 35.000 żołnierzy i skarżono się bezustannie na brak artylerji...

Rejteradę swoją uzasadniał ks. Józef niedostatkiem żywności wtedy, gdy Moskale z Połonnego wieźli 6000 worów mąki, a w Dubnie zabrali ogromne zapasy, których zniszczyć wojsko polskie nie mogło.

Najmniej zasobnym może był skarb, ale i tu, z zamknięcia rachunków okazuje się, że dn. 10 sierpnia pozostał w kasie generalnej wojska koronnego remanent, wynoszący 681.000 zł. pol.

Słusznie też pisał pod świeżem wrażeniem Kościuszko:

„Były zawsze sposoby zbitcia wojska rosyjskiego. Zgromadziwszy wojsko całe za Wisłą, z wolontarjuszami i mieszczanami miast Warszawy i Krakowa, wynosiłoby 60.000, a na czele mając króla, bijąc się za swój kraj i dependencję, jaka moc zwyciężyłaby go, pytam się ...”

A tymczasem w społeczeństwie polskiem, niezadowolonym z ciągłego cofania się armji, poczęły krążyć pogłoski i zarzuty, obciążające w pierwszym rzędzie króla i doradców jego, a rykoszetem bijące w ks. Józefa.

Rozgoryczenie ogółu wyrażało się w licznych paszkwilach, rozrzucanych po mieście, a posuwających się aż do zarzutu zdrady.

Wskazywały one głównie na króla, lecz nie oszczędzały i ks. Józefa, zarzucając mu niezdolność, trwożliwość, a nawet i gorsze winy.

Stanisław August, jakby chcąc choć część tych zarzutów przenieść na barki synowca, donosił mu o nich skwapliwie, nie oszczędzając niczego, a jednocześnie pocieszał go, że wszystkie kobiety żywo stają w jego obronie, i że on sam od lat 27 znosi te niesprawiedliwe krytyki..

Lecz wrażliwy na punkcie honoru ks. Józef nie mógł przyjąć tego tak obojętnie. Rażony w samo serce czynionymi mu zarzutami, odpisał królowi z goryczą i oburzeniem:

„Niedostawało jeszcze krzywdzących mnie podejrzeń i ostrej krytyki względem sposobu mego postępowania, aby mi dać uczuć całą gorycz i okrucieństwo stanu mojego. Tak jest, miłościwy Panie, rozpacz zajęła duszę moją... O Boże! możnaż po ludzku oprzeć się obrotom nieprzyjaciela tak znacznie przewyższającej siły?... Niech ci waleczni i odważni ichmościowie przyjdą tu sami komenderować, będę z chęcią służył pod nimi za prostego żołnierza; a wtedy sami uznają, czy bojaźń mną rządzi, czy zaś roztropność miarkuje kroki moje... Jeśli źle jestem radzony, trzeba mi odebrać komendę, bo sam sobie radzę. Jeśli niesprawiedliwie moją w kim pokładam ufność, nie wiem,

co już mam czynić, bo się i ta nie rozciąga daleko: Bóg jest spraw moich świadkiem, a sumienie sędzią“...

Drugim, ważnym powodem rozgoryczenia jego był ustawiczne nadsyłanie mu z Warszawy rewidentów i kontrolerów... Pokazywał im ks. Józef wszystko, nic nie tając, przeciwnie, przedstawiając wszystkie braki i niedolę wojska swego, prosząc o ich usunięcie, lecz napróżno...

Pod wpływem tej goryczy i bólu, w jasnym zrozumieniu rozpaczliwej sytuacji, pisał do króla w lipcu 1729 r., rzucając myśl śmiałą, lecz, niestety, nieuniknioną:

„Gdybyś, W. K. Mość na początku tej kampanji, ponieważ ona nie była przygotowaną we względzie militarnym, był poruszył kraj cały, siadając na koń ze szlachtą, uzbrajając miasta i dając wolność chłopom, albobyśmy byli zginęli z honorem, albo Polska byłaby mocarstwem.“

Tymczasem po bitwie pod Dubienką, nie mogąc bronić linii Bugu, cofnął się ks. Józef aż pod Lublin, gdzie stanął 23 lipca.

Zamierzał w pobliżu tego miasta stoczyć nowy bój z wrogiem, w tym celu słał gońca za gońcem do króla po rozkazy i po uzupełnienia materiału wojen-

nego. nie otrzymując odpowiedzi, opuścił Lublin i w dn. 25 lipca stanął w Kurowie.

Tam dosięgła go wieść straszliwa, piorunująca, że król Stanisław August przystąpił do Targowicy...

IV

Król Stanisław August, nie wierząc w możliwość zwycięstwa w wojnie z Rosją, prowadził już od samego jej początku tajne knowania z carycą za pośrednictwem Bulhakowa...

W te zabójcze konszachty swoje nie wtajemniczał ks. Józefa, choć listy jego zawierały mgliste wzmianki o jakichś podejrzanach rachubach politycznych; przezierało z nich zniechęcenie, bierność i apatja; wyglądała z nich jakby chęć stopniowego demoralizowania ks. Józefa, zniechęcającem udzielaniem wieści niezadowoleniemu narodu z jego ciągłych odwrotów.

Czynił to, gdyż wiedział, że w chwili stanowczej, gdy sam karty odsłoni i brudne matactwo uczyni jawnem, wyrzucić to musi na ks. Józefie wrażenie groźne, że honor w nim zagra i nie da się ściągnąć w to bagnisko zdrady. Drżał na myśl, że opór z jego strony jaskrawiej uwydatni całą głębię upadku, to też po spełnionym falkie dwa dni pasował się z sobą za nim o wszystkim napisał wyraźnie.

Lecz wieść złowroga nie czekała na długi namysł królewski i 24 lipca nadleciała z Puław z listem ks. Izabelli Czartoryskiej. Ks. Józef odpisał narazie:

„Na wszystko byłem przygotowany, lecz nie na podobną nikczemność... Jestem zgubiony, oszołomiony, Raczej należało bić się do zgonu, niż oddychać hańbą“, i natychmiast z Wielhorskim i Kościuszką po dokładniejszą wiadomość pospieszył do księżny.

Zanim jeszcze stwierdzono urzędownie, iż zasłyszane wieści miały podstawę, pod ich wpływem nadszedł do stolicy raport ks. Józefa, skreślony z tym darem słowa, jaki go cechował:

„Winiem W. K. Mości nie tylko czyny wojenne, ale to donieść, co w sercach żołnierzy, podkomendnych moich, się znajduje. Chodzą tu wieści po obozie, które zapewne puszczane są przez ludzi niechętnych i niedobrze życzących W. K. Mości, jakobyś W. K. Mość miał traktować z zdrajcami Ojczyzny i tym sposobem pokój okupywać walecznemu narodowi. Same takowe wieści wzbudziły już w wojsku niezmiernie szemranie i nieukontentowanie. Konsekwencjom, ztąd wynikającym, żadnym sposobem zapobiedz nie mógłbym, ponieważ nie taję się W. K. Mości, że jestem ten, który podobnie oddycham uczuciem. Ta tylko między mną i żołnierzem jest różnica, że zbliższa i lepiej znając wielkość duszy W. K. Mości, nie mogę ani na moment przypuścić do

serca mego tak smutnego widoku. Przysięgliśmy, Najjaśniejszy Panie, z woli narodu, z woli W. K. Mości, chętnie więc i wesolo życie nasze poniesiem na ofiarę. Przybliżyliśmy się w tej ufności do W. K. Mości, że wojsko to, które żadnej skazy, żadnej plamy na sobie nie ściągnęło, będzie tak szczęśliwe, że oglądać będzie W. K. Mość na czole swoim i że Go własnymi piersiami okrywać będzie. O to W. K. Mość prosimy wszyscy, o to Go błagamy, o to nakoniec będziemy się dobijać. Wola W. K. Mości służyła nam dotąd za prawo i zawsze służyć będzie, lecz ta wola być nie może i jest, aby wojsko nie pobite, żeby naród szlachetny, żeby król roztropny miał się poddać pod jarzmo kilku wyrodnych obywatelów, którzy za tarczą wojska bitnego Monarchini, przez nich omamionej, chcą na nas kłaść kajdany i okryć nas cechą wieczną niesławy. Niech naród z narodem traktuje, niech roztropność WKMci, nawet nad zapal nasz szukania wojennego honoru, pokój zawiera, bo to wszystko byłoby wola, wyrokiem W. K. Mości i narodu. Lecz podłość znizenia się aż do zdrajców Ojczyzny byłaby grobem naszym. Te uczucia, Najjaśniejszy Panie, które jako naczelnik wojska, W. K. Mość wiernego i szlachetnego, z obowiązku mam honor donieść. Posyłam z niniejszym raportem generała Wiel-

horskiego i brygadiera Mokronowskiego, którzy będą tłumaczami uczucia mego i całego dotąd wiernego W. K. Mości żołnierza.

Dan, w obozie pod Kurowem,
dnia 25 Julii 1792“.

Raport ten, tchnący gorącem a żywym oburzeniem, był żywym a wiernym odbiciem uczuć wodza i całego wojska. Stanowił też prawdziwą niespodziankę dla króla, który przed laty pisał do synowca, że Bóg dozwolił mu urodzić się Polakiem, a teraz ten synowiec składał mu nim dowód, że stał się nim naprawdę, i że bez osłonek piętnował znany mu z pogłosek czyn królewski mianem podłości.

Wagi temu raportowi dodawało przesłanie go nie przez gońca, a przez dwóch wysokich oficerów...

W armji wybuchło wrzenie. Zapisał o tem ks. Józef w swoim pamiętniku:

„Wszyscy oficerowie zobowiązali się bronić do upadłego. Napisali także do marszałków z sejmu, prosząc ich, by z sobą króla przywieźli do obozu i woleli raczej zagrzebać się pod gruzami kraju, któremu zdało się nie pozostawało nic, tylko hańba niewoli, albo zniszczenie zaszczytne“.

Wysłani generałowie wkrótce po wyjeździe z obozu minęli się z gońcem królewskim, wiozącym ks.

Józefowi zawiadomienie o zawarciu z Bułhakowem zawieszeniu broni, o czem poseł w dołączonym piśmie uprzedzał Kachowskiego.

Jednocześnie w obszerniejszym liście do ks. Józefa, obliczonym na to, że dojdzie on do wiadomości wojska, tłumaczył król wykrętnie powody swego hańbego czynu, polecał mu pisać do Kachowskiego, a po otrzymaniu odpowiedzi przybyć do Warszawy, po zdaniu dowództwa Kościuszce. Wojsko, zgodnie z załączonym rozkazem miało odejść do Kozienic, odsłaniając przez to drogę dla przemarszu wojsk rosyjskich do stolicy...

Z każdego wiersza tego listu przebijała obawa oporu.

„Chcą mnie straszyć jakimś nieposłuszeństwem ze strony armji, lecz znam Cię zbyt dobrze, bym temu wierzył. Jeśli (co niemożliwe) Twoje wojsko odmówi posłuchu, winienś uczuć, do jakiego stopnia toby mnie skompromitowało, i mnie i kraj cały, i na jaki bezmiar niebezpieczeństwa i nieszczęścia nas by wystawiło.“

Próbował też, nie znając synowca, wziąć go na lep osobistych korzyści, pisząc:

„Armja nic nie uczyni, tylko co potrzebne dla mnie i ze mną, a co do Twojej osobistości,

to przybędziesz tutaj, porozmawiamy i urządzimy się w taki sposób, że nie będziesz mieć wcale zmartwienia co do twej osoby.“

Na wieść o nadeszłym liście i treści jego, całe wojsko ogarnął przepotężny płomień gniewu i rozpacz...

Na skinienie wodza gotowe było ono nie uznać Targowicy, i rzucić się na wrogów, byle tylko raz jeszcze świst ich kul usłyszeć i raz jeszcze kurz ich krwi zobaczyć, a potem zginąć lub ostrzem bagnetu wywalczyć niepodległość.

Stan ten najlepiej zobrazował obecny w obozie Niemcewicz w liście z dn. 25 lipca do Ignacego Potockiego:

„Widziałem w wojsku nielicznem i znużonem honor i rozpacz; dnia dopiero wczorajszego wiadomości z Warszawy napęliły duszę mą goryczą i żalem; zgasła więc już krótka isntość nasza, a dawny ciąg wstydu i upodlenia wraca się... Wiadomość warszawska straszne tu wrażenie uczyniła, prócz Krasickiego wszystka młodzież pała duchem honoru... Cóż dopiero mam mówić o cnotliwym naszym Kościuszkę, zgraje Moskalów nigdy go nie zasmuciły, ani strwożyły, ale wieść o wstydzie naszym pognębiła duszę jego... Książę pisze do króla, aby do obozu przyjechał, pewien je-

stem, rzesza piskliwa powie, że szalone głowy przywiodły go do tego, ale gdzie się tyczy honoru, tam on podnieconym być nie potrzebuje. Żał mi króla, rok tylko miał sławy, rok tylko może mieć będzie przy tyłu zgryzotach życia, pozostaje mu wieczność; gdyby serca swego słuchał, obrałby ją chwalebna, że usłuchał pisków, naznaczył ją sobie bezsławna“...

Kościuszko o tej sprawie pisał:

„Niepodobno wyrazić żalu, rozpacz i wgardy dla króla... Wszyscy poznali zdradę królewską... Słabość króla bez genjuszu militarnego, bez charakteru i miłości kraju, pograża teraz, może i na zawsze, kraj w nieład i dependencję Moskala“...

Wzburzeni oficerowie przyszli zbiorowo do namiotu wodza, by z ust jego usłyszeć gorzką prawdę, a ks. Józef tak tą chwilę opisał w swoich wspomnieniach:

„Znaczna już liczba tych zacnych ludzi, widząc się w szlachetnym zapale powstrzymaną, marszczyła brew i okazywała rozpacz dziką. Obcy błędom, popełnionym przez wykręty polityczne, wszyscy prawie rachowali tylko na swe szable, a ufność mieli w zdaniu mojem. Stara-

łem się ich uspokoić, zaklinałem ich, by mniej czarno się zapatrywali na możliwe w przyszłości wypadki, w których ziszczenie się ja sam jeszcze nie chciałem dać wiary; wspólnie więc z towarzyszami ułożyłem list do króla... Wrażenie... skłoniło wszystkich oficerów do dania sobie słowa, iż tylko swojemu dowódcy będą posłuszni, do opuszczenia wojska i Ojczyzny, aby nie doznać upokorzenia i nie służyć z kilku indywidualiami, napiętnowanymi hańbą lub spodlonemi.“

Ks. Józef, który w dn. 20 lipca, w raporcie swoim prosił tylko o trzymiesięczny urlop celem leczenia w Baden odnowionej rany w nodze, pod wrażeniem tego ciosu straszliwego, wystosował do króla list, w którym w ostrych słowach opisał stan duszy swojej i towarzyszy. List ten brzmiał:

„Najjaśniejszy Panie!

Odebrałem ekspedycją rozkaz i list W. K. M. przez generała Kirkora. Posłałem natychmiast ekspedycję generałowi Kachowskiemu. Najjaśniejszy Panie! Gdyby były wyrazy dość mocne na okazanie Ci rozpacz, którą dusza moja napełniona została, wybrałbym je wszystkie, przekonawszy się z własnego Twego listu, że łączysz się z zdrajcami, z ludźmi okrytymi hańbą i ohydą, którzy dla swej miłości własnej sprze-

dali krew swych obywateli, że oni to, łącznie z Tobą, że oni to, mówią, na przyszłość dawać będą prawa ludziom, którzy szczęśliwi, mogąc poświęcić życie swoje, oddychali tylko dla sławy WKMcI, dla honoru i szczęścia narodu. Powiedziałem sobie: Wielki Boże! czemuż doczekałem się tego dnia nie-szczęśliwego! Mógłżeś wahać się, Najjaśniejszy Panie, wybrać raczej chwalebny zgon, zgon godny Ciebie, zgubę zupełną, ale zaszczytną, niż tę resztę panowania, niż tę resztę narodu, skalaną intrygą, zdradą, nierządem i słabością! Tak, N. Panie, należało poświęcić się, poświęcić nas wszystkich; jak okrutna litość Twoja, kiedy ona kupiła dla nas hańbę i zakale! Wielhorski i Mokronowski oznajmia Ci uczucia nas wszystkich, są one niewzruszone. Szanować będziemy króla i w cichości boleć będziemy nad tem, iż nie możemy się już liczyć do Jego obrońców. Powiedzą o nas: Walczyli z honorem, odeszli bez wyrzutów“.

Czyn króla oraz list ks. Józefa rozwierał przepaść nieprzebytą między nimi, zrywał wprost łączące ich do czasu tego więzy.

Takaż sama przepaść otwierała się między królem a wojskiem.. Cały szereg wybitnych oficerów, nie chcąc w jednym szeregu stanąć z ludźmi, spodłonymi przez Targowicę, nie chcąc patrzeć na ostatecz-

ną ruinę narodu i powrót jego do zależności od carycy Rosji, a raczej jej ambasadora, postanowił wystąpić z szeregow armji...

Tymczasem w stolicy stanęli przed królem Wielhorski i Mokronowski, w ubiorach cywilnych, ażeby podkreślić, że występują jako wolni obywatele, a nie jako wojskowi, winni subordynację swemu najwyższemu dowódcy...

W słowach twardych i mocnych przedstawili królowi usposobienie armji, a na wszelkie jego błagania, zakłęcia i łzy, głusi pozostali...

Ze słów ich zrozumiał król, że wojsko ślepo zaufało ks. Józefowi i że wszędzie za nim pójdzie, i próbował jeszcze oddziaływać na niego.

Zasypywał go listami, pisanymi ze świadomością, że staną się one wiadome wojsku. I tak w liście z dn. 26 lipca żądał, by oficerowie zostali w szeregach, przydając jednocześnie w załączonym liście poufnym:

„Jeżeli, Boże zachowaj, Ty i ci, których mi przysłałeś, upieracie się przy tem, coś mi napisał, jestem człowiek zgubiony, i co więcej jeszcze państwo zgubione. Jeśli chcesz, bym wierzył w przyjaźń i wdzięczność, jaką mi winieś, jeśli nie pragniesz być przyczyną mej śmierci (bo takiemu zmartwieniu nie zdołałbym się oprzeć) czyn, czego żądam; napisz natychmiast do Wielhorskiego i Mokronowskiego, by najpierw w mundurze wracali do obozu... Na

Boga! Coprędzej daj mi odpowiedzi i taką, jakiej od Ciebie żądam. Pepi, Pepi! pamiętaj, że chodzi o mój honor i o moje życie, co więcej, o państwo całe... Ja z Imperatorową zrobiłem umowę, więc nie z emigrantami. Niech to zna wojsko nasze i ze mną zawsze będzie“.

I znów w liście z dnia następnego przedstawiał ks. Józefowi, że gdy lepsze żywioły usuną się od pracy i znikną z widowni, zastąpią ich gorsze; że z takimi jak oni ludźmi Polska może jeszcze coś znaczyć na świecie, a bez nich upadnie.

Lecz na wszelkie te zaklęcia otrzymał król od księcia Józefa z Kurowa z datą 27 lipca, następującą odpowiedź:

„Najjaśniejszy Panie! Wdzięczność moja ku W. K. Mci była zawsze mojem prawem i niem zawsze będzie. Chcę mojego obowiązku aż do końca dopełnić, tak jak mój honor, słuszość i miłość dla W. K. Mości każą. Dopełniłem już ich w części, podług W. K. Mości, w ekspedycji przez JP. pułkownika Kirkora wyrażonej. Doprowadzę wojsko do Kozienic, rozlokuję je, lecz nakoniec dopraszać się będę W. K. Mci o dymisję dla mnie i dla tych szanownych i odważnych kolegów moich, z którymi za honor W.K. Mci i całość kraju służyłem. Nie racz nam W. K. Mość odmówić tego, jako jedyne go środka spo-

kojności naszej. Daj kiedy Bóg, że będziemy może jeszcze kiedy użytecznemi W. K. Mci, powróciwszy do Niego, nie szukając żadnej innej rangi, jak tej najchlubniejszej służenia Mu. Lecz w terażniejszym składzie rzeczy widzimy, N. Panie, iż już użytecznemi Mu być nie możemy. Piszę ja też do generała Wielhorskiego i brygadjera Mokronowskiego, aby ich zwrócić do dokończenia rozpoczętego dzieła. Obiecuję więc W. K. Mci, że nikogo namawiać nie będę i zostawię każdemu wolność rządzenia się podług swego uczucia; lecz odnawiam moją prośbę do W. K. Mci, aby już potem, w nagrodę zasług naszych, uwolnienie nasze nie było nam tamowane“.

W ten sposób propozycja królewska zdania komendy i powrotu do Warszawy, stale przez ks. Józefa pomijana milczeniem, została tu wręcz odrzucona.

Relacje Wielhorskiego i Mokronowskiego po powrocie z Warszawy, opisując króla złamanego moralnie, bezsilnego, niezdolnego do prowadzenia wojny, — podnieciły jeszcze to wrzenie wśród oficerów i wojska, które nie chciało nawet słyszeć o akcesie królewskim, domagało się walki aż do upadłego i zwracało się do ks. Józefa z żądaniem, ażeby prowadził je do boju, by rokoszem odpowiedział na czyn królewski, i szedł dalej, aż do celu, drogą jawnej rewolucji...

Lecz te zuchwale żądania zbyt śmiało były dla

ks. Józefa. Nie wierząc w powodzenie tego kroku, uważając go za szalony, za mogący jedynie kraj do zguby doprowadzić, a może nie chcąc w ten sposób potępiać czynu swego stryja, zimnem, trzeźwym słowem zmroził ich zapał i zatrzymał wszystkich w granicach obowiązku.

Musiał jednak przytem stoczyć z sobą samym silną walkę, gdyż później z Wiednia pisał do króla:

„W. K. Mość rozkazała, a ja usлуchałem wbrew memu przekonaniu, wbrew życzeniu całej armji, która w owej chwili moje posłuszeństwo uznawała za słabość“...

Wobec odmowy ks. Józefa oficerowie zdecydowali, jako protest, złożyć masowe podania o dymisję, każdy oddzielnie, zgodnie z obowiązującym regulaminem. Spieszono się z tem, dopóki władza nad wojskiem spoczywała w ręku króla, a nie przeszła do Targowiczan, którzy mogli czynić pewne objekcje.

W dn. 30 lipca ks. Józef i Kościuszko zażądali uwolnienia. Pierwszy z nich pisał:

„Przywiązanie nasze do W. K. Mości nie zawisło od okoliczności i jest nieodmienne. Przez cały ciąg służby naszej staraliśmy się dać W. K. Mości najniewątpliwsze dowody wierności, gorliwości i ślepego posłuszeństwa. Lecz gdy teraz taka odmiana nastąpić może, że

moglibyśmy być już nieużyteczni W. K. Mości, przekonaliśmy się więc, że nam koniecznie potrzeba upewnić się o łatwości wyjścia naszego ze służby. Przekonanie nasze, miłość Ojczyzny i najlepszego z królów, były nam dotąd przewodnikiem w działaniach naszych i w świętej sprawie Ojczyzny naszej. Żołnierz niema tylko jedno słowo, a poczciwy człowiek tylko jedną przysięgę; i jedno i drugie nas wiązało do tej sprawy, której broniliśmy krwią i życiem naszym.

Z tego powodu upraszam W. K. Mości o łaskawe przychylenie się do not tu przyłączonych, jako też nie mniej o akkordowanie dymisji tym wszystkim oficerom, którzy równegoż z nami są przekonania, a których później noty będą miały honor W. K. Mości odesłać. Dan w obozie pod Sieciechowem dn. 30 Julii 1792“.

Do tych not dołączono 18 próśb o dymisje, a przy następnych raportach około dwustu.

Dymisje ks. Józefa i Kościuszki król, z bólem serca, podpisał w dn. 5 sierpnia.

Próbował król jeszcze, zwłaszcza po rozmowie z Kościuszką, który osobiście zawiózł do stolicy prośby o dymisję, zachwiać postanowieniem synowca. Pisał więc do niego:

„Zostaje mi mieć promień nadziei, nie odbieraj mi go. Jeśli mnie go pozbawisz, to jak-

byś pragnął, bym rok tylko przeżył. Nie jest to wcale przesada, lecz fizyczna niemożliwość, żebym żył rok jeden, jeśli mam cierpieć, jak cierpiałem od pierwszej bytności tutaj Wielhorskiego i Mokronowskiego!!...“

Lecz na to otrzymał w dn. 4 sierpnia stanowczą odpowiedź od ks. Józefa:

„Wszystkie ofiary byłyby mi łatwe, ta ofiara jest dla mnie niepodobną. Powinność, przekonanie, przysięga moja, zaufanie publiczne, honor wojskowy, wszystko mnie wiąże, wszystko zmuszą mnie być stałym w powziętem postanowieniu. Całe oddziały przysły mi powiedzieć: Prowadź nas, gdzie zechcesz, ocal króla, my i nasi żołnierze na koniec świata pójdziemy za tobą; nie możesz tylko dobrze nas prowadzić, tylko z honorem! Te uczucia powinny znaleźć usprawiedliwienie swoje, mnie one powerzone, zakład ich jest mi świętym, winienem stosować się do nich jaknajściślej... Skoro uporządkowaniem będzie co należy, skoro mieć będę podpis W. K. Mości (na dymisji), pospieszę ucałować dobroczynne ręce WKMcia, którego kocham, więcej jak moje życie.“

Król wreszcie, ujrzawszy, że wszelkie wysiłki wymowy idą na marne, że nie złamie energii wojsko-

wych i nie zachwieje w powziętych zamiarach, dał za wygraną.

W czasie tych walk honoru z podłością, wśród wojska kielkować zaczął projekt, rzucony przez ks. Izabellę Czartoryską w dn. 24 lipca w Puławach, gdy przybyli tam ks. Józef, Kościuszko, Wielhorski i Mokronowski, rażeni pierwszą wieścią o akcesie króla do Targowicy.

Projekt ten polegał na porwaniu króla do obozu, odwołaniu akcesu i dalszem prowadzeniu rozpoczętej walki, przy jednoczesnem ogłoszeniu, że król tylko pod naciskiem przystał do Targowicy.

Początkowo ta myśl powstała w kółku twórców konstytucji majowej, uważana za jedyną deskę ratunku przez Kołłątaja, Zajączka i zapewne Ignacego Potockiego. Z musu wtajemniczono ks. Józefa, gdyż „posiadał całe zaufanie wojska i był jego bożyszczem.“ Narazie zamiar z tej strony nie napotkał oporu, uznał go za dobrym, a Kościuszko nawet silnie go popierał

Zaczęto debatować w obozie w kole zaufanych. Wódz naczelny, nie chcąc używać gwałtu, liczył ułudnie na zgodę królewską i wtajemniczył go przez wysłanych do stolicy wodzów, zaklinając, by dał się porwać i zjawił się w obozie. W raporcie pisze znacząco 25 lipca:

„O to W. K. Mość prosimy wszyscy, o to go błagamy, o to nakoniec będziemy się dobijać.“

A rzecz prosta, struchlały Stanisław August wołał się wyprosić, wypłakać, wyżebrać, niż narazić na lichą kuchnię i możliwą utratę korony...

Narady nad urzeczywistnieniem tego projektu wznowiono w obozie w Sieciechowie, po powrocie wysłanych generałów z niczem ze stolicy...

Zapalny gen. Zajączek ręczył honorem, że króla zdrowego dostawi do armji, lecz ks. Józef, gotów wówczas na ryzykowne szaleństwo, nie dowierzał mu wcale. Bał się może, że król, toczony zgryzotą i wyrzutami sumienia, nie zapłaciłby życiem, czy ze strachu przed zemstą narodu, czy zgładzony ręką samego Zajączka, a wtedy cała ohyda czynu plamiłaby pamięć naczelnego wodza.

Wołał już ks. Sarguszkę i zapowiedział mu, że pod pozorem odstawienia do arsenału większych dział kilkunastu i pustych wozów parkowych, ma z Sieciechowa iść do stolicy ze swą brygadą, zaprosić króla na przegląd jazdy, a potem — z nim razem wracać do swoich.

Pochwycenie poszłoby gładko, choć po nieuniknionem orężnem starciu, bo król od czasu barskiego zamachu jeździł z silną eskortą ułanów, zwykle w towarzystwie generałów - adjutantów Byszewskiego i Kirkora. Uprzedzony byłby przezorniejszym. Gdyby wykonanie planu napotkało trudności nie do przełamania, winien Sarguszko innego poszukać sposobu, lecz, gdy ten nierad z polecenia, szykował się już do

wyjazdu, po dwóch dniach otrzymał w Kozienicach cofnięcie rozkazu.

Rad był niewymownie z tego Sarguszko, który wcale nie był zadowolony z tego polecenia.

W czasie tego całego zamętu, zaszedł wypadek, który pozwolił mu jeszcze raz, ostatni w tej wojnie, zmierzyć oręż z wrogiem.

A stało się to tak:

W dn. 25 lipca główna kwatera rosyjska znajdowała się w Lublinie, a Polska w Kurowie. Tylna straż ks. Józefa, zajmując Markuszew, wysunęła drobne oddziały pod stanowiska nieprzyjacielskie i te docierały do Garbowa. Dla naporu na arjergardę cofającej się armji, Kachowski już tam wysłał dwa pułki kozackie. Dla ich poparcia ruszyły nazajutrz zrana inne pułki dońców z Orłowem na czele i bat. ekaterynosławskich jegrów, za nimi szykowała się reszta wojska do dalszego pochodu.

Gdy wieczorem Chomentowski z listem Bułhakowa przyniósł wieść o zawartem zawieszeniu broni, cofnięto wydane rozkazy ataku. Tymczasem placówki doniosły zrana, że widać Polaków skupionych pod Markuszewem, że zapewne spróbują orężnej rozprawy i Kachowski nakazał swym oddziałom stanąć na miejscu i bronić się tylko w razie zaczepki.

Wczesnym rankiem, o godz. 5, dn. 26 lipca, dano znać do obozu polskiego, ks. Józefowi, że kozacy rabują rodzinę wojskowego felczera, spokojnie za armją zdążającego, i już się starli z naszymi placówkami.

Wódz naczelny usłyszał od wziętego do niewoli dońca, że tylko 2 pułki kozackie są pod Grochowem. Rozkazał tedy 12 szwadronowi jazdy doborowej na nich uderzyć, sam zaś na czele spotkanego patrolu wysforował się naprzód.

Wojsku jeszcze nie ogłosił urzędownie o zaprzestaniu walki, choć wiadano powszechnie o tem, i wszystko wrzało.

Wówczas ks. Józef, miotany rozpaczą, może szukał zgonu, może liczył na rozbicie układów królewskich po orężnej rozprawie, gdy bój się zawiązał, pojął przed sobą kilkudziesięciu dońców, a ci, zaraz z początku tył podawszy, ścigających prowadzili w zasadzkę na ustawione w odwodzie 2 swoje pułki i ukryli resztę wojska, stanowiącego dla ks. Józefa zupełną niespodziankę.

Jednocześnie kawalerja narodowa, cwałując już za Markuszewem, dostała rozkaz atakowania widniejących na gorze kozaków, lecz gdy ci również pierzchli, zobaczono zoddali strzelców i huzarów, a bliżej po obu stronach drogi jegrów.

Zapóźno dostrzeżono zasadzkę. Rozpędem koni uniesiona jazda obcesowo wpadła na jegrów, zajmujących trakt markuszewski z 4-ma działami, i zmieszala się przywitana rześnistym ogniem i flankową szarżą dońców Orłowa. Przy strzelcach i huzarach przebywał Markow, a jeszcze nie zdążono go zawiadomić o ustaniu wojny.

Ks. Józef, bez żadnej broni w największym roz-

gwarze „szalenie się... nadstawiał“, lecz należało z niewczesnej awantury wycofywać się rychlej. Wysłał więc podpułk. Kamieńskiego z trębaczem, uprzedzając Markowa, że rozejm zawarty, że ataku nie poprze, lecz napadnięty, energicznie myśli się bronić.

Zanim jednak parlamentarz dotarł na miejsce, zanim obie strony, wstrzymawszy się od walki, stanęły na ćwierć mili naprzeciwko siebie, bój zajadły wrzał ciągle i polska jazda uchodziła pod naciskiem sił przemagających, zmieszana z rosyjską pogonią. Uchodziła z nieprzyjacielem na karku, pędzącym aż za Markuszew, i dopiero nadbiegająca brygada Sanguszki zatrzymała pościg.

Życie ks. Józefa wisiało na włosku. Nacierał na niego kozacki ataman i jakiś wachmistrz z konnych strzelców Bauera, lecz nie poznali naczelnego wodza w berejterskiej kurtce ze szpicrutą w rękę i, gdy zwaliwszy z konia jadącego tuż obok namiestnika, zajęli się rabunkiem, rasowa klacz angielska przesadziła dwa płoty, unosząc ks. Józefa na bezpieczne miejsce.

Obwiniano go następnie o lekkomyślną chęć zapołowania na „kozuniów“, jak mówił, pomimo rozejmu i przyznać należy, że obwiniano słusznie..

Płochą brawurę jego, z narażaniem własnego życia lub wolności, przypłaciło śmiercią lub ranami ze 20 ludzi, przeważnie z brygady Jerlicza, zaprawionych do boju przez Obertyńskiego, i przybyły świeżo generał - inspektor jazdy, Stanisław Iliński, młody, pra-

wy i zdolny, choć nie w zakresie wojskowego rzemiosła.

Towarzysząc ks. Józefowi, padł on w Markuszewie w czasie pościgu przestrelony kulą przez gardło, a potem zakłóty kozackimi pikami.

Z Rosjan kilku wzięto do niewoli, a ze 40 padło na polu.

Ta walka awanturnicza była ostatnią w tej wojnie, a niezbyt zaszczytną...

V

W kilka godzin po starciu pod Markuszewem, ks. Józef, objeżdżając ostatnie posterunki swej arjergardy, spostzegł w pobliżu Kachowskiego przy rosyjskich placówkach.

Wodzowie, podjechawszy do siebie, przywitali się uprzejmie, zsiadli z koni i zaczęli układy co do dalszego przemarszu przez Wisłę tak, by uniknąć zetknięcia i walki bliskich oddziałów.

W pewnej chwili, Kachowski, chcąc zaimponować siłą swego wojska, rzekł do ks. Józefa:

— Oglądaj się WPan, co to za machina!...

Lecz że ks. Józefowi trudno wogóle było czemkolwiek zaimponować, zachowując całą swą godność, odrzekł mu spokojnie:

— Gdybyś WPan z 12 ludźmi miał rozkaz opierania się, zapewne uczyniłbyś to, nie pytając się o liczbę. Ja też nie pytam się o liczbę wojska komendy W Pana... Ja nie mogę odmaszerować stąd prędzej, jak pojutrze zrana lub jutro wieczór. Więc ureguluj się WPan, abyśmy się na marszach nie schodzili!

Spokorniał trochę zaskoczony tą ostrą odpowiedzią Kachowski, i uradzono wspólnie skomunikować

się z Warszawą co do kierunku dalszego pochodu, lecz gdy ks. Józef wrócił do obozu, zastał list Stanisława Augusta z 25 lipca, nakazujący ruch do Koźienic.

Ze stolicy nadchodziły wiadomości niezbyt wesołe; tłumy ludności, groźne i ponure, wrzały oburzeniem i zdradzały chęć rozruchów, tak że przejęci lękiem król i Bułhaków, nie czując się bezpiecznymi, przyzywali czemprędzej wojska rosyjskie na pomoc.

Po otrzymaniu tego listu, ks. Józef zażądał raz jeszcze widzenia się z Kachowskim i znów obaj wodzowie spotkali się z sobą, w otoczeniu już tymrazem sztabów.

Ks. Józef, powiadomiwszy Kachowskiego o treści listu, chciał, w myśl życzeń królewskich, by Rosjanie tylko prawym brzegiem Wisły maszerowali, lecz nie przyjęto propozycji, motywując zwłokę potrzebą rzekomo sporządzenia wygodnej drogi dla licznego wojska.

Kachowski obiecał tylko, że dwudniowem zatrzymaniem się nad rzeką, da czas Polakom odejść do Koźienic, poczem tak pójdzie, by uniemożliwić wszelkie spotkanie i starcie się armji wrogo usposobionych.

Po tej rozmowie pozostawało ks. Józefowi tylko usunąć się z wojskiem drogą do Koźienic. Nierad z odrzuconej przez Rosjan propozycji nie przechodzenia na lewy brzeg rzeki, meldował królowi 26 lipca, o czem mówił Kachowskiemu:

„Muszę mu ustąpić do Wisły i do przeznaczonego mi punktu do Koźienic, lecz gdy tam przyjdę, już się nikomu nie umknę... Dobrzeby było, żebyś W. K. Mość wyrobił w Warszawie rozkaz generałowi Kachowskiemu, aby, wzięwszy się po przejściu Wisły lewą stronę, na Radom pomaszerował, aby wojsko nasze nie miało wstydu przepuścić nieprzyjaciela, nie będąc pobite, gdy tak smutno jest, iż tenże powinien znajdować się w Warszawie.“

Kachowski jednak, z całą perfidją bizantyjską, od samego początku złamał zawarte umowy, posuwając się za ustępującą armją polską i dążąc tą drogą do zagarnięcia opuszczonych przez nią magazynów.

Jednocześnie wojska moskiewskie grabiły wszystkie spotkane po drodze majątności, wyrządzając olbrzymie szkody, zwłaszcza ks. Czartoryskim.

Za armją jeszcze nie wszystkie transporty polskie przeprowiono przez rzekę i te zatrzymali Rosjanie, cpanowawszy most Sierakowskiego. Kachowski, głoszący, że pochodzi z rodziny polskiej, Kochowskich, która wydała słynnego poetę, Wespazjana, wystosował w tej sprawie list po polsku do ks. Józefa, nauczywszy się naszego języka w czasach konfederacji barskiej

„Jaśnie Oświecony Mci Książę Dobrodzieju!
Com tylko kiedy przyrzekł, tego dotrzymać

zawždy staram się, a zatem i teraz J. O. W. X Mość Dobrodziej mogłeś być pewnym mego przyrzeczenia. Statki i transporta W. X. Mci póty tylko zostały wstrzymane, póki wojsko zostawało w marszu, ale po przeprawie tegoż natychmiast przepuścić one zaleciłem. Po przejściu zaś całej armji, z wojska od N. Imperatorowej mi powierzonego złożonej, most, o którym chociaż żadnej wzmianki nie było, nie zbronny będzie W. X. Mci do rozebrania. Polecając mnie łasce W. X. Mci, z należytych mam honor zostawać upoważnieniem.

dn. 22 Juli 1792 Ru st. kal. (1 sierpnia) z obozu w Puławach.

J. O. W. X. Mci Dobrodzieja najniższy sługa.
Michał Kochowski, Gen. An szef Wojsk Rosyjskich.“

Po przybyciu do Kozienc, książę Józef, zdecydowany stanowczo wystąpić z wojska, zabrał się energicznie do porządkowania wszystkich spraw, ażeby zdać je w porządku.

W obozie wrzała praca nad wszelkiego rodzaju rachunkami, a jednocześnie ze wszystkich stron występowano z żądaniem awansów i odznaczeń. Pewna część ich nacechowana była egoizmem, i te ks. Józef odrzucał bezwzględnie, nagradzając natomiast zasłużonych.

Jednocześnie z tem Targowica zaczęła rozsyłać do

wszystkich wyższych wojskowych pisma okólne, napiszone w stylu, pełne pychy, a zarazem służalcze wobec carycy. Nikczemne i ohydne te pisma podpisane były przez Szczęsnego Potockiego.

Nadesłane do sztabu armji nie zostały zatrzymane przez ks. Józefa, przeciwnie, rozesłane adresatom, z następującą uwagą, ogłoszoną w rozkazie z dn. 4 sierpnia:

„Doszły mnie tu listy, adresowane do wszystkich sztabs-oficerów komendy mojej, od J. Pana Szczęsnego Potockiego. Tyle mam dowodów szlachetności i nieskazitelności myślenia komendantów i podkomendnych, iż te nierozpieczętowane oddaję do rąk każdego, będąc przekonanym, iż każdy w swojej duszy czuje to, co królowi i ojczyźnie winien i łącząc te dwa objekta do samego przekonania, nie uczynić nie może, jak to, co mu honor i słusność każe.“

Pomimo hojnie szafowanych obietnic, to pismo okólne przeminęło bez wrażenia i bardzo nielicznych znalazło zwolenników, którzy dla kariery usłuchali go...

Tymczasem w Kozienicach siły polskie, nurtowane fermentem i wrogię Targowicy, żadne walki i gotowe słuchać tylko swego wodza, wydały się Warszawie żywołem niepewnym, a nawet groźnym.

Postanowiono je obezwładnić przez rozbięcie na drobne oddziały i, pozbawiwszy artylerji, rozsiać je

na znacznych przestrzeniach, nieogarniętych jeszcze przez Rosjan.

Dogadzało to królowi i Targowiczanom dla własnego spokoju, przede wszystkim zaś Rosji, nadchodzącej nie z platoniczną chęcią stworzenia idylli i złoto-wieku doktrynerom „republikantyzmu“. Odejść nie miała z próżnymi rękami.

Rozkaz ks. Józefa ogłosił wojsku dn. 5 sierpnia nowy podział armji i tymczasową jej dyzlokację w myśl świeżo przysłanego rozkazu Stanisława Augusta z dn. 1 sierpnia.

Król, chcąc armję rozproszyć w rozmaitych kierunkach, poprzednio zapytywał o zdanie ks. Józefa, lecz ten radził rzecz całą odłożyć do czasu przyjsia do Kozienic i pisał 28 lipca:

„Póki jeszcze to wojsko ma się pozostać w kupie i ma imię wojska.“

Przy wykonaniu zaszyły drobne zmiany odnośnie do planu, zapowiedzianego rozkazem i według niego ks. Józef ze swoją dywizją miał być stacjonowany w Poznaniu, Kościuszko zaś ze swoją dywizją w Radomiu, inne znów dywizje w Pyzdrach i Sandomierzu.

W uwagach nad nową dyzlokacją wojska wódz naczelny prosił króla, „aby armaty przy bataljonach pozostać mogły, gdyż to jest smutny widok dla żołnierza, kiedy się będzie widział przeznaczonym jedynie tylko dla warty, bez nadziei być użytym do innego szlachetnego celu“.

Rozmieszczenie swojej dywizji proponował takie, by w 48 godzin skupić ją można, uwzględniając przytem „żyzniejsze miejsca dla kawalerji“.

Chciał także kantonistami skompletować luki w pojedynczych oddziałach. Zwracał też uwagę, że „dostarczenie furazów i żywności kolumnom, na swoje konsystencje maszerującym, będzie bardzo trudne, i prawie niepodobne, jako też na konsystencjach drogocność tamtych prowincji zrujnuje żołnierza i towarzysza, i będzie przyczyną, do wielkich dezercji i krzywde. Temu obiektowi nie możnaby inaczej zaradzić, jak tylko dając zulag proporcjonalny korpusom, albo zakładając magazyny żywności i furazu, i regulując mięso i chleb sposobem przez komisarjat w obozie praktykowanym.“

Zwłaszcza Wielkopolska nasuwała poważne obawy, gdyż „kraj drogi; w pasze, owsy i siana niedostateczny; zboża także niewiele, inwentarzy mnóstwo utrzymuje tylko gospodarstwo rafinowane“.

Dyzlokacja nie podobala się również Katarzynie, lecz z innych względów. Reskryptem z 4/15 sierpnia okazała Kachowskiemu niezadowolenie i wymówkę, że nie powinien przepuścić polskich wojsk za Wisłę, nie zmusiwszy pierwej do uległości władzy hetmanów i Targowicy. Nakazuje dalej, by Kutuzow, idący do Wielkopolski na stały postój, miał baczną uwagę nie tylko nad polską armją, budzącą obawy i niedowierzanie, lecz i nad tymi wszystkimi, co objawiają głośno sympatję dla upadłej sprawy.

Nareszcie po długich targach i sporach z królem, odebrał ks. Józef w dn. 5 sierpnia niecierpliwie oczekiwaną dymisję, gdyż ją król pod naciskiem nie mógł długo zatrzymać u siebie.

Zbliżała się chwila wyjazdu i rozstania się z armją, a wódz naczelny pracował gorączkowo, aby ją przyspieszyć. Nazajutrz żegnał wojsko rozkazem dziennym:

„Przyszedł dla mnie ten moment, który dla serca mego jest najniezwyklejszy i najczulszy, przyzwyczajony się przewodniczyć żołnierzowi szlachetnemu, który był mi przykładem cnoty i waleczności. Naostatek, widząc się być w smutnej potrzebie rozdzielić i rozstać się z nimi w tym właśnie czasie, kiedy gorliwość, duch żołnierski i punkt honoru stanął był w tym stopniu, żem sobie obiecywał sławę, dla narodu szczęście, a dla żołnierza zwycięstwo. Żegnam was, kochani kamraci, odważni żołnierze, moi prawdziwi przyjaciele. Rozdzielamy ciała nasze, ale niech dusze na zawsze spojone zostaną. Niech czucie honoru tak silne, tak mocne w nas zostanie, aby żadna strata, żadne prześladowanie i śmierć nawet sama nie mogła zatrzeć tej cechy prawdziwej szlachetności. Te są życzenia tego, który wierzy przestaje komenderować, któremu wasze wspomnienie będzie zawsze chlubą, a wasze przywiązanie nagrodą...”

Wojsko, pragnąc uczcić pamięć swego wodza, postanowiło wybić mu medal i wręczyć adres. Ci ludzie czuli instynktownie, że przeżyli z nim chwile olbrzymiego, dziejowego znaczenia, że wspólna praca i wspólnie przeżyte niebezpieczeństwa zacieśniły węzeł, łączący ich z sobą, zwłaszcza wspólność uczuć wtedy, gdy losy złamały im broń w rękę.

Nie mogąc kraju wydzwignąć z przepaści, gdzie go ciągnęli Targowiczanie, liczyli, że jeszcze kiedyś znajdą się z sobą i swym wodzem w boju z wrogiem. Przytem głośnie manifestowanie uczuć dla ustępującego ks. Józefa — to pośrednie potępienie przeciwnego obozu, to pogarda ciśnięta w oczy Targowicy, to jakby nowy policzek moralny. Adres wręczono następujący:

„Nie masz z nas nikogo, ktoby przekonany nie był o męstwie, waleczności, trudach, staraniach i przywiązaniu do każdego oficera i żołnierza J. O. X. J. Mości Poniatowskiego generała-leutn., komenderującego główną armją w kampanji przeciw Rosji. Znamy, ile mężnie, przezorne i szlachetne jego wszystkim władanie sprawiło broni ojczyściej wieczną sławę i każdemu żołnierzowi honor i szacunek. Z tego powodu dopóki imię żołnierza nie wygaśnie, dopóki cnota wdzięczności ludziom miłą będzie, zaręczamy Mu tem pismem naszym nieśmiertelną wdzięczność, głębokie uszano-

wanie i niezatarte przywiązanie nasze. Ażeby zaś ninejszy hold, który męstwu, cnocie, talentom i szlachetności duszy Jego oddajemy, całemu światu był wiadomy, medal bić zlecamy, na którym z jednej strony ma być wryty biust Jego, a na drugiej ten napis: Miles Imperatori. Niniejsze pismo nasze dla większej wagi i waloru, ręką generałów naszych stwierdzone, aby przez jednego sztabs-oficera, oficera i żołnierza w każdym korpusie podpisane zostało, umyśliliśmy.

Dan w obozie pod Kozienicami dnia 6 M-ca sierpnia 1792 roku“.

Podpisał: Tadeusz Kościuszko Gł., de Poup-part G. M., Michał Wielhorski, Dzierżek, Wielowieyski G. G. M. M., Brodowski G. M., Mokronoski G. M.

Prócz generałów powyższych pokrywa adres z górą setka podpisów sztabs-oficerów, oficerów, prostych żołnierzy.

Drugi, także pokryty podpisami wybitniejszych dowódców, poszedł do Pragi, posłany z wyrazem szacunku i wdzięczności matce ks. Józefa, że takiego syna wychowała krajowi.

Medal na stronie głównej przedstawiał popiersie z napisem w otoku: „Josephus Princeps Poniatowski“, na odwrotnej: „Miles Imperatori MDCCXCII“, wśród wieńca wawrzynu.

Rzeźbił go Jan Regulski, a nie zaraz go wykonał, a ciekawe szczegóły znajdujemy w nocie synowca brygadiera, majora Hadziewicza, podanej królowi w dn. 8 września.

Donosił, że dyrektor mennicy, Aleksander Unruh, przez szykanę zakwestjonował rzeźbiarzowi narzędzia, pozostałe po Holtzhauzerze, jakimi się posługiwał. Hadziewicz prosił o pozwolenie wybicia takiego medalu, by „mógł ważyć przynajmniej łt. 20, gdyż mam od wojska zlecenie, ażeby był duży i na to mam fundusz dostarczający“.

Chciał wszakże „dla niektórych konsyderacji“ zmienić napis na „Miles-Duci“, lecz do tego nie doszło.

O północy 6 sierpnia opuścił ks. Józef obóz, lecz po przyjeździe z Kozienic nie długo bawił w Warszawie, nie ukrywał swych myśli i uczuć, ani też tłumy ukrywały swoje.

Pobył jego w stolicy trwał trzy tygodnie niespełna, w czasie których załatwiał ostatnie obowiązki byłego wodza. Składał obrachunki, przekazywał papiery, wydawał poświadczenia i rekomendacje zasłużonym, jednym słowem likwidował wszystkie sprawy z wojskiem związane, podpisując się wszędzie już tylko jako „bywszy generał-leutnant“.

Z Warszawy też przesłał Kościuszce dymisję, przydając w serdecznym liście, że „największy prezent, jaki mu teraz zrobić może, jest, że mu abszyt posyła...“

Nie wyzbył się jednak, mimo wszystko, troski o dobro umiłowanego wojska, zabiegając, choć dymisjonowany, o poczynienie zmian w projektowanej dyslokacji wojska.

Zachowanie się jego i postępowanie raziło bardzo i narażało go wielce w ówczesnej Warszawie, pełnej rozbitków upadłego dzieła sejmowego, dymisjonowanych oficerów rozbrojonej armii polskiej, mściwych pełnomocników tryumfującej Targowicy, oraz zwycięskimi wojskami obcemi.

Cała uwaga rozpolitykowanej a patryjotycznej stolicy skupiała się na osobie popularnego bardzo wśród mas księcia, a kiedy w parę dni po przybyciu do stolicy ukazał się wieczorem w teatrze, zgromadzona publiczność przywitała go burzliwą owacją, grzmiącymi oklaskami i wiwatami, oraz obnoszeniem na rękach po sali.

Nie podobało się to wcale królowi, raziło go boleśnie, przejmowało trwogą i żalem, a co najważniejsze kompromitowało wobec opinii publicznej i Targowicy, której względy chciał sobie zjednać koniecznie.

Karcił też postępowanie synowca, wyrzucając mu:

— Mógłbyś przynajmniej nie zabierać mi tych, którzy chcą przy mnie pozostać...

Obarczał go też zarzutami, że daje zły przykład, rozzuchwała swoich przyjaciół, którzy pogardliwie

traktują samego Kachowskiego i agituja wśród wojska za podawaniem się do dymisji.

Czarę goryczy króla jednak przepelnił list dziękczynny a okólny ks. Józefa do wojska, za adres pożegnalny w Kozienicach.

Pisał w nim:

„Zdawałoby mi się uchybić wdzięczności i zaręczeniu, które Wam uczyniłem szacowni i odważni Koledzy moi, gdybym Wam nie doniósł i nie zdał sprawy z postępków mojego. Otrzymałem najlaskawszą od Najjaśniejszego Pana dymisję moją, służyć przestałem, lecz kochać, szacować Was i Waszą przyjaźnią chlubić się nie przestanę. Biliśmy się za rządzoną wolność, za sławę narodu, za szczęście wszystkich obywatelów. Była to wojna święta, bo żołnierz nie walczył za dumę swego króla, lecz za swobodę ojców i całość ziemi, w której się urodził. Okoliczności utruły nadzieje nasze; obca przemoc, duma kilku obywatelów, którzy w osobach swoich przywykli uważać szczęście lub nieszczęście kraju, przyprowadziły rzeczy do dawnej postaci; zatem lubo nie pobici, lubo nie zwyciężeni, błąkać się musimy i szukać obcej ziemi. Mundur nasz odtąd staje się smutnem odzieniem, bo nie jest więcej znamieniem prawdziwego powołania, sławy i obrony Ojczyzny. Trudno jest żyć w spo-

czeństwie ludzi, z których jedni znajdują słodcz, czyniąc ofiarę pysze i ambicji swojej z krwi rodaków, drudzy wiecznej niesławy zostali okryci cechą za przewinienia, których czystość powołania żołnierskiego znosić nie może. Te czucia moje śmiało i głośno zaręczam, prześladowania bowiem wzgardę tylko na siebie ściągają, tej zaś zemsty, która na szlachetnem i uczciwem się gruntuje przekonaniu, niezmużonem czekam okiem. Przykład niepodległości, i nieposłuszeństwa, który nam zostawili, nie skazi bynajmniej dusz naszych. Jest to trucizna w powołaniu naszym. Jeżeliśmy ramieniem naszym Ojczyzny zbawić nie mogli, przynajmniej tej zbrodni Ojczyzna nam nie wyrzuci. Ostatni raz Wam tę cnotę zalecam, przyjaźń, którą mi przysięgliście, przypominam. Rozbrat z nimi, a nieśmiertelny dla Was szacunek i przywiązanie zaręczam. Dan w Warszawie dnia 16 Augusta 1792 r..

Józef Xiążę Poniatowski, bywszy Głt.“

Tego nie mógł już ścierpieć Stanisław August, i posłyszawszy o tej odezwie, posłał swojemu Pepi kartkę bez daty:

„Jeśli to pismo prawdziwe, zmusza to mnie powiedzieć Ci raz jeszcze: ruszaj sobie stąd (alles-Vous en).“

Nie zapomniał jednak o zaopatrzeniu materjalnem, biorąc na siebie jego sługi i przeznaczając mu z własnej szkatuły pensję roczną.

W końcu sierpnia ks. Józef opuścił Warszawę, udając się na tułaczkę...

Los oszczędził mu smutnego widoku wkroczenia nazajutrz po jego wyjeździe do stolicy wojsk rosyjskich...

VI

Nie wyjechał jednak ks. Józef odrazu z kraju. Udał się zrazu do Lwowa, potem do Wielkopolski, gdzie czas jakiś przebywał w Racocie pod Kościanem u ks. Jabłonowskiej, i dopiero w końcu września udał się przez Drezno do Czech, do zamku Doxau, by odwiedzić matkę, a w końcu października 1792 r. stanął w Wiedniu.

Przybywał tam już nie jako młody a świetny oficer cesarski, lecz jako wódz polski, wstawiony nie tylko bojami, ale i cierpieniami swej Ojczyzny.

Namawiał go król, by wstąpił do służby wojskowej austriackiej lub angielskiej, lecz odmówił stanowczo... Odmówił z dwóch powodów — nie godziło się do niedawna wodzowi polskiemu iść, jak najemnikowi, w służbę obcą, a powtóre on, który w Polsce walczył o wolność swego narodu, nie mógł dopomagać obcym do ujarznienia walczących o wolność swoją Francuzów...

Trwał więc bezczynnie, oczekując chwili, która go znów do Polski, na bój o wolność powoła, a tymczasem prowadził zaciętą walkę z ścigającą go mściwie Targowicą...

Mściła się ona nad nim za stanowisko jego wobec

niej, za popularność wśród narodu, a głównem dążeniem jej było doprowadzenie go do wybuchu, przez co naraziłby się ostatecznie Rosji i dał sposobność do surowych represji.

Posuwano się do najnikczemniejszych sposobów..

Jednym z pierwszych był zakaz noszenia przez wojskowych krzyżów *virtuti militari*, które Targowica uznała za „czcze, żadne i niebyłe“, a zabroniła noszenia ich „pod karami osobistemi za nieposłuszeństwo rozciągając się mającemi... osoby zaś z wojska wyszłe, jeśliby takowe nosić ważyły się, „incapacitate honorum et muniorum“ sądzeni być mają.“

Wywarto nacisk na króla, ażeby zabronił synowcowi noszenia odznaki. Napisał król do ks. Józefa w tej sprawie, lecz otrzymał mocną a ostrą odpowiedź, która brzmiała:

„Byłaby to najpiękniejsza pochwała, najbardziej schlebiający mi dowód trochę tej zasługi, jaką mogłem nabyć, i świadectwo autentyczne a pochlebne, w opinii uczciwych ludzi... Wolałbym żebrać na kawałek chleba, zginać w nędzy, opuścić na zawsze ojczyznę, nawet wyrzec się szczęścia ucałowania Cię raz jeszcze w życiu, a wszystko już powiedziane, niż zmienić uczucia względem nich, niż pozwolić na wątpliwość, iż zdolny jestem do innego dla nich uczucia prócz pogardy i nienawiści!... We

wszystkich czasach królowie polscy mieli prawo ustanawiania orderów, więc obalenie wojskowego znaku istnieje dla tych tylko, co niegodni go nosić. Co do mnie, to z życiem chyba z nim się rozstanę i, jeśli kiedy mieć będę dzieci, zostawię im jako najpiękniejszą spuściznę i jako znak przypominający im krzywdę wyrządzoną im i wspomnienie najbardziej pochlebne, jakie im ojciec może zostawić. Znak niedwuznaczny, iż śmiało myśleć swobodnie w środowisku zdrajców i 100.000 Rosjan, iż walczył za szczęście swego kraju i chwałę swego króla.“

Wnet potem znów nowy regimentarz targowicki, Ożarowski, w październiku t. r. zażądał od niego, jako komendanta gwardji królewskiej, złożenia przysięgi na wierność Targowicy.

Na to nieprawne żądanie, gdyż dymisja ks. Józefa była pełną, odpowiedział on z najwyższą pogardą.

A zatem znów poszły: ogłoszenie nielegalności jego zarządzeń podczas kampanji, kasowanie wyroków sądów wojennych, przez niego zatwierdzonych, aż wreszcie posunięto się do zamiaru zniszczenia ręką kata stempla medalu, na cześć jego przez wojsko wybitego.

Wreszcie wystąpił przeciwko ks. Józefowi sam wódz Targowicy, Szczęsny Potocki, nienawidzący go

za to, że przejął po nim szarżę generał-lejtnanta.

W odezwie noworocznej do wojska ogłosił go głównym winowajcą nieszczęść krajowych i w obraźliwym zwrocie całkiem przejrzyście pod jego adresem dotknął jego godności żołnierskiej i obywatelskiej.

Wzburzył się tem ks. Józef i w styczniu 1793 r. listem prywatnym odpowiedział Potockiemu w słowach prostych, a mocą prawdy i oburzenia wprost druzgocących...

Odpowiedział mu na to Potocki w sposób wprost obelżywy, czyniąc zjadliwą aluzję do dziada jego i wytykając mu nieszlacheckie pochodzenie.

W odpowiedzi znów na to przesłał mu ks. Józef wyzwanie, żądając oznaczenia miejsca i czasu spotkania...

Odjeżdżając do Petersburga z hołdem do carycy, Potocki uznał porę za bardzo niestosowną, a plac spotkania wyznaczył mu w stolicy... nad Newą.

Wobec tego ks. Józef uznał tą propozycję za „arśmieszna“ i stwierdził, że Potocki, zelżywszy go, odmawia satysfakcji z bronią w ręku...

Dało to jednak pretekst do zastosowania względem niego represji, pod pozorem porywania się na życie głowy Targowicy.

Król, zaalarmowany mocno przez ambasadora moskiewskiego, Sieverssa, domagającego się pod wpływem Targowicy odebrania dóbr księciu, znów zasypał synowca listami, pełnemi wyrzutów i skarg, grożąc odebraniem pensji.

Ks. Józef odpowiedział w sposób prosty, zdając sprawę z całego swego postępowania, a w sprawie pojedynku oświadczył krótko, że jego honor do niego tylko należy. Co do pensji, odrzekł, że i bez niej da sobie radę, gdyż ma zdrowe ręce i może pracować, prosił tylko, by nie krzywdzono matki jego, która niczem nie zawiniła, chyba tem, że dała mu życie.

Złośliwość i zemsta Targowicy posunęły się jednak tak daleko, że odebrano mu właśnie Wielonę, z dochodów z której żyła chora matka jego, oraz starostwo żyzmorskie, tak że pozostał bez środków do życia...

Dopomagał mu jednak Stanisław August ze swoich funduszów, a w listach tłumaczył się z postępowania swojego, jakby chcąc usprawiedliwić się przed tym synowcem swoim, którego mu odebrało wojsko i Ojczyzna.

W serdecznych słowach odpowiadał mu ks. Józef, lecz w każdym liście nieomal przypominał mu honor i dobrą sławę.

Toczące się wtedy układy rozbiorowe między Prusami a Rosją z pominięciem Austrii, budziły w zaborcach niepokój, że ta ostatnia szukać będzie odwetu i za narzędzie do tego użyje ks. Józefa i emigrantów polskich, w Wiedniu przebywających.

Z tych względów poseł rosyjski, Razumowski, żądał urzędownie usunięcia ks. Józefa z Austrii, a sam król Stanisław August, pod naciskiem zaborców, do-

magął się od niego stanowczo, ażeby wyruszył w podróż do Anglii, Włoch, Niderlandów...

Ustał ks. Józef i w lipcu 1793 r. wyruszył w podróż do Brukseli, gdzie przebywała jego siostra, już obecnie Wincentowa Tyszkiewiczowa.

I tam jednak dosięgła go zemsta Targowicy, a to na tle krzyża Virtuti Militari. Został on ostatecznie zniesiony w grudniu t. r. decyzją Rady Nieustającej i wtedy musiał ks. Józef ulec naleganiom króla i w styczniu 1794 r. odesłał mu z Brukseli swój krzyż Virtuti Militari, a wraz z nim, mimo protestów króla, i orderzy św. Stanisława i Orła Białego.

Bezczynn timerpędzał ks. Józef czas w Brukseli, a znalazłszy wśród wojskowych austriackich wielu przyjaciół i znajomych, brał udział w licznych zabawach, odbywających się tam licznie pomimo toczonych w pobliżu bojów z armją republikańską francuską...

Tam też, w domu siostry, poznał emigrantkę, a raczej awanturnicę francuską, Henrjetę z Brabantu, „margrabinę“ Vauban, z którą zwiąawszy swe życie, nie rozstawał się, ze swoją szkodą, aż do śmierci.

Nagle w ten wir zabaw brukselskich, z wiosną r. 1794, wpadła jak piorun wieść o rewolucji kościuszkowskiej w Polsce, o powstaniu narodu celem zrzucenia jarzma najeźdźcy...

VII

Ks. Józef został tą wieścią rażony, jak gromem...

Jakto, tam, w kraju, przygotowywano się do walnej rozprawy o wolność, naradzano się, zbierano siły, i to wszystko czyniono poza nim, bez jego wiedzy...

Pominięto go w tych pracach w zupełności, nie wtajemniczono go, pomimo wszystkich zasług, jakie dla Ojczyzny położył, pomimo gorącego jej umiłowania, którego tak liczne dał tak niedawno dowody...

Zabolało go to srodze, choć mógł wytłumaczyć to sobie nienawiścią opinji, jaką otaczano króla, a z nim cały ród Poniatowskich, jak również i prywatnymi względami niektórych z działaczy, pałających ku niemu niechęcią z różnych względów.

Stał na rozdrożu, nie wiedząc, co czynić... Był gotów każdej chwili usługi swe ofiarować Ojczyźnie, bez względu na stopień, jakiby mu przyznano, lecz skrępowany był obawą, czy przybycie jego do kraju nie będzie przez niechętnych poczytane za dążenie do odzyskania naczelnego dowództwa, co znów mogłoby być uważane przez prawdziwego Naczelnika za objaw wrogi, a co najmniej niepożądany...

Szałę decyzji przechylił list króla, wzywający go

nagwałt do powrotu do kraju... Żądanie to wynikało z pobudek wyłącznie egoistycznych, gdyż król, osamotniony, opuszczony przez wszystkich we wzburzonej, zrewolucjonizowanej Warszawie, pragnął z niego uczynić moralną tarczę dla siebie...

Rozumiał to dobrze ks. Józef, lecz prócz miłości dla stryja, przeważyło pragnienie wzięcia udziału w tych walkach o wolność Ojczyzny...

Więc w pierwszych dniach maja, w towarzystwie nieodstępnych przyjaciół, generałów Wielhorskiego i Bronikowskiego, wyruszył w drogę do Polski, by stanąć przed Kościuszką, ciągnącym na Warszawę po zwycięstwie raclawickiem...

Niebezpieczną drogę przez Galicję odbył w przebraniu, a w końcu maja stanął w obozie pod Jędrzejowem...

Nie spodziewał się tam zbyt gorącego przyjęcia, o czem go zawczasu uprzedzono, dodając, że nawet przez wojsko nie jest lubiany...

Szedł z bólem w sercu, niepewny przyjęcia, na szczęście jednak zaraz na wstępie do obozu spotkał swego dobrego przyjaciela, ks. Eustachego Sanguszkę, który go zaraz zaprowadził do Kościuszki...

Stanęli przed sobą w opactwie jędrzejowskiem były wódz i jego podkomendny, teraz wolą narodu do godności wodza wyniesiony. Przyjęcie było suche, zimne, jakby niepewne. Ks. Józef był w stroju cywilnym, podróżnym, czarnym, a Kościuszko w sukmanie, którą od bitwy raclawickiej stale nosił.

Pierwsze zapytanie padło z ust Kościuszki, a było twarde, może ostre nawet:

— Czego książę sobie życzysz?

— Służyć prostym żołnierzem, — odpowiedział spokojnie, z godnością, były wódz naczelny.

Czar słów tych był taki, że opadła wnet surowość Kościuszki, który zaraz przybrał inny ton i ofiarował mu dowództwo na Litwie.

Lecz ks. Józef odmówił, proponując na swoje miejsce Wielhorskiego, sam zaś prosił o pozwolenie udania się niezwłocznie do Warszawy, gdzie wzywał go do swego boku pełen lęku król, względem którego miał znaczne obowiązki...

W czasie rozmowy obydwóch wodzów, Sanguszko przygotowywał wśród oficerów i żołnierzy przyjęcie dla ks. Józefa. Zrazu nastrój był niechętny, lecz gdy się ukazał, odżyły dawne wspomnienia, wojska wystąpiły pod broń, rozległy się wiwaty...

Lecz po jakimś czasie powrócił dawny nastrój, który trwał i nazajutrz, gdy po przenocowaniu w namiocie Sanguszki, opuszczał ks. Józef rankiem obóz, by udać się do Warszawy.

Trudną wielce była droga do stolicy, gdyż przecinały ją oddziały grasujących po kraju wrogów, to też dopiero w pierwszych dniach czerwca stanął w niej ks. Józef.

Smutnem wielce było przywitanie stryja z synowcem... Nieufność, otaczająca króla, rozciągniętą

została i na ks. Józefa, który znalazł się osamotniony, opuszczony prawie przez wszystkich...

Ratowała go od zupełnej rozpaczycy garść przyjaciół, z Mokronoskim na czele.

Pragnął brać udział w walkach, rwał się do nich, to też gdy Mokronoski swoją dywizją miał wyruszyć w pole przeciwko Prusakom, prosił o pozwolenie uczestniczenia w tej wyprawie w charakterze zwykłego ochotnika.

Po długim dopiero namyśle i rozważaniach zgodzono się na to, i ks. Józef w początkach lipca wziął udział w starciach z Prusakami pod Błoniem.

A musiał stawać tam dobrze, kiedy Józef Wybicki, Komisarz Rady Najwyższej Narodowej, podkreślał wyraźnie jego zasługi.

Musiano cofnąć się jednak do Warszawy, regularnie obleżonej przez Prusaków od połowy lipca.

Tu zaczęła się prawdziwa gehenna życiowa ks. Józefa, na którym ciążyło doprawdy przekleństwo rodu.

Mimo obrony Wybickiego i Kościuszki, ostro wobec niego występowali i podburzali przeciwko niemu wojsko i lud czerwoni radykalni, z gen. Zajączkiem, Kollatajem i innymi na czele...

Pocziwy Kościuszko, jak mógł, tak łagodził te antagonizmy, wyróżniał go przez powierzenie mu dowództwa korpusu Mokronowskiego, po wysłaniu tegoż na Litwę i zlecił mu obronę ważnej części linii obronnej od Powązek do Młocin, oraz utrzymywał stosunki

koleżeńsko-przyjacielskie przez częste odwiedzanie na pozycji...

Dobroć ta bolała go może więcej od zawziętości mniej szlachetnego otoczenia jege. Czuł się krzywdzonym, zdegradowanym, a przytem trudno mu się było przystosować do panującej wszechwładnie atmosfery rewolucyjnej...

Choć z przekonań swoich był raczej demokratą, choć stawał stale w obronie uciskanych włościan, domagał się nadania praw mieszczanom, jednak nie mógł w żaden sposób pogodzić się z ostrą zmianą w obyczajach, stosunkach i nastrojach...

A do tego jeszcze dołączały się tragiczne losy jego rodu, a zwłaszcza stryjów... Król, prawie że trzymany pod strażą, w obawie, by nie porozumiewał się z wrogiem, drugi stryj, prymas Michał Poniatowski, publicznie oskarżony o zdradę, w truciźnie szukający ucieczki przed strasznym losem innych zdrajców — Kossakowskich, Ożarowskich, Massalskich...

Czyż to nie straszliwy ciężar dla człowieka o tak wysokiem pojęciu honoru?...

Ucieczki też przed trapiącemi go myślami szukał w trudzie wojennym... Trwając na posterunku swoim na Powązkach, na stanowisku bardzo narażonem na ataki nieprzyjaciela, na czele swego kilkotysięcznego korpusu toczył niemal codziennie walki z wrogiem, osobiście prowadził wycieczki, biorąc niewolników...

Traktował ich w sposób rycerski, pisząc, między

innemi, do komendanta Warszawy, gen. Ostrowskiego:

„Posyłam Ci, generale, ośmiu aresztantów pruskich, za którymi mocno Cię proszę, aby nie byli źle traktowani i, jeśli być może, w kajdany nie okuci; nadewszystko zaś rekomenduję Ci starego kaprala huzara, którego sposób wzięcia wzbudza moją dla niego tkliwość“...

Powodzenie jego w walkach, a zwłaszcza odparcie Prusaków aż za Górcę, wywołało podziękowanie i pochwały Kościuszki, które były dla niego bardzo cenne, gdyż nastąpiły w parę dni po śmierci prymasa.

Lecz wkrótce opuściło go szczęście.

W drugiej połowie sierpnia Prusacy, rozpoznawszy słabe strony pozycji Poniatowskiego, przypuścili do niej całą siłą niespodziany atak nocny, opanowali Góry Szwedzkie i Wawrzyszew, zdobyli baterję z ośmiu dział.

Winien temu był częściowo podwładny mu dowódca baterji na Górach Szwedzkich, lecz w znacznej części i nieopatrność ks. Józefa, który nadomiar przypadkowo w chwili ataku nie był obecny na pozycji...

Na odgłos pierwszych strzałów przybył natychmiast na swoje stanowisko, walczył aż do dnia, nie szczędząc życia, miał konia pod sobą postrzelonego, mundur i kapelusze przeszyte kulami, odniósł nawet lekką kontuzję, lecz sytuacji poprawić nie zdołał...

Ogarnęła go wnet potem rozpacz bezgraniczna, gdyż rozumiał dobrze, że z utratą szanów i armat traci swą reputację wodza, że jemu zwłaszcza nic nie będzie darowanym...

Rzeczywiście, obrzucono go za to całym potokiem oszczerstw i zniewag, posuwając się aż do zarzutu zdrady.

Głęboko dotknięty tem wszystkim, zdał dowództwo Dąbrowskiemu, usuwając się narazie od działań wojennych.

Niedługo jednak trwała bezczynność jego, gdyż już we wrześniu, na żądanie Kościuszki wrócił do dowództwa, poprzestając jednak tylko na drobnych rekonesansach.

W październiku po raz ostatni wyprawił go Kościuszek na czele kilkotysięcznego korpusu nad Bzurę, celem nawiązania łączności z Dąbrowskim, działającym już w Wielkopolsce... Przez błędne manewrowanie jednak, nie zajął Kamiennej i nie otworzył mu drogi do odwrotu...

W czasie tym insurekcja otrzymała cios śmiertelny przez wzięcie Kościuszki do niewoli pod Maciejowicami...

Nadeszły straszliwe dni listopadowe, a po wzięciu i wyrznięciu Pragi przez Suworowa, uzyskał ks. Józef od Wawrzeckiego, który po Kościuszcze objął naczelne dowództwo, pozwolenie powrotu do Warszawy...

Po przegranej, ogarnięty rozpaczą, pod naciskiem

króla, oddał dowództwo gen. Kamienieckiemu, kończąc w ten sposób najnieszczęśliwszą dla siebie kampanję, która pomimo osobistej brawury i lojalności, naraziła na szwank jego reputację wodza i w opinii ogólnej zepchnęła na plan drugi z dotychczasowego stanowiska przodującego...

Przyczyniła się do tego również i sytuacja wobec króla, łączące go z nim węzły, których potargać nie pozwalało mu serce...

Po raz wtóry ks. Józef powrócił do życia prywatnego...



VIII

Ciężkie, może najcięższe w życiu chwile przeżył ks. Józef w Warszawie po upadku insurekcji.

Patrzył na walące się w gruzy nadzieje narodu, na krwawy tryumf zwycięzców, i czuł swą bezsilność, swą niemoc, czyż to nie za wielką męką dla jego czulego, miłującego gorąco Ojczyznę serca?...

A mękę tą jeszcze potęgowała zależność od stryja, który sam brnąc w bagnisku zła, otoczony nienawiścią i niechęcią ogólną, na co trzydziestoletnimi rządami swemi w zupełności zasłużył, usiłował wciągnąć w nie i synowca swego, przypominając mu wciąż dobrodziejstwa, jakie mu uczynił, domagając się wdzięczności..

Pozostawiony na wolnej stopie w Warszawie, po zajęciu stolicy przez Suworowa, ks. Józef biernie poddawał się żądaniom stryja, zachowując jednak wszędzie swą godność, okazując takt...

Złożył wizytę feldmarszałkowi, gdyż to nie uwlaczało honorowi żołnierskiemu, lecz stanowczo odmówił królowi, gdy ten zażądał, ażeby towarzyszył mu na wygnanie do Grodna, gdzie miał się odbyć ostatni akt haniebnej tragedji — upokarzająca abdykacja...

Odmówił również stanowczo włożenia odesłanych przed rokiem orderów św. Stanisława i Orła Białego...

Opór jego był stanowczy, zdecydowany i nie go przełamać nie mogło, nawet groźby królewskie, że go opuści, że go się wyprze raz na zawsze, co było ważnem wobec trudności materialnych ks. Józefa. Nie pomogły nawet listy matki, która za namową króla usiłowała wpłynąć na syna. Na wszystkie nalegania króla odpowiadał ze smutkiem:

— Życie stałoby się dla mnie ciężarem, gdyby nie towarzyszyło mu wewnętrzne poczucie, że nie mam sobie do wyrzucenia nikczemności...

Depresja duchowa ogarnęła go do tego stopnia, że nie krył się zupełnie ze wstrętem do życia, że w samobójstwie jedynie widzi wyjście z tej trudnej sytuacji...

A na pogróżki królewskie cofnięcia wszystkich dotychczasowych dobrodziejstw, odpowiadał:

— Zostaw mnie, Najjaśniejszy Panie, zapomnij o mnie, odepchnij od siebie... może za to kiedyś moje ręce, im będą czystsze, tem godniej potrafią Ciebie pielęgnować w potrzebie...

Nie mógł już na to nie poradzić król, i gdw w styczniu 1795 r. na rozkaz carcy wyjeźdżał do Grodna, pożegnanie jego z synowcem, ostatnie w życiu, było bardzo czule...

Ks. Józef pozostał sam w opustoszałej stolicy, ze swoimi kłopotami moralnymi i materialnymi...

Prawda, uzyskał wtedy spadek po stryju, pry-

masie, w postaci dóbr Jabłonna i Wieliszew, lecz te były tak zrujnowane, że o dochodach z nich nawet marzyć nie mógł... Prawda, darował mu stryj-król pałac pod Blachą, tuż przy zamku położony, lecz ten wymagał tylko wkładów, dochodów zaś żadnych nie dawał...

Ks. Józef, znużony życiem, pragnął wypoczynku i w tym celu zamierzał osiąść na stałe w Jabłonie, którą zaczął urządzić na stały pobyt...

Lecz nie dali mu spokoju gorliwi urzędnicy moskiewscy, w rodzaju komendanta miasta, gen. Buxhövdena i innych, którzy ganiąc zbędną, ich zdaniem, łagodność Suworowa, poczuli oskarżać ks. Józefa przed najwyższymi dygnitarzami w Petersburgu, ba, przed samą nawet carycą...

Szły jeden za drugim donosy nad Newę, że chadza on po Warszawie bez orderów, w starym płaszczu rewolucyjnym, ugaszcza i utrzymuje mnóstwo oficerów zniesionej armji polskiej...

Echa tych donosów dotarły i do Grodna, do króla, który z trwogą zaczął zasypywać synowca listami, dopytując się, jak się sprawuje? jak ubiera, czy nie, broń Boże, po parysku? jak włosy nosi, czy czasem nie krótko strzyżone, po jakobińsku?...

Błagał go przytem, ażeby zaprzestał tych demonstracji, które mu tylko szkodę przynieść mogą...

Tłumaczył się nieszczęsny ks. Józef, jak umiał, z tych zarzutów, wykazując całą ich bezzasadność, zapewniał, że unika wszelkiej polityki netylko w ubiorze, ale i we fryzurze, że nawet usiłuje zapuścić

choćby „cień warkocza“, że stara się za wszelką cenę być podobnym do wszystkich Anglików, do wszystkich emigrantów francuskich, do wszystkich ludzi dobrze myślących...

Nie odniosły jednak te tłumaczenia żadnego skutku. Zarządzeniem carycy nie został dopuszczony do przysięgi na starostwa, posiadane na Litwie, a zaraz wkrótce potem, w kwietniu 1795 r., otrzymał od króla stanowczy nakaz wyjazdu z Warszawy do Wiednia.

Posłusznie udał się do stolicy naddunajskiej.. Przybywał tam już nie dawny młody, piękny, porywający wszystkich, pełen życia rycerz...

Przejścia lat ostatnich, gorycz, jakiej zaznał, odbiły swe piętno i na powierzchowności jego... Znikł dawny elegant, a zjawił się człowiek przedwcześnie postarzały, bez peruki, bez pozy, obojętny na wszystko, niedbały, pochłonięty wewnętrzną swą zgryzotą, z włosem rzadkim nad zmęczonem czołem, o twarzy wymizerowanej, wychudłej, zadumanej, o przygasłych, smutnych oczach...

W Wiedniu przebywał przez trzy lata, mieszkając w odległej dzielnicy miasta, na Josephstadt, mając za całe towarzystwo jedynie siostrę, panią Tyszkiewiczową, i nieodstępną już panią Vauban.

Rozproszyło się już całe dotychczasowe otoczenie świetnego ks. Józefa, zbrakło umiłowanej przez niego hrabianki Katarzyny Thun, która wyszła za mąż za lorda Guilford...

Trapiły go, oprócz kłopotów materialnych, oraz depresji duchowej, przeróżne choroby, jak oczów, febra, żółtaczka, oraz otwarcie dawnych ran...

W osamotnieniu swoim znosił to wszystko, zrezygnowawszy ze wszystkiego, nie czekając już lepszej doli...

Spokój ten jego naruszony został w r. 1796, gdy po śmierci carycy Katarzyny II, wstąpił na tron syn jej, Paweł...

Car ten, całe życie nienawidzący matki, naprzekór jej, choćby po śmierci, obsypał Polaków, pozostających w niewoli, łaskami swemi.

Uwolnił z niewoli Kościuszkę i innych generałów, oficerów i żołnierzy, okazując im wielkie względy...

Nie zapomniał również i o ks. Józefie... Natychmiast prawie, w parę tygodni po objęciu rządów, w początkach grudnia 1796 r. zatwierdził go bez żadnych warunków w wieczystej własności dziedzicznej starostwa żyzmorskiego, uczpolskiego, i części wielońskiego w nowej gubernji wileńskiej, oraz Bejsagoly w powiecie szawelskim...

Nadomiar wszystkiego mianował go nagle na rewji rosyjskim generałem-lejtnantem jazdy i nadał mu własność kazańskiego pułku kirasjerów.

Te sypiące się gradem na księcia Józefa łaski, postawiły go w nader trudnej i drażliwej sytuacji. Nie wiedział co czynić, ażeby wybrnąć z tego, a zwłaszcza, ażeby nie rozdrażnić cara-fantasty, z łatwością przerzucającego się z jednej ostateczności w drugą...

Bał się zrazić go odmową, gdyż wiedział, że odbić się to może fatalnie na losach Polaków, pod jego władzą zostających i od jego kaprysu zależnych...

Przyjąć zaś tych wszystkich dobrodziejstw nie pozwalał mu jego honor...

Przedewszystkiem więc załatwił kwestje majątkowe. Konieczną w tym wypadku przysięgę poddańczą na prawie mu się należące dobra litewskie złożył w Wiedniu na ręce posła Razumowskiego, i wszystkie, otrzymane w ten sposób dobra sprzedał niebawem za bezcen marszałkowi Pusłowskiemu...

Następnie w piśmie do cara Pawła podziękował mu gorąco za wszystkie dobrodziejstwa, okazane współrodakom i jemu, a zarazem odmawiał stanowczo przyjęcia służby wojskowej rosyjskiej, motywując to chorobą, oraz oświadczeniem kategorycznym, że do żadnej obcej służby, nawet i austriackiej, wstąpić nie zamierza...

Równocześnie przybywać do niego zaczęli kurjerzy, jeden za drugim, od króla Stanisława Augusta, który na żądanie cara Pawła przenosząc się z Grodna do Petersburga, pragnął go mieć przy swoim boku...

Na wszystkie jednak te zaprosiny księżę Józef odpowiadał odmownie, wymawiając się chorobą, a nawet przesyłając świadectwo lekarskie...

Powodem tego była niechęć porzucenia życia odłudnego coprawda, lecz względnie spokojnego, jak również i kłopoty materialne, w jakich skutkiem rozrzutnego, niegospodarnego postępowania siostry

swej, Tyszkiewiczowej, i pani Vauban, się znajdował...

Dochody jego, mimo znów wypłacanej przez króla, choć nieregularnie, pensji miesięcznej 600-700 dukatów, mimo wpływów z dzierżaw, były niewystarczające, a obciążone jeszcze były pensją, wypłacaną matce...

Dużo kłopotów również sprawiało mu postępowanie jego plenipotenty generalnego dóbr w Polsce, gen. Kamienieckiego, któremu z zaufaniem powierzył zarząd tychże...

Niefortunny ten wybór wywołał cały szereg powikłań natury nie tylko materialnej, ale i moralnej, gdyż uciskana przez niego ludność dóbr podwarszawskich burzyła się, występowała przeciwko niemu, a nawet słała delegacje do dziedzica, do Wiednia, ze skargami i prośbami...

Czynił im zadość ks. Józef, lecz wytworzony przez gen. Kamienieckiego stosunek okazał się bardzo szkodliwym dla całokształtu jego interesów, gdyż dawał świeżo instalowanym władzom pruskim sposobność do interwencji, dla obu stron szkodliwej...

Zamęt, spowodowany nowymi traktatami podziałowymi na ziemiach Rzeczypospolitej, wraz z nowymi prawami, odbił się fatalnie na stosunkach majątkowych ks. Józefa...

W labiryncie ich z trudem dawał sobie radę gen. Kamieniecki, a ks. Józef zamyślał już poważnie o pozbyciu się w zaborze pruskim wszystkich dóbr swoich... Zachęcał go do tego gorąco gen. Kamie-

niecki, podsuwając nabywców na Jabłonnię w osobach spekulantów pruskich, oraz na pałac pod Blachą w postaci intendencji pruskiej...

Obydwie te transakcje nie doszły jednakże do skutku, a wkrótce potem rezydencje te miały stać się stałą siedzibą ks. Józefa, którego okoliczności zmusiły do przeniesienia się do Warszawy...

Mianowicie w lutym 1798 r. zmarł nagle w Petersburgu, opuszczony przez wszystkich, przebywający tam na wygnaniu, nieszczęsny król Stanisław August Poniatowski...

Wielokrotnie wzywał ks. Józefa do siebie zdetronizowany król, lecz ten nie spieszył się z wyjazdem, choć przez to narażał się na znaczne przykrości, i pod różnymi pozorami odkładał wyjazd na później...

A wreszcie przyszła wieść o śmierci króla i ks. Józef wiosną r. 1798 podążył nad Nową, ażeby choć w trumnie ujrzeć i pożegnać tego stryja, którego, mimo jego wad i przywar, kochał szczerze i gorąco, i nawzajem był przez niego kochany...

Przyjęty z wielką łaskawością przez cara Pawła, bawił tam parę miesięcy, załatwiając wszystkie sprawy homagialne i spadkowe...

Car Paweł podejmował go serdecznie, mianował przeorem Zakonu Maltańskiego, nominalnie rozkazał wnieść go do rang-listy wojskowej rosyjskiej w stopniu generał-lejtnanta i szefa kazańskiego pułku kirasjerów...

Z godnością przyjmował te wszystkie oznaki

łaskowości carskiej ks. Józef, a gdy zakończył wszystkie sprawy, wyrwał się od wszystkich wspaniałości dworu carskiego, jak ze złotej klatki, i podążył czemprędzej nad Wisłę, do pozostającej pod pruskiem berłem Warszawy, by osiąść tam na stałe, by zrosnąć się nazawsze z tem miastem, które umiłowaniem jego miało zostać i które mu z czasem równą miłością odplacić miało.

IX

W zamarłej, opustoszałej, uginającej się pod pruskim batem Warszawie, zamieszkał ks. Józef w końcu 1798 r.

Siedzibą jego został pałac pod Blachą, dar królewskiego stryja.

Spędził w nim długi szereg lat pozornie beczynie, spokojnie, a jednak szarpany mękami niewysłowionymi, dręczony bólem tajonym, rwąc się do czynu, do sławy, o których marzył od lat dziecinnych, a których jednak, skrepowany przekłębem „dziedzictwem rodu“, nie mógł spełnić, nie mógł urzeczywistnić.

Podczas gdy on w pałacu swym pod Blachą i w odziedziczonych po stryju-królu Łazienkach gościł emigrantów francuskich, przedstawicieli tej arystokracji, z którą był pochodzeniem związany, wypędzonych z kraju ojczystego przez lud, dobijający się wolności, tam właśnie z tym ludem, który sercu jego był bliższy, i przy jego pomocy, tworzyły się zastępy polskie...

Tam na ziemiach francuzkiej i włoskiej, pod wodzą Dąbrowskiego, Kniaziewicza i innych, tworzyły się legjony, oszalałe jedną potężną myślą — wywalczenia przez wolność innych ludów — wolności własnemu narodowi...

Z napiętą uwagą słuchał wieści, dobiegających go z tych krajów dalekich o tworzonych zastępach, o ich pierwszych walkach i pierwszych zwycięstwach...

Duszą i sercem był z nimi, z tymi wywołańcami, którzy po utracie Ojczyzny nie założyli rąk bezczynnie, nie lamentowali nad jej niedolą, lecz działali, tworzyli czyn rycerski, ażeby tylko zaznaczyć, że „jeszcze nie zginęła“...

Rwał się do nich, pragnął znaleźć się w ich szeregach, by pospołu z nimi kroczyć z bronią w rękę do wolności, do wyzwolenia Ojczyzny, lecz wyrosła przed nim nieprzebyta wprost zaporą, zbudowana rękoma tych, z którymi razem walczyć i działać pragnął...

Było to znów owo przeklęte „dziedzictwo rodu“, była to owa wieczysta zmora, gnębiąca go od lat paru, a w spadku po stryjach — królu i prymasie — odziedziczona...

Wchodziła tu również w grę i jego godność osobista, owo przepotężne uczucie honoru, który tak cenił wysoko, nad życie przekładając, a który tak boleśnie tam, na emigracji, raniono...

Ci wszyscy zbiegowie z niewolnej Ojczyzny pod wolne sztandary Republiki Francuskiej, nie mogli ukryć rozczalenia, głębokiej goryczy na myśl, że on, dawny ich wódz, w którym takie niegdyś nadzieje pokładano, zażywa spokoju i beztronski, w zupełnej bezczynności, pod obcą protekcją zaborców, korzystając obficie z owoców niedoli Ojczyzny...

I gorycz tą swoją wylewali na papier, poniżając w opinii ogólnej tego niegdyś swego bohatera, odmawiając mu teraz wszelkich zasług, poniewierając nim, tarzając nieomal w błocie...

A więc najpierw sławny już wtedy Dąbrowski, w głośnym swym „Przyczynku“, rozchwytywanym przez publiczność i fachowców wojskowych, z powagą rzeczoznawcy, krótko, lecz dobitnie, osądził zachowanie się Poniatowskiego w czasie insurekcji, wytykając wszystkie jego błędy.

Z furją runął na niego Zajączek w namiętej swej „Historji“... Jako naoczny świadek, w słowach przepojonych nienawiścią, ujawniał światu wszystkie jego rzekome machinacje, fanafaronadę, złą wolę, zdzierał „falszywą duszy jego wspaniałość“, wyśmiewał „komiczną jego kampanję 1792 r.“, — mieszał go z błotem i wylewał na niego całe potoki nienawiści i potwarzy...

Następnie znów jakiś anonim, pod którym podejrzewać należało gen. Zajączka, w bardzo czytanim i rozpowszechnionym „Dykcjonarzu biograficznym“, zamieścił skarykaturowany aż do ohydy wizerunek ks. Józefa, który „wiele ma w charakterze wspólnego ze swoim stryjem (królem)“, dźwiga na sobie odpowiedzialność za „liczne błędy“, „wszystkim stronnictwom jest podejrzany“, a przez obecne służalcze swoje postępowanie względem cara Pawła, zatwierdza wszystkie podnoszone przeciw sobie oskarżenia“...

W licznych gronie tych oszczerstw nie zbrakło

nawet i zacnego gen. Kniaziewiczza, który w swem doniosłem programowem piśmie publicznem, oceniając ostatnią nieudalą próbę wyzwolenczą i kreśląc nowej, pomyślniejszej sposoby i widoki, bez imiennego wytknięcia ks. Józefa, dość przejrzyście jednak go za przeszłość potępiał i dość wyraźnie wykluczał na przyszłość, pisząc:

„Ponieważ generałowie nasi niektórzy mieli przywiązanie do królów, wszystkiemu zatem byli przeciwni, co stwarzała rewolucja... zamiast zachęcania ludu, gardzili bronią i ludem... Życzylbym, aby żadnego nie używać generała do obrony wolności, który do niej przywiązanym nie jest; nie spuszczam się na wierność, ta cnota jest wspólna niewolnikom i służalcem...”

Najdokuczliwszym jednak ze wszystkich okazał się gen. Zajączek, typowy warchoł, nienawidzący śmiertelnie ks. Józefa i starający się wszelkimi sposobami dokuczyć mu...

Pisane przez niego paszkwile krążyły w znacznej ilości, docierając wszędzie, a gdy dotarły do Warszawy, były wprost rozechwytywane przez wszystkich.

Ból serdeczny przejmował ks. Józefa na tą nieuczciwą kampanję, wytoczoną przeciwko niemu przez jawnych towarzyszy broni, zwłaszcza iż do żadnej nie poczuwał się winy...

Chciał się bronić, chciał odpowiedzieć na wszyst-

kie zarzuty publikacją wyczerpującą, źródłową, opartą na dokumentach, zbierał materiały, porządkował je, gdy naraz ze strony jego byłych podkomendnych, którym tą pracę powierzył, padło zapytanie:

— A co będzie, jeżeli w tem dziele, które ma wyjść ku obronie Waszej Książęcej Mości, król nie będzie mógł być od nagany zachowany?...

Zastanowił się nad tem książę, i doszedłszy do wniosku, że nie należy bronić honoru własnego szarżowaniem honoru tego, który już bronić się nie mógł, zaniechał tej myśli, poświęcając sprawę osobistą obowiązкови wdzięczności i czci dla stryja...

Zamknął więc ból swój w głębi serca i pozornie pogodną okazując twarz, brał udział w przyjęciach, wyprawianych przez gościnną a ultra rojalistyczną panią Vauban ku czci coraz liczniej napływających do Warszawy rzesz emigrantów francuskich.

W masie tych zabaw jednak bacznie nasłuchiwał wieści, płynących z odległych ziem włoskich, gdzie legjony polskie krwawiły się w zaciętych walkach, myśląc, że tą drogą torują sobie drogę do wolnej Ojczyzny...

Choć przywódcy legjonów ranili dośkliwie jego dumę, dla samych legjonów, jako dla idei, jako dla czynu rycerskiego, czuł wielki sentyment, z którym się wcale nie krył...

Przybywających do Warszawy a odwiedzających go legjonistów, przyjmował jako najdroższych gości, gaszczał, wyróżniał na wszelki sposób i z płańc-

mi oczyma słuchał ich opowieści o toczonych walkach...

Czasem tylko z piersi jego wydierało się jakby westchnienie żalu, że nie danem mu jest brać w nich udziału, westchnienie tęsknoty za dziełem rycerskim, którego tak pragnęła jego żadna czynu dusza...

Niewiele mniej od przeżyć moralnych ciążyły mu kłopoty materialne. związane ze spadkiem po zmarłym królu...

Ciężyły mu one, jak kajdany, a były tak zawikłane, tak poplątane, obciążone tyłu długami usprawiedliwionymi, i nieusprawiedliwionymi, że wszyscy spadkobiercy zrzekli się go wobec przewidywanego deficytu, zastrzegając jednak swe prawa w razie pomyślnej regulacji...

Cały ten ciężar bohatersko wziął na swoje barki ks. Józef, a to znów w jedynym celu, aby „uratować pamięć ś.p. Stanisława Augusta od sromoty bankructwa“...

Znów podjął się ratowania honoru stryja, powodowany wdzięcznością dla niego...

Przy windykowaniu tego spadku musiał przymusowo stać się zależnym od administracji, sądownictwa, a w końcu nawet i od dworu pruskiego.

Nie mogło już przytem być mowy o pozbyciu się poddaństwa pruskiego, gdyż główna część tego dziedzictwa znajdowała się w Warszawie, jak nieruchomości w Łazienkach i Belwederze, z obszernymi gruntami, Ujazdów, młyn hydrauliczny, cały szereg gruntów emfiteutycznych na przyległych ulicach, te-

atr, poczta z całym kompleksem przyległych posesji i t.d., nadomiar wszystkiego dochodziły do tego cenne zbiory, obrazy, meble i t. p.

Był to obiekt bardzo cenny, wprost wspaniały, lecz wymagający dużych środków dla jego utrzymania...

To też pierwszym krokiem ks. Józefa było wyłożenie z własnej kieszeni znacznych sum na pokrycie zaległości i bieżących wydatków.

Zagięły na te skarby parol władze pruskie, pragnąc wywłaszczyć z nich ks. Józefa i zagarnąć dla siebie bez trudu... Rozpocząły się też przeróżne szykany, trudności, bezprawia wprost ze strony władz politycznych, skarbowych i policyjnych nawet, że chwilami ks. Józefowi i pełnomocnikom jego wprost ręce opadały.

Zawziął się jednak i mimo widocznych dążeń władz pruskich do wykurzenia go z Warszawy, a przez to oddania tych skarbów bez odszkodowania, trwał przy swoim...

A gdy wszelkie protesty na bezprawia władz nie pomagały, gdyż pozostawały bez skutku, zwrócił się osobiście do naczelnego zarządcy Prus Południowych, do ministerjum berlińskiego i do samego króla.

Wystosował obszerny memorjał, w którym wyłuszczał drobną część doznanych krzywd i dokuczliwości, i przyznawał, że „niemasz zapewne żadnego pod-

danego Jego Królewskiej Mości, na którym ciężłyby ucisk tak trudny do zniesienia.“

Prócz tych trudności urzędowych, spotykał niezliczone domagania się regulacji wierzytelności, ni-
czem nieuzasadnionych, korzystających z zawikłanej
procedury jurysprudencji pruskiej i gnębiących go
pretensjami, nie opartymi na niczem...

Usiłował się wywikłać z tych wszystkich trudno-
ści, a gdy osaczony ze wszystkich stron, ujrzał się na
skraju zguby, postanowił w tej ostateczności zwrócić
się osobiście z apelem do króla pruskiego Fryderyka
Wilhelma III.

Udał się osobiście w r. 1802 do Berlina i poży-
skawszy pomoc ks. Antoniego Radziwiłła, żonatego
z kuzynką królewską, Luizą Hohenzollern, przedsta-
wiony królowi, przedstawił mu w sposób zwięzły
wszystkie swoje kłopoty sukcesorskie.

— Znalazłem się, Najjaśniejszy Panie, — mówił:
w przepaści bezdennej i bezbrzeżnej, nie mając na-
dziei wydobycia się z niej przez życie całe...

Z otwartością żołnierską żądał sprawiedliwości,
zwłaszcza w dwóch kierunkach: zaprzestania dotych-
czasowych szykan administracyjnych, oraz zapobie-
żenia dalszym grabieżom procesowym...

Trafił na bardzo sprzyjającą chwilę polityczną,
gdyż w czasie owym w kołach dworskich Berlina no-
szono się z myślą osadzenia księcia pruskiego na tro-
nie polskim, to też pozyskanie dla tej sprawy wpły-

wowego w Polsce, o głośnem nazwisku ks. Józefa wy-
dawało się pożądaniem...

Wpłynął również na to i nowy kurs polityki pol-
skiej w Rosji, zainicjowany przez cara Aleksan-
dra I, który na stanowisko ministra spraw zagranicz-
nych powołał ks. Adama Czartoryskiego i usilnie
ściągał nad Nową przedstawicieli rodów polskich...

Musiało to bezwzględnie wpłynąć na zmianę kur-
su polityki polskiej rządu pruskiego, i odbiło się ko-
rzystnie na interesach księcia Józefa...

Przyjęty bardzo mile na dworze królewskim, wy-
różniony przez parę królewską, wprowadzony do ści-
ślego kółka towarzyskiego, zbierającego się przy
dworze, rychło poznał dobroczynne skutki protekcji
króla.

Przydany mu do pomocy z rozkazu królewskie-
go radca gabinetowy Beyme, gorliwie zajął się jego
sprawami we wszystkich dekastrjach i po wielu wy-
siłkach zdołał doprowadzić do tego, że większość spraw
została choć połowicznie załatwioną, że zakończone
zostały wszystkie procesy, i dochody księcia, uregu-
lowane, wzrosły znacznie...

Niezależnie od tego król pruski obdarzył go ze
swej kasy dyspozycyjnej stałą pensją roczną w wy-
sokości 6.000 talarów, płatną w ratach kwartalnych.

Ks. Józef jednakże zastrzegł się, że pensji tej
nie uważa bynajmniej za dowód hojności królewskiej
ex meno gratia, lecz przyjmuje ją wyłącznie
tytułem odszkodowania częściowego za równoczesne

odmówienie mu milionowej należności sukcesyjnej... Dla udokumentowania tego, na jego prośbę zastrzeżone zostało, iż ta pensja po jego śmierci przechodzi w połowie na jego siostrę, panią Tyszkiewiczową, jako współsukcesorkę...

Pensję tą pobierał aż do sierpnia 1806 r., a po Tyłży, uważając ją za prostą indemnizację, domagał się, choć bezskutecznie, za pośrednictwem władz francuzkich jej wypłaty...

Odnosił również sukces i w sprawie spadku po królu Stanisławie Auguście, gdyż specjalnym dekretem królewskim zostało wyznaczonych pięciu członków kamery warszawskiej na komisarzy do osądzenia w ostatniej instancji wszelkich żądań, wytoczonych przez trzystu wierzycieli prywatnych Stanisława Augusta na sumę z górą pół miliona dukatów.

X

Pobył w Berlinie, dzierżącym w czasie owym, gdy Francja i Austria zmagaly się w zapasach wojennych, berło życia światowego, mógł się stać niebezpiecznym dla ks. Józefa, który mimo wszystko tęsknił za tem życiem, do jakiego przywykł w czasie pobytu swego w Wiedniu.

W otoczeniu świetnego towarzystwa, w wirze zabaw, zwłaszcza przy tendencjach rządu pruski przyciągnięcia jaknajwiększej liczby Polaków i doprowadzenia do porozumienia między nimi a rządzącym żywiołem pruskim, zdawało się, że zapomniął o wszystkich gnębiących go troskach.

Pod wpływem też tej polityki łagodzenia, ustępstw, zdawało się, że zapomni o wszystkich krzywdach doznanym od rządu pruskiego zarówno przez cały naród polski, jak i przez niego samego...

Zdawało się, że wir życia, jaki go otaczał, względu, jakie mu czyniono, orderzy Orła Czerwonego i Orła Czarnego, jakimi król go obdarzył, — wpłynęły ostatecznie na to, że wsiąknie w to życie, zasmakuje w niem i porzucając smutną, ubogą Warszawę, osiedli się na stałe w Berlinie...

Mówiono nawet już o zamiarze kupna domu dla niego.

Lecz nieznano, nierozumiano psychologii ks. Józefa... Pod pozorną powłoką światowca, krył on głęboki patryjotyzm, krył bezgraniczne umiłowanie Ojczyzny, która mu, co prawda, niewdzięcznością płaciła, i nigdy by się tym ideałom nie sprzeniewierzył...

Z godnością przyjmował wszystkie spadające na niego łaski królewskie, nie upokorzył się jednak ani razu, choć czuł dobrze, że krępują go one nowymi a jednak tak ciężkimi więzami wdzięczności, że szkodzą mu przytem znacznie w opinii publicznej...

Lecz odrzucić ich nie mógł, gdyż byłaby to tylko czcza manifestacja, któraby sprawiła żadnego pożytku, a tylko szkodę, przez zbędne drażnienie przeciwników, przyniosła...

Z uczuciem pewnej ulgi też wyrwał się z Berlina i powrócił do umiłowanej Warszawy...

Tryb życia jego w stolicy, pod rządami pruskiemi, tak opisuje świetnym piórem swoim prof. Szymon Askenazy:

„Po powrocie do Warszawy, pędził książe tutaj przez resztę rządów pruskich życie prywatnego człowieka. Z administracją lokalną, wielkorządcą uczciwym Vossem, gubernatorem Warszawy zacnym Köhlerem, władzami skarbowemi i sądowemi, którym sprawy jego były powierzone, stanął odtąd w stosunkach dość znośnych.

Położenie jego majątkowe zaczynało się klarować,

ale nie mogło dojść do stałej równowagi z własnej jego winy, skutkiem gospodarki wadliwej, zbyt hojnej, nieogłędnej, bez należytego rachunku, gospodarki żołnierza i wielkiego pana.

U siebie w domu, pod Błachą i w Jabłonie, urządził się nietyle z przepychem, ile z wygodą i smakiem; główny zbytek stanowiły tu piękna broń, trochę dobrych obrazów; dość skromna też kwota osiągnięta zostanie ze sprzedaży tych ruchomości po jego śmierci; gdyż wbrew wyraźnej jego woli, przez brak petyzmu pozostałej po nim siostry, pójdą one pod młotek, rozebrane będą przez praktycznych amatorów — bogaczy, przedmioty cenniejsze, meble, zwierciadła, dywany, inne dostaną się do rąk handlarzy żydowskich, nieco tylko drobnych pamiątek osobistych wykupią młodzi oficerowie, za dobywane z zażenowaniem ze szczupłych sakiewek prawdziwe *pretium affectionis*, a pani Zofja Czosnowska, w ostentacyjnej zachwycającej żalobie, kupi zegar, szezłąg i obraz pokutującej Magdaleny; rozleci się prawie wszystko w tym suchym obrzędzie licytacyjnym, tak niemilosiernie demonstrującym przenikliwy smutek rzeczy minionych; niewiele się zostanie, a z tego, co się dochowało po dziś dzień, oraz z tabeli licytacyjnej możnaby wywnioskować gusta domowe gospodarza raczej wykwintne a proste, aniżeli rujnujące.

Natomiast wprost rujnującym był cały sposób prowadzenia domu. Panowała tu gościnność do prze-

sady szeroka, wystawna i rozrzutna; przez okrągły rok bez przerwy trwały przyjęcia, nie zamykały się wrota, nie opróżniały pokoje, gości zawsze pełno, po części stałych prawie mieszkańców, sama kuchnia zbyt kowna na tyle osób znaczne pochłaniała sumy; ogromne pieniądze kosztowała wielka stajnia, mnóstwo pięknych koni pod wierzch, całe kolekcje wspaniałych cugów, sześciokonny zaprząg ogierów tureckich powożony zwykle przez dawnego królewskiego stangreta, modny zagraniczny à la Daumont, fantazyjny karjolkowy, jak za młodu, pocztowa piątka po wiedeńsku, albo polska czwórka, wszystko ulubionej maści gniadej najstaranniej dobrana; liczna służba, kapela, chmara domowników i gracialistów wszelkiego gatunku zjadali chleba i pensji co niemiara.

A tu z dnia na dzień schodził czas na zmieniających się jak w kalejdoskopie coraz nowych i coraz innych zabawach, na łowach, harcach, faraonie, awanturach, miłostkach...

Książę gospodarz nie we wszystkim brał udział, kartami rzadko się bawił, choć wtedy stawał wysoko, najchętniej wybiegał do Jablonny, gdzie całe godziny spędzał na murawie bez surduta, z rakiętą w rękę, grając w piłkę, na wycieczkach konnych albo polowaniu, nie przebierał zresztą w afektach, ostatecznie wciągnął się w tryb życia bezmyślny i rozkładowy, wstawał późno, niedosypiał, niszczył zdrowie i ducha.

Niszczył też tym sposobem majątek i ledwo

z jednego wyszedłszy kłopotów, sam inne sobie stwarzał. Ogółem jego wydatki w tym czasie przekraczały 700 tysięcy złp. rocznie. Było to mniej więcej dwa razy tyle, aniżeli ze swoich rzeczywistych dochodów przeciętnie mógł wydawać. Te wydatki same przez się nie były normalne, jak wykazuje już ta okoliczność, że ulegały nadzwyczajnym wahanom z miesiąca na miesiąc. Były miesiące, kiedy wydawał za ledwo dwadzieścia kilka tysięcy złp., t.j. tyle, na ile w przybliżeniu stać go było; były znów inne, karnawałowe, kiedy ta cyfra od razu podwajała się lub potrajała; a bywały i takie, kiedy w jego „księdze ekspensy“ pojawia się nagle za jeden miesiąc wydatek w kwocie przeszło 250 tysięcy złp.

Ekstrawagancje podobne ciężko przychodziło okupywać. Równowagę budżetu wypadło w „księdze percepty“ utrzymywać przez „wpływy“ bardzo nieistotne, wśród których wybitną a stałą pozycję stanowiły pożyczki, zaciągane zwykle na uciążliwych warunkach, a nieraz wśród okoliczności wcale nie-smacznych...

Pożyczał książę po kilkudziesiąt tysięcy to od pani Vauban, t. j. pożyczał na wysoki odsetek własne swoje pieniądze; zadłużał się na nader znaczne sumy u lichwiarzy, albo, co dużo niemilsze, u wielkich panów a przyjaciół, którzy kazali sobie płacić lichwiarskie procenty; częstokroć zaś zaciągał i te najgorsze długi drobne, odręczne, po paręset dukatów,

najgorsze, bo świadczące już nietylko o ogólnym lecz codziennym rozgardjaszu kasowym.

Główne źródło choroby tkwiło przecie w głębokim rozgardjaszu całego anormalnego trybu życia. Dowodziły tego najdobitniej same te oplakane pozycje budżetowe, a więc chociażby takie dwie cyfry uderzające: jeszcze w r. 1806, ostatnim fatalnej doby rządów pruskich, wydatkował książę siedemkroć kilkanaście tysięcy złp.; natomiast zaraz w następnym roku 1807, pierwszym chwalebnej doby Księstwa Warszawskiego, wydatkował ogółem trzykroć kilkadziesiąt tysięcy, t.j. prawie dwa razy mniej..

Sens moralny prosty: żył ponad stan, póki naprawdę nie żył wcale; utracił potrzeby, skoro obowiązki odzyskał. W końcu, na zamknięcie tej przykrej materji, stwierdzić jeszcze potrzeba, że sporo kosztowała go siostra, pani Tyszkiewiczowa, bardzo wiele, ponad wszelką miarę wymagająca od brata; znacznych zasiłków udzielał będącym w potrzebie byłym towarzyszom broni; a hojnie też świadczył dobro wszelkiej biedzie pospolitej, zawsze otwartego serca i ręki dla codziennej, ulicznej nędzy wielkowiejskiej, zwłaszcza zaś dla tych „ubogich wstydzających się żebrac“, o których nie zapomni jeszcze w ostatniej swej woli i u których na długo we wdzięcznej zostanie pamięci „tyloletni tej stolicy mieszkaniac i dobroczyńca“.

Zbiegały w ten sposób z okrutną szybkością, bo w nicości okrutnej najpiękniejsze mężkie lata ks. Jó-

zefa w pruskiej Warszawie, w pałacyku pod Blachą albo w Jabłonnie, w domu zanadto wesoło i hucznie, zanadto po kawalersku i zanadto na modłę cudzoziemską prowadzonym, w kole domowników i ulubieńców wcale niefortunnie dobranych, na życiu kardzo swobodnem, dostarczającym obfitego żniwa stołecznej kronice skandalicznej, poniżej jego imienia, a już nawet ponad wiek płochem i pustem, do położenia kraju niedopasowanem.

Taka skala życiowa człowieka, stojącego na świeczniku, nie mogła nie wyrządzić dotkliwej krzywdy i ogółowi i jemu samemu u ogółu.

Z jednej strony, niezdrowy przykład książęcy pociągał do naśladownictwa i tym sposobem szedł na rękę rządowi pruskiemu w ich rozkładowej robocie koło oszołomienia i wydziedziczenia społeczności. Z drugiej strony, wywoływał uzasadnioną reprobację, wyzywał poważniejszą opinię, a uprzedzonej, nieżyczliwej dawał dopiero grunt istotny i łatwą wygraną.

Cóż bowiem było łatwiejszego, jak naprzeciw trzpiotowatych dworaków ks. Józefa w jaskrawym „przyjacielskim“ fraku zielonym, zbyt koźnie haftowanym złotem, z konikiem i Jabłonną, wystawić rywalizujący klub cnotliwych patrijotów Wincentego Krasińskiego w skromnym fraku czarnym, z asceetycznymi guzikami mosiężnymi i znamiennej kotwicą?

Cóż łatwiejszego, jak naprzeciw powabnych fa-

worytów książęcych z teatru francuzkiego w pałacu Radziwiłłowskim na Krakowskim Przedmieściu, forytować utalentowane artystki polskie z teatru Narodowego na Placu Krasińskich?

Cóż łatwiejszego, jak w obliczu opinii piętnować oczywiste wybryki bałamuctwa i szału, i na lekkomyślnego ich sprawcę ściągać surowy wyrok potępienia?

Surowo też, bezlitośnie potępiono te wybryki ks. Józefa. Zapewne — bez nich byłoby lepiej. Chwali tych zbroceń nikt nie będzie. Każdy nad nimi głęboko musi ubolewać. Ale sąd sprawiedliwy znajdzie dla nich wyrozumiałość, poniekąd nawet wytłómaczenie...

Położenie ks. Józefa, o tem pamiętać koniecznie potrzeba, było wtedy prawie bez wyjścia. On nie mógł, jak, pierwszy lepszy ochotnik, pójść do lombardzkiej kwatery Dąbrowskiego albo naddunajskiej Kniaziwicza. Jakże wyobrazić go sobie z jego stanowiskiem, przeszłością, z jego prostym a niezmiernie czułym punktem honoru, pośrodku rozstrzelonej emigracji, gdzie dla niego właśnie już z góry, bez żadnej jeszcze jego winy, tyle było nieufności, podejrzliwości, wprost nienawiści śmiertelnej?...

Jakże wyobrazić go na tułactwie, w owych ciemnościach, w owych raptownych odmianach polityki dyrektorjalnej i konsulackej, kiedy to dziś tworzone, jutro zwijano legje, dziś wojowano, jutro traktowano, dziś otwierano najświetniejsze widoki, jutro je niweczono?...

Jakże wyobrazić go z tą nadwrażliwą a nieoporną nawskroś uczuciową naturą, ścieranego na pył wszystkimi temi przeciwnościami i zawodami, albo może dźgniętego sztyletem neapolitańskiego lazzarona lub oszczepem murzyna z San Domingo — i co nareszcie na tem zyskałby kraj?...

Że zaś w tej przymusowej w domu bezczynności on nie potrafił, nie miał dosyć siły zamknąć się w sobie, dostroić codziennego swego życia do powagi okoliczności krajowych — to niezawodnie było godne pożałowania, a jednak i to nawet, w pewnej mierze przynajmniej, było zrozumiałe.

To nie była pospolita tężyzna obojętnej sybaryckiej duszy. To była, obok pewnej wrodzonej słabości charakteru i błędów wychowania, przedewszystkiem, albo w znacznym bądź co bądź stopniu, negatywna reakcja duszy pięknej i szlachetnej, wyrwijącej się do ambicji podniosłych, do czynów wielkich, a skazanej na bezwładzę przymusową, trawiącej się w narzuconej przez okoliczności niemocy i szukającej sobie upustu w wybuchach silnego temperamentu, jak się winem zalewa toczącego robaka, byle oszołomić, znieczulić samego siebie, byle zapomnieć.

Zgoła pominąć te wszystkie warunki faktyczne i czynniki psychiczne — niewątpliwie rzecz nadzwyczaj łatwa. Łatwa i tania ciskać bez zastrzeżeń groźny, cnotliwego oburzenia, jakich swego czasu i w kraju i zwłaszcza na emigracji nie szczędzono ks. Józefowi.

Nie brakowało nigdy, a najmniej w emigracji ówczesnej, sędziów drakońskich, z tego gatunku faryzeuszów i doktorów cnoty publicznej, co to lekką ręką precz odpędzają celników i grzeszników od stołu Pańskiego.

A jakże wielu z tych Katonów domowych i emigracyjnych później, za Królestwa Kongresowego, haniebnie spuściło z tonu, pierwszej nie wytrzymało próby, obnażyło całą mizerną swoją istotną zawartość ludzką i obywatelską.

W sądach społeczno-dziejowych wiara zasadnicza jest jedna, ale właśnie dlatego zastosowanie jej do różnych obiektów, musi być różne. Istnieje dyferencjacja obowiązków i win, zasługi i poczytalności społeczno-dziejowej.

Miało się to niebawem dokazać jaknajdowodniej. Na ks. Józefie w nadchodzącej już godzinie najwyższej próby, skoro nad samem uchem jego i kraju ogromną, wytrącającą z letargu pobudką ozwał się lotne pioruny napoleońskie, zanesione na ziemię polską.“

XI

Stan ustawicznej wojny, w jakim znajdowała się Europa Zachodnia od czasów rewolucji francuskiej, a który wzrósł i spotęgował się po dojściu do władzy genjusza wojny, bohatera z Korsyki, Napoleona Bonaparte, powoli rozciągać się zaczął i na wschód...

Zwycięstwa i sława młodego stosunkowo jeszcze cesarza Napoleona drażniły cara Aleksandra I, który w r. 1805 sprzymierzył się z Austrią, by wspólnymi siłami pokonać olbrzyma i nie pozwolić mu na zawładnięcie Europą.

Pod wpływem ministra spraw zagranicznych, ks. Adama Czartoryskiego, młody car Aleksander snuć począł projekty odebrania Prusom zagarniętych przez nie ziem polskich, i po połączeniu ich z ziemiami, znajdującymi się pod władzą Rosji, utworzenia z nich Królestwa Polskiego pod swoim berłem...

W projekty te ks. Czartoryski wtajemniczył ks. Józefa, zapytując, czy zgodzi się stanąć na czele przygotowywanej akcji...

Nie dał ks. Józef odpowiedzi decydującej, przybrał postawę wyczekującą, nie chcąc lekkomyślnie na szalę niepewnych wypadków rzucać losów narodu...

A gdy car Aleksander I, w pochodzie swym do Austrii, z wojskami, na krwawy bój decydujący z Napoleonem, zatrzymał się u ks. Adama Czartoryskiego w Puławach, gdzie zbiegli się do niego przedstawiciele narodu polskiego, zachęcając do zamienienia w czyn tego projektu, obiecując swą pomoc, jeden tylko ks. Józef, pilnowany bacznie przez władze pruskie, nie mógł się z nim widzieć, nie mógł omówić warunków, na jakich mógłby poprzeć ten czyn...

Z niecierpliwością, napróżno jednak oczekiwał na zapowiedzianą akcję, na wkroczenie cara z wojskami do Warszawy, która w gruncie rzeczy oczekiwała tylko na znak do działania...

Rezerwa, jaką zachował ks. Józef, okazała się zbawienną... Przy zmiennem usposobieniu cara, który na tygodnie rozciągał swój pobyt w Puławach, dając w ten sposób ostrzeżonym w porę Prusom możliwość wszczęcia akcji zapobiegawczej, zbyt pospieszne a nieprzezorne działanie okazałoby się zgubnem...

Zdążył w tym czasie do cara wysłaniec króla pruskiego, generał Kalkreuth, przyjęty przez niego z wielką serdecznością, a odbyte z nim rozmowy wystarczyły w zupełności, by skłonić cara do porzucenia powziętych względem Polski zamiarów i rzucić w braterskie objęcia króla pruskiego...

Nastąpiła wymiana serdecznych listów, z zapewnieniami wieczystej przyjaźni, a potem car przybył do zaboru pruskiego, lecz nie jako zdobywca i przyszedł król polski, lecz jako gość Aleksandra Po-

tockiego; nie przybył nawet do Warszawy, lecz do Wilanowa, gdzie w szczupłym gronie gospodarzy, ks. Czartoryskiego, pani Tyszkiewiczowej i pilnującego go niedostępnie, jak anioł stróż, gen. Kalkreutha, spożył wieczerzę...

Ks. Józef nie brał w niej udziału, wymówiwszy się przez siostrę chorobą... Natomiast nazajutrz rano, gdy car przy wyjeździe dojechał do linii okopów na Czystem, gdzie witali go przedstawiciele miasta, przybył tam i ks. Józef, poczem odprowadził go konno aż do Nieborowa, prowadząc ożywioną rozmowę...

Smutną była ona dla ks. Józefa, gdyż widział walące się w gruzy nadzieje na odbudowanie Polski, choć pod obcym berłem...

Odwiedzali go potem w pałacu pod Błachą udający się na plac boju przeróżni generałowie rosyjscy, kuszone go obietnicami, lecz on pozostał na nie głuchy, obojętny, wiedząc dobrze, że to, co było celem jego życia, urzeczywistnionem nie zostanie, a być najmitą w obcej służbie — nie chciał...

Zaledwie skończyły się zabiegi i obietnice rosyjskie, przypuszczono do niego atak znów z drugiej strony, tym razem z pruskiej...

Po świetnem zwycięstwie Napoleona nad armją austriacko-rosyjską pod Austerlitz, zaczęły się zbierać chmury wojenne nad Prusami.

Rząd pruski, ażeby zjednać sobie Polaków, czynić począł przeróżne propozycje, dążąc do ściągnięcia zastępów polskich pod swoje sztandary...

I w tym wypadku w pierwszym rządzie pomyśla-
no o ks. Józefie, i oto przybył do niego z Berlina ks.
Antoni Radziwiłł, ażeby prowadzić z nim negocjacje
podobne do tych, jakie przed niedawnym czasem pro-
wadził ks. Czartoryski.

Lecz i tym razem ks. Józef zachował przezorna
rezerwę, nasłuchując odgłosów walk, toczonych pod
Jeną i Auerstadt...

Genjusz Napoleona odnosił zwycięstwa, wkrótce
potem armia francuzka wkroczyła do Berlina, a wnet
potem do Poznania, gdzie przywitano ją z radością...

Królestwo pruscy uciekły do Prus Wschodnich...

Choć władze pruskie w Warszawie trzymały
wiadomości o klęskach w ścisłej tajemnicy, szerzyły
się one jednak wśród mieszkańców, budząc tajoną
radość i nadzieję...

Z zadowoleniem patrzano na szykujących się do
ustąpienia Prusaków, na cofające się armje pruską
i rosyjską...

Tu znów samo przeznaczenie wysuwało na wi-
downie ks. Józefa. Uciekający przed Francuzami król
pruski Fryderyk Wilhelm, w połowie listopada 1806
r. wystosował do niego z Grudziądza nader
serdeczny list, w którym tytułował go „mon cousin“,
oddając mu w opiekę Warszawę, zalecając stworzenie
milicji obywatelskiej i stanięcie na jej czele, przyczem
z naciskiem podkreślał, że jego „patriotyzm jest mi
dobrze znany, jak przywiązanie do mojej osoby i mo-
narchji“.

Choć polecenie to nie było zbyt miłym w owych
czasach, a nawet kompromitującym, ks. Józef, w po-
czuciu obowiązku obywatelskiego, nie uchylił się od
niego... Spełnił je w całej rozciągłości, milicję utwo-
rzył, uzbroił ją i obsadził nią wszystkie odwachy i
gmachy...

Lecz jednocześnie wyraźnie podkreślił, że nie czyni
tego ani dla króla, ani dla monarchii, lecz dla miasta,
na żądanie współobywateli, a nie Prusaków...

W wydanej z tego powodu odezwie pisał wyraź-
nie:

„Przyjawszy, stosownie do życzenia mieszkań-
ców, zezwoleniem władz rządowych zatwierdzo-
nego powierzoną mi od nich zwierzchność
w mieście końcem utrzymania porzątku i bez-
pieczeństwa wewnętrznego... z uczuciem
wdzięczności przychodzi mi dziękować spóloh-
obywatelom moim za chlubny ten dowód ufno-
ści i zapewnić ich uroczwście, że w oczekiwaniu
swojem zawiedzeni nie będą...“

Pełnił swe obowiązki z dostojnością i powagą,
w milczeniu przyglądając się entuzjastycznemu po-
witaniu przez mieszkańców pierwszych wkraczających
do stolicy oddziałów francuskich...

Nazajutrz o zmroku sam witał na granicy miasta
wkraczającego Murata... A choć była wielka różnica
urodzenia między synem szynkarza francuskiego a

synowcem królewskim, rychło połączyło ich wspólne umiłowanie spraw rycerskich, stanowiące najwybitniejszą cechę ich charakterów...

Przypadli sobie do serca, i, choć przybyły następnego dnia marszałek Davout krzywo patrzył na ks. Józefa, ten ostatni, podbiwszy serce Murata, przemysłającego o koronie polskiej, w poważnej rozmowie przedstawił mu całą sytuację.

W rozmowie tej wystawiał mu niepodobieństwo powszechnego ruszenia powstańczego przeciwko Prusom i Rosji bez udzielenia wprzód rękoi, zapewniającej losu kraju i zabezpieczającej od niemiłosiernego w następstwie odwetu; żądał takiej rękoi pod postacią publicznej deklaracji cesarza Napoleona o przywróceniu Polski; wzmiankował o zeszlórocznych zamysłach puławskich cara Aleksandra; mówił o królestwie i królu pruskim, a odrzucając wszelkie nawet pozory ambicji własnej, stwierdzał, że w warunkach obecnych korona jedynie spocząć może na głowie cudzoziemca...

Jednocześnie z tem składał deklarację zupełnego poświęcenia osobistego, lecz jedynie na rzecz poręczonej sprawy narodowej, a nie na łaskę i niełaskę obcej służby cesarskiej...

Tem szczerem wyluszczeniem swego programu zjednał sobie w zupełności Murata i zdobył w nim gorliwego rzecznika sprawy nietylko własnej, ale i narodowej...

Tymczasem wrogie ks. Józefowi siły pracowały

gorliwie, ażeby zepsuć mu opinię w oczach Napoleona.

Pierwszy Davout na podstawie zebranych w Warszawie plotek słał do cesarza nieprzychylnie dla niego raporty... Nienawidzący go szczerze Zajączek oczerniał go gorliwie, jak mógł, w czem pomagali mu nie mniej gorliwie inni gorący patryjoci, nieprzyjaźnie dla ks. Józefa usposobieni...

Nawet zacny Dąbrowski, jakby przewidując w nim rywala, ustosunkował się nieprzyjaźnie do niego, i gdy Napoleon wysłał go do Warszawy celem organizowania wojska, przystąpił do tego z zupełnym pominięciem ks. Józefa...

Sytuacja ks. Józefa stawała się trudną... Wahał się długo, prawie przez tydzień, co ma czynić. Nie mógł stać się podkomendnym, iść na stanowisko drugorzędne; miał do wyboru, albo stanąć na czele, albo zniknąć na zawsze...

Postępowanie nie tyle może Dąbrowskiego, który już przystąpił do formowania sztabu, ile jego otoczenia, z Zajączkiem na czele, drażniło go...

Wreszcie na skutek nalegań Murata, po głębokim namyśle, a z całą świadomością, po szczerzej a długiej z nim rozmowie, wyraził mu gotowość objęcia wydziału, wojny, zastrzegając się zarówno przed ubieżeniem go przez Dąbrowskiego na tym trudnym i odpowiedzialnym posterunku, jak i żądając stanowczo od Murata, że uzyska na to wyraźny rozkaz cesarza...

Murat złożył mu wszystkie zapewnienia, i natychmiast mocą swoją, jako tymczasowy namiestnik cesarski, polecił mu urzędownie przywdząć z powrotem dawną rangę w stanie czynnym generał-lejtnanta, jaką piastował w b. armji Rzeczypospolitej, objąć komendę siły zbrojnej polskiej i zająć się jej organizacją...

Z zapalem zabrał się ks. Józef do dzieła, utworzył sztab przy swojej osobie, wydał gorącą odezwę do „kochanych kolegów i towarzyszków broni“, zarządził powołanie dawnych oficerów polskich...

W drugiej połowie grudnia przybył do Warszawy sam Napoleon. Uprzedzony do ks. Józefa przez niezręczliwych, uważający go na tej podstawie za człowieka lekkomyślnego, niekonsekwentnego, przyjął go sucho, zimno... Uczynił mu wyrzut, co do stawianych warunków, lecz ks. Józef nie zrażał się tem przyjęciem, znając dobrze jego źródło... Zresztą przyświecał mu cel inny, wyższy nad sprawy osobiste — dobro kraju...

Bez unizoności, z właściwą mu godnością, on, polski ksiązę krwi, stanął przed młodszym od siebie parwenjuszem, wślawionym tyłu zwycięstwami, i spokojnie zdawał mu sprawę z przygotowań technicznych przy formowaniu wojska, a jednocześnie otwarcie i szczerze przedstawił mu ogólniejsze zagadnienia narodowe.

Napoleon z właściwą mu przenikliwością poznał go i ocenił, i gdy po bitwie pod Pułtuskim, w począt-

kach stycznia 1807 r. przybył na dłuższy pobyt do Warszawy, przyjął od księcia Józefa memoriał polityczny, opracowany ze szczerością roztropną i silną, z logiką przekonywującą, przemawiając z punktu widzenia czysto francuskiego. Pisał w nim:

„Przyszłość Polski myśl moją pochłania, moja krew, moje życie do niej należą, lecz okoliczności obecne nakazują mi przytłumić w głębi mej duszy uczucia wyłącznie polskie;“ tem dobitniej natomiast podkreślał argumenta czysto rozumowe, domagając się ziszczenia tamtych pragnień uczuciowych, wykladał interes francuski i europejski, najściślej zgodny z interesem polskim... A po całym szeregu wywodów, usprawiedliwiających ten jego punkt widzenia, zalecał Ustawę majową, objęcie rządów nad 14 miljonową ludnością, jeśli nie przez samego cesarza, to przez człowieka jego rodziny, wyrzekając się narazie conajwyżej Obojga Galicji ze względu na niebezpieczeństwo austriackie...

Temu prawdziwie polskiemu programowi przeciwstawił gen. Zajączek, inny, spowodowany nienawiścią jego do ks. Józefa, wysuwający na czoło rządu Kołłątaja, znacznie radykalniejszy, a przez wprowadzenie ustaw francuskich, czyniący z Polski rodzaj kolonji...

Napoleon, na szczęście, zdrowym sądem swoim dał pierwszeństwo ks. Józefowi, i choć zachował dla niego pewną nieufność, przy poparciu Murata i ministra spraw zagranicznych, Talleyranda, który, będąc gościem pod Blachą, w zażyłych pozostawał sto-

sunkach z księciem i jego siostrą, panią Tyszkiewiczową, zatwierdził go na dotychczasowym stanowisku dyrektora wydziału wojny.

Jednocześnie w połowie stycznia 1807 r. ustanowił Komisję Rządzącą, jako rząd tymczasowy dzielnic polskich, złożoną z siedmiu osób, a mianowicie: b. marszałka Sejmu Wielkiego, Stanisława Małachowskiego, Józefa Wybickiego, Stanisława Potockiego, Ludwika Gutakowskiego, Ksawerego Działyńskiego, Piotra Bielińskiego i Walentego Sobolewskiego.

Władzę wykonawczą piastowało pięciu dyrektorów: Feliks Łubieński kierował departamentem sprawiedliwości, Tadeusz Dembowski skarbem, Aleksander Potocki policją, Tadeusz Breza sprawami wewnętrznymi, a ksiązę Józef Poniatowski wojskiem.

W ręce tej Komisji Rządzącej złożył ks. Józef przysięgę, jeszcze bez wzmianki o Polsce, na „wierność w sprawowaniu urzędu mnie powierzonego, nieskazitelną poczciwość i posłuszeństwo wydanym mnie rozkazom“.

W parę dni potem otrzymał od Komisji podpisany przez Małachowskiego, jako prezesa, patent „na szarżę gen. dywizji komenderujące i legją J. O. ks. Józefa Poniatowskiego, niegdyś generała-lejtnanta w czasie pierwszej kampanji wojsko polskie en chef komenderującego“...

Postawiony w ten sposób na równi z niechętnym mu Dąbrowskim i nienawidzącym go Zajączkiem, nie

miał nawet nad nimi dwoma władzy naczelnej, będąc poniekąd ich prostym kolegą...

Musiał też z tego powodu znieść wiele przykrości, co odbijało się ujemnie na pracy jego przy formowaniu wojska...

Mało tego, oprócz tego był zależny jeszcze od Komisji Rządzącej, od cesarza, od szefa sztabu głównego, Berthiera, od marszałków, od niechętnego i wiecznie zasępionego Davouta, kwaterującego pierwotnie u niego w Jablonnie, od Lefebra, dowódcy korpusu X, od Masseny, od komendanta Warszawy, Gouviona, jednym słowem od całego świata nieomal i przed tym całym światem odpowiedzialny...

Ten potworny łańcuch zależności i odpowiedzialności, połączony przytem z niezliczonymi intrygami i ukłuciami, ciążył mu niepomieranie...

Dźwigał go jednak wytrwale, zmagając się z zacisniętymi zębami ze wszelkimi trudnościami, odrzucając precz wszelkie sprawy osobiste, a czyniąc to wszystko jedynie dla umiłowanej idei, dla Polski i wojska, które od czasu tego wyłącznym celem życia jego stać się miały...

XII

Ogrom pracy, jaką wziął na swoje barki ks. Józef, przeraziłby niejednego... Należało wprost z niczego stworzyć 40.000 armję, gdyż tego żądał Napoleon, a przytem załatwić cały szereg spraw i organizacji z tem związanych, poczynawszy od etatu i budżetu, a skończywszy na sądownictwie, służbie zdrowia i t. d.

Pracując niezmordowanie dzień i noc nieomal, opracował niezwłocznie etat trzech legji, w sile po 13000 ludzi każda, oraz budżet roczny na ich utrzymanie w sumie 11 milionów złp., co uznać należy za wielką oszczędność...

A przytem staczać musiał cały szereg utarczek, zwłaszcza w sprawach, w których w grę wchodził honor narodu...

Tak było przy ustaleniu barwy kokard dla wojska, gdzie oparł się stanowczo wprowadzenia barw francuskich, a przeprowadził narodowe...

Toż samo było i przy opracowywaniu regulaminów, w których zachował artykuły wojskowe polskie, według regulaminu dawniej przez Komisję Wojskową Obojga Narodów zaprowadzonego...

Walki ustawiczne staczać musiał z Komisją Rządzącą, która mu obcinała i tak skromny budżet, ogra-

niczała jego działalność, zwlekała z uchwalaniem jego wnioskow, a zwłaszcza walczył z dowolnymi formacjami ochotniczymi, z popolitem ruszeniem, odznaczającym się brakiem karność i wprowadzającym zamęt w szeregi armji regularnej...

A wszelkie, stosowane przez niego wobec tych formacji, „zgoła nie objętych etatem wojska, do niczego nieprzydatnych, a włączających się po kraju i marnotrawiących żywność i furaz dla żołnierzy etatowych niewystarczające“, — wywoływały tysiączne nowe pretensje i oskarżenia...

Jednało mu to coraz więcej nieprzyjaciół, którzy usilnie starali się mu dokuczyć...

A przytem postępowanie jego z nieprzyjaciółmi cechowała wrodzona mu wspaniałomyślność, tak np. poparł usilnie w Komisji Rządzącej podanie o zapomogę dla wdowy poś. p.gen. Madalińskim, niegdyś jego wrogu zaciętym; uzyskał dla największego swego wroga, gen. Zajączka, podwyższenie prawie w dwójnasób, do 50.000 złp. pensji jego, choć sam pobierał tylko połowę tejże.

A przytem wszystkim musiał walczyć z kuszącymi propozycjami, jakie w projektach swoich wysuwały Rosja i Prusy...

Gdy skutkiem zimy na polach litewskich cisza zapanowała, gdy wreszcie na początku lutego 1807 r. na polach Iławy armja francuska odniosła porażkę, odżyły w kolach dworskich Rosji i Prus projekty, snute przed niedawnym czasem w Puławach i Berlinie...

W obozie rosyjskim ks. Czartoryjski szykował już proklamacje, wzywając obywateli do porzucenia sztandarów francuskich i oddania się pod protekcję cara, który zamierzał ogłosić się królem polskim.

W obozie pruskim te same zamiary snuł ks. Antoni Radziwiłł, który jednak wobec bezsilności Prus, zdanych na pomoc i protekcję cara Rosji, ograniczać musiał krąg swoich zainteresowań i starał się rozwiązać to zagadnienie przez ogłoszenie króla Fryderyka Wilhelma III — królem Wielkopolski, Aleksandra I — królem Litwy i wielkim księciem Podola i Wołynia, Franciszka I zaś — królem Galicji i Lodomierji.

We wszystkich tych projektach ks. Józefowi wyznaczano przodujące stanowisko... Mamiono go tem, że otrzyma stanowisko komisarza pełnomocnego w zakresie organizacji wojskowej; rangę generał-lejtnanta kawalerji wojska pruskiego, z dowództwem piętnastu szwadronów jazdy pruskiej autoramentu polskiego; utworzenie polskich „legji nadwiślańskich“ służby pruskiej pod swoją komendą naczelną i t. p.

Prócz tego przygotowane już było pismo odręczne królewskie do „Naszego ukochanego i wiernego ks. Józefa Poniatowskiego...“

Lecz on głuchym pozostał na te wszystkie pokusy i podszepty... Nie słuchał ich nawet wcale, a z zaciśniętymi zębami, mimo niezliczonych przykrości, pełnił swe obowiązki dyrektora wojny, wierząc, że w ten sposób najlepiej służy Ojczyźnie...



A przykrości tych doznawał bez liku, poczynając od Komisji Rządzącej, podkomendnych, sztabu głównego francuskiego, marszałków, kończąc na samym Napoleonie, w którego wrodzy jego zdolali wpoić nieufność dla niego...

Każdy gospodarował na swoją rękę, nie licząc się z nim zupełnie, natomiast na barki jego spychano wszelką odpowiedzialność za niedokładności i braki...

Napoleon wyrażał mu przy każdej sposobności swe niezadowolenie, i jakby dla upokorzenia go wyróżniał gen. Zajączka, który, dumny z tego, lekceważąco traktował swego bądź co bądź zwierzchnika.

Walczył z tem, jak mógł, ks. Józef, wyjaśniał, tłumaczył się, słał memorjały usprawiedliwiające, zwałając wszystko na krótkość czasu, nawał zajęć, siłę wyższą...

Brał go energicznie w obronę minister Talleyrand, wykazujący w raportach swoich z Warszawy do cesarza całą krzywdę, która się księciu działa, — nie oddalało to jednak wiszącej ustawicznie nad głową jego grozy, czy utrzyma się przy służbie publicznej dla powstającego z upadku kraju, czy też pod naciskiem wrogów będzie musiał ustąpić, jako dymisjonowany dyrektor.

W końcu kwietnia nadeszła ta chwila rozstrzygająca. Napoleon bawił w zamku Finckenstein, zajęty tysiącami sprawami, a głównie przygotowaniem kampanji letniej, która miała być odwetem za Iławę, gdy naraz zawezwał do siebie z Warszawy Talleyranda,



„Polacy nie chcą Poniatowskiego. Byłoby dobrze, gdyby można było oddać Dąbrowskiemu ministerjum wojny i powołać Poniatowskiego do armji.“

Wkrótce potem przybył Dąbrowski, przyjęty na audjencji, a zaraz po nim Stanisław Potocki, nieprzyjazny ks. Józefowi, a przy boku cesarza bawił minister, sekretarz stanu, Maret, współzawodnik Talleyranda, a więc przez to samo, mimo swej zacności, przeciwny ks. Józefowi.

Pod wpływem tych osób los ks. Józefa zdawał się być przesądzonym...

Murat, gorliwy obrońca jego, któremu cesarz oznajmił swe zamiary co do ks. Józefa, wmawiając w niego, że to jest życzeniem jego samego, polecił adjutantowi swemu, Łączyńskiemu, w sposób niezbyt taktowny, napisać, niby z życzliwości, do ks. Józefa, ażeby skorzystał z nadającej się szczęśliwie sposobności, przyjechał zaraz do Finckenstein, osobiście prosił cesarza o dymisję z dyrektorstwa i o komendę czynną, i w ten sposób przekonał każdego o „talentach, odwadze i przywiązaniu do ojczyzny“...

Po otrzymaniu tego listu, który na nim wywarł niezbyt przyjemne wrażenie, ks. Józef odpisał wprost Muratowi, w sposób bardzo grzeczny i bardzo stanowczy, przypominając najpierw, że o piastowany urząd nie ubiegał się bynajmniej, lecz przyjął go z woli i pod poręką samego Murata; zaznaczał dalej, że bez względu na tysiączne przykrości i troski pełnił dotych-

czas uciążliwe obowiązki tego urzędu z całym oddaniem i gorliwością, podtrzymywany jedynie świadomością pożytku służby i dobra publicznego; skoro atoli „nie byłby dość szczęśliwym, by zasłużyć sobie na aprobatę Jego Cesarskiej Mości“ i jeśli cesarz „spodziewa się znaleźć w kim innym wiadomości i talenta, jakich mnie brakuje“, w takim razie oświadczał chętną gotowość rezygnacji bez żadnego żalu, bo „w nadziei wynikającego stąd dobra dla mojej ojczyzny“; aliści w takim przypadku warował sobie pewne względy dla mojej godności osobistej“ i uprzedzał z całą stanowczością, że wycofa się zupełnie i dowództwa żadnego bezwarunkowo nie przyjmie.

Jednocześnie, poświęcając dla dobra publicznego swą ambicję i dumę, wystosował list krótki i powściągliwy do niechętnego mu, a bawiącego w Finckenstein Stanisława Potockiego, upominając się wprost o obronę i przedstawiając, jak szkodliwe może dać skutki w tworzonych dopiero szeregach, jak również i dla rozpoczętych robót organizacyjnych, ta nagła a niczem nieusprawiedliwiona zmiana dyrektora wojny.

Tymczasem zarówno wystąpienie Talleyranda, jak i gwałtowna obrona Murata, który po otrzymaniu listu ks. Józefa przejrzał na oczy i zrozumiał, jakich intryg omal nie padł ofiarą, wpłynęły na decyzję Napoleona, który sam pojął błąd i niesprawiedliwość, jaką pod wpływami zainteresowanych w tem ludzi omal nie popełnił..

Wnet zawiadomił zacny Murat, z całą delikatno-

ścią, ks. Józefa o zażegnaniu wszystkich grożących mu niebezpieczeństw i o utrzymaniu go przy dyrektorstwie wojny...

Umocniony na tem stanowisku, z podwójną gorliwością zabrał się ks. Józef do pracy. Zaczęło się wszystko dla niego układać pomyślniej, wobec woli cesarza zaprzestano mu czynić wstręty, zarówno ze strony Komisji Rządzącej, jak i innych czynników...

Pozostał tylko niezalagodzonym antagonizm między ks. Józefem a Dąbrowskim i Zajączkiem...

Na to już trudno było znaleźć radę... Dąbrowski, wslawiony zasługami, ceniony przez rodaków za swój patriotyzm bezgraniczny, nie mógł się pogodzić, słusznie nawet, z myślą, że nad nim wziął górę człowiek, jego zdaniem niczem nie zasłużony, tylko tem jedynie, że był synowcem ostatniego króla...

Ks. Józef, jak mógł i umiał, łagodził mogące wyniknąć konflikty, trzymał się ściśle litery prawa, lecz przy pomocy „życzliwych“ przyjaciół z obydwóch stron coraz wyrastały nowe pretensje i rozgoryczenia, nie wpływające bynajmniej na złagodzenie sytuacji...

Jednak dzięki wielkiemu poczuciu patriotycznemu Dąbrowskiego, rozumiejąc dobrze, że wszelkie takie zatargi tylko szkodę przynoszą sprawie, oraz wzajemnej ustępliwości, nigdy nie dochodziło do gorszącego wybuchu...

Inaczej, a znacznie gorzej przedstawiała się sprawa z gen. Zajączkiem... W niepawności swej bezgranicznej nie powstrzymywał się on nawet od de-

nuncjacji, wszędzie jak mógł szkodził ks. Józefowi, odmawiał składania mu raportów o swej działalności, nie przyjmował oficerów przez niego mianowanych, pomijał go we wszystkich sprawach, zwracając się wprost do Komisji Rządzącej, a gdy przyszła wieść o zachowaniu stanowiska ks. Józefa, odmówił mu wręcz posłuszeństwa...

Wystosował do niego pismo, które sam rozposzechniał, nie tytułując go dyrektorem wojny, w którym pisał:

„Jestem oficerem francuskim, mam dowództwo nad Polakami. gdyż tak chciał cesarz, nie zależę bynajmniej od Pana... niczego nie oczekuję od rządu polskiego, wszystko winienem cesarzowi Francuzów... uprzedzam raz na zawsze, że nie chcę z Panem nic więcej mieć do czynienia...“

W podobnym tonie utrzymane były wszystkie pisma i odezwy niesforne generała, a nawet w adresach unikał należnego księciu tytułu „dyrektora wojny“, mianując go tylko „generałem dywizji, kawalerem wielu orderów“, jako przytyk do posiadanych przez ks. Józefa orderów pruskich.

Utrzymanie się ks. Józefa przy dyrektorstwie, zwiększyło jeszcze szal gen. Zajączka, który posunął się wręcz do otwartej niesubordynacji, a wybryki jego przybrały formę tak gorszącą i szkodliwą, że ks. Józef musiał uciec się aż do Komisji Rządzącej, mar-

szalka Davout i samego Napoleona, w obronie nie tylko już swej godności, ale i powagi rządu i bezpieczeństwa kraju...

Wszyscy, nawet i niechętny ks. Józefowi Davut, musieli mu przyznać słusność i wybryki gen. Zajączka powstrzymane zostały.

Bolesnem dla ks. Józefa było, że znaczna część opinji, zarówno wojska jak i społeczeństwa, stała po stronie Zajączka, lecz nie powstrzymało go to w pracy; przeciwnie, dodawało bodźca do tym większych wysiłków, ażeby na zmianę jej zasłużyć i serca rodaków zdobyć...

XIII

Z oparów krwi, której nie szczędzono na polach bitewnych, miała powstać Polska... Nie ta wielka, jak przed laty, rozległością ziem swoich sięgająca od morza do morza, lecz mała, skurczona, skrawek jej nieomal, nawet nazwy Polski nie nosząca, by nie drażnić uszu zaborców, tylko jakąś pokraczną, naprędce uktą nazwę Księstwa Warszawskiego...

Ukuł ją Napoleon w czasie długich targów z carem Aleksandrem w Tylży, po świetnem zwycięstwie pod Frydlandem w czerwcu 1807 r.

Powstała z targów między carem a Napoleonem, który tą drogą chciał kupić sobie sprzymierzeńca w przyszłej wojnie z Anglją, a jednocześnie dać dłuższy przynajmniej pokój Francji i Europie.

Powstała kosztem Prus, lecz jednocześnie miała być zapłatą nowemu sprzymierzeńcowi za jego przyszłą przyjaźń...

Napoleon powziął myśl oddania jej, jako osobnego królestwa, carowi Aleksandrowi, lecz ten plan, będący jakby powtórzeniem projektów Puławskich ks. Czartoryskiego, został przez cara odrzucony.

Wtedy zażądał Napoleon Prus Południowych i Nowo-Wschodnich dla swego sprzymierzeńca i przy-

jaciela, króla saskiego Fryderyka Augusta, wskrzeszając przez to artykuł VII ustawy z 3 maja, który stanowił, że po zgonie Stanisława Augusta „dynastia przysłych królów Polskich zacznie się na osobie Fryderyka Augusta, dzisiejszego elektora saskiego.“

Na rzuconą przez cara Aleksandra myśl, że Hieronima Bonaparte, brata cesarza, możnaby ożenić z infantką sasko-polską i wynieść na tron nowego państwa, Napoleon odpowiedział dumnie twierdzeniem, że w Polsce i w państwach przyległych chce mieć tylko „barjerę, dzielącą dwa wielkie cesarstwa“, osadzenie zaś tam członka rodziny jego staćby się mogło źródłem nieporozumień i zatargów...

Zaczęły się potem targi o granice nowoutworzonego państwa. Na żądanie cara Aleksandra, pozostawiono Fryderykowi Wilhelmowi Prusy Królewskie, czyli Zachodnie; dla zjednania znów cara Napoleon przydzielił Rosji Kłajpedę w Prusach Wschodnich i obwód Białostocki — kawał Podlasia, klinem wcinający się nad Biebrzą, Narwią i Bugiem w granice nowego państwa.

Nastąpił więc faktycznie nowy rozbiór Polski, a zmartwychwstająca Polska powstała tylko w granicach zaboru Pruskiego, okaleczona, uszczuplona, bez dostępu do morza.

Wywołało to wielkie rozgoryczenie wśród ludności, zwłaszcza nowego Księstwa Warszawskiego, która nadomiar obawiała się, ażeby Polska nie stała się prowincją saską...

Zmartwieni i niespokojni udali się członkowie rządu do Drezna, aby wysłuchać woli Napoleona co do przyszłego urządzenia Polski. Czcigodny Małachowski chciał prosić o zwyczajne wskrzeszenie konstytucji 3 maja; inni, Wybicki z Potockim uznawali konieczność zreformowania jej w duchu liberalnym i sklecieli naprędce punkta wytyczne ustawy...

W dniu 19 lipca stanęła Komisja Rządząca przed Napoleonem; kazał Potockiemu czytać przyniesiony projekt, rychło jednak przerwał czytanie i chodząc po pokoju, szybko dyktować zaczął artykuły konstytucji; sekretarz stanu Maret, ksiązę Bassano, zaledwo był w stanie, skracając wyrazy, zapisywać słowa cesarza.

— Zniosę u was najprzód poddaństwo, — mówił Napoleon: i dam wam konstytucję reprezentacyjną...

Tak powstała ustawa konstytucyjna Księstwa Warszawskiego, arcydzieło logiki, jasności i prostoty...

W dn. 22 lipca Napoleon podpisał projekt, a 23 odczytano go Komisji, jako ustawę obowiązującą...

Nowe państwo było zorganizowane...

W nowej ustawie specjalne artykuły były poświęcone wojsku. Art. 79 powiedział: „Siła zbrojna składać się będzie z 30.000 ludzi wszelkiego rodzaju żołnierza, obecnego pod bronią, nie licząc w to gwardji narodowych“. Art. 80: „Król może przyzwać do Saksonji część wojska Księstwa Warszawskiego, zastępując je równą liczbą wojska saskiego“. Art. 89: „Nic nie będzie odmienione co do terażniejszej licz-

by i organizacji wojska dotąd, aż póki w tej mierze pierwszy zwołany sejm główny nie postanowi.“

Nacisk ten, położony na armję, stanie się zrozumiałym wobec tego, że wojna z Austrią stanowiła tylko kwestję czasu.

Lecz jednocześnie z tem raziły nowopowstałe Księstwo dwa ciosy, i to z ręki Napoleona, które wzburzyły całą opinię publiczną przeciwko niemu.

Pierwszym z nich było rozdanie licznych dóbr narodowych w Polsce na dotacje dla marszałków i generałów francuskich, drugim — wyrwanie z szeregów armji polskiej najświetniejszej młodzieży i utworzenie z niej polskiego lekkokonnego pułku gwardji, który miał dotąd pełnić służbę przy cesarzu.

Martwił się tem srodze ks. Józef, irytował Dąbrowski, lecz wobec woli cesarza nic poradzić nie mogli...

Prócz tego trzy pułki piechoty z legji polsko-włoskiej Grabińskiego, przeszły na żołd francuski i odmaszerowały do Francji, jako legja nadwiślańska.

Wobec nędzy, panującej w kraju, wywołanej zarówno niemożliwością wywozu zboża skutkiem systemu kontynentalnego, jak również bezwzględnym egzekwowaniem należności pruskich przez Napoleona, utrzymanie nawet 30.000 armji było dla Księstwa Warszawskiego ciężarem nad siły.

Konwencja bajońska, zawarta w maju 1808 r., redukująca znacznie wierzycelność cesarza, niewiele

użyła ziemiaństwu, wśród którego budziła się głucha niechęć do Napoleona.

W październiku 1807 roku została rozwiązana Komisja Rządzająca, a pozostała Rada Stanu, z Małachowskim narazie jako prezesem.

Zarówno Rada Stanu, jak i rząd, pozostawały w pewnej zależności od posła francuskiego w Warszawie, który wszystkiego bacznie pilnował.

Bardziej od reszty Rządu zależnem było ministerstwo wojny, na czele którego stał ks. Józef Poniatowski. Faktyczne bowiem dowództwo należało do „pierwszego komendanta“ wszystkich wojsk francuskich, polskich i saskich, pozostających w Księstwie, marszałka Davouta, księcia Auerstadtu.

Do księcia Józefa odnosił się marszałek nieufnie, niezyczliwie, nieraz w sposób lekceważący i brutalny, a kontrola jego w niemalym stopniu utrudniać musiała wysiłki ministra polskiego, borykającego się i tak ogromem trudności w zarządzie armji.

Lekcji cierpliwości, zimnej krwi, spokoju udzielać musiał z oddali swemu marszałkowi Napoleon, który sam niedawno niejedną krzywdzący czynił ks. Józefowi. Teraz oświadczał:

„Nie mogę się zgoda skarżyć na księcia Poniatowskiego, na Stanisława Potockiego; robili co mogli.“

Ostrzegał Davouta przed insynuacjami stronnictwami:

Polacy są żywi, czynni. Wielkie miasta w ogólności mają taki charakter. Warszawa bardziej niż inne. Jest podobna do powierzchni morza, która przez dwa dni nie może pozostać bez zmiany. Ale Polacy są w gruncie rzeczy przywiązani do Francji... Staraj się żyć jak najlepiej z rządem i władcami. Bierzesz sprawy zanadto gorąco. Nie ulega wątpliwości, że w stanie, w jakim znajduje się Polska, muszą zachodzić tarcia, intrygi, niedopatrzienia. W położeniu, które zajmujesz, winienesz zachować nadewszystko cierpliwość i krew zimną...“

Intryg i stronnicych insynuacji nie brakło a źródłem ich była generalicja polska z Zajączkiem na czele.

Mimo to jednak, walcząc z niechęcią mnóstwa towarzyszy broni, z podejrzliwością i arbitralnymi decyzjami Davouta, z nędzą skarbu państwowego, ubóstwem kraju, niezaspokojeniami, rosnącymi potrzebami wojska, organizował ks. Józef wytrwale młodą armję...

Gorliwością, bezinteresownością, szlachetną prostotą postępowania przewycięzał uprzedzenia, niedowierzanie, niechęci, zdobywał powoli serca wojska i ludu... Dzięki mądrej a zacnej interwencji Napoleona, a także dzięki uczciwości marszałka samego, naprawiły się stosunki między ks. Józefem a Davoutem.

A tworzenie armji w tych warunkach było zadaniem trudnem bardzo, gdyż wielką była dysproporcja między ilością krwi, którą kraj ochotnie niósł w ofierze, a środkami pieniężnymi, których nie wystarczało nigdy, aby tych synów ojczyzny odziać, uzbroić i nakarmić...

Wiedziony zdrowym instynktem politycznym, wzorując się przytem na Prusach, oparł ks. Józef tworzenie armji narodowej w podstawach powszechnej powinności wojskowej, zatrzymującej żołnierza pod bronią na lat sześć, krócej zatem, niż we wszystkich armjach Europy. Do służby wojskowej pociągani byli wszyscy „bez względu na ich urodzenie, stan, dostojęństwo, rzemiosło i wyznanie.“ Zwolnione były tylko osoby, poświęcające się edukacji publicznej, nie wyłączając nauczycieli najniższych szkółek ludowych.

Dzięki wyteżonej pracy ks. Józefa i jego pomocnika, szefa sztabu głównego, gen Stanisława Fiszera, wyrastały, jak z pod ziemi: pułki piechoty, kawalerji, artylerji i inżynierji, tak że małe Księstwo Warszawskie, kraik o 7850 milach kwadratowych, o dwóch przeszło milionach mieszkańców, zdobywało się na potęgę zbrojną, jakiej od czasu Sobieskiego aż po Sejm Wielki nie miała Rzeczpospolita...

Oceniano znaczenie tej armji. Głosy małoduszne, że zmniejszyć trzeba ten ciężar, nieznośny dla finansów zbiedzonego kraju, nie były wyrazem narodu, który w wojsku swoim widział przyszłość...

Z uniesieniem radości witano wieści o czynach,

jakich dokonywały w Hiszpanji pułki nadwiślańskie, szwoleżerowie gwardji i piechota warszawska.

Kampanje szwoleżerów, odchodzące do Francji dla kompletowania pułku, żegnał lud warszawski okrzykiem:

— Bądźcie bohaterami! Na was spoczywa nasza nadzieja !

Zaczynała być historja Księstwa Warszawskiego „wzorem powszechnego poświęcenia się obywatelskiego, z takim sercem niesionego, iż chyba w stosunkach rodzinnych między cnotliwymi rodzicami a dziećmi na coś podobnego natrafić można“.

Książę Józef bawił w Dreźnie w czasie nadawania ustawy konstytucyjnej przez Napoleona. Poznał tam króla Fryderyka Augusta i rodzinę królewską, i spotkał się z przyjęciem raczej chłodnem, zwłaszcza ze strony królowej Marji Amelji. Nie zapomniano tam dawnych zatargów między królem Augustem III, a Czartoryskimi i Poniatowskimi, nie zapomniano spółzawodnictwa w czasie elekcji między Stanisławem Augustem a ojcem króla, Fryderykiem Janem...

Wkrótce jednak, dzięki zacności króla, oraz postępowania ks. Józefa, chmury te się rozchwiały i zapanował stosunek przyjazny, a nawet serdeczny.

A może przyczyniło się do tego i uczucie, jakim zapłonęła do wsławionego rycerskimi czynami, pięknego jeszcze wodza polskiego, młoda, gdyż dwudziestopięcioletnia jedynaczka królewska, infantka Augusta, dość przystojna, miła, bardzo dobra...

Krażyły nawet pogłoski o możliwym małżeństwie, rozgłaszane gorliwie przez pisma berlińskie, tak że potrzeba było im urzędownie zaprzeczać...

Para królewska, w dbałości o szczęście jedynaczki, zdaje się nie była temu przeciwną, choć nasuwało to poważne trudności, gdyż stawiało niejako formalnie kandydaturę ks. Józefa do korony...

Ks. Józef jednak, zarówno ze względów osobistych, jak i politycznych, unikał starannie nawet pozorów, mogących nasunąć myśl o staraniu się o rękę księżniczki, o którą napróżno dobijali się monarchowie, od której niedawno dostał odmowę cesarz austriacki...

Po załatwieniu najpilniejszych spraw, wrócił ks. Józef do Warszawy, do pracy nad formowaniem umiłowanego wojska.

A księżniczka Augusta?..

Nie oddała swej ręki nikomu, aż do śmierci samej, w późnym wieku jeszcze zachowując w pamięci piękną postać rycerza polskiego.

XIV

Niedługo trwał pokój na horyzoncie Europy. Już w lecie w r. 1808 wybuchły krwawe walki w Hiszpanji, gdzie wojska polskie pod Samosierrą i Saragossą odkryły się sławą nieśmiertelną... W Austrii rozpoczęły się gwałtowne zbrojenia, pokonane tak niedawno Prusy zaczęły podnosić głowę, a Rosja czekała tylko odpowiedniej chwili do wystąpienia...

Pojawili się również w Warszawie emisariusze rosyjscy i pruscy, usiłujący na swoją stronę przeciągnąć społeczeństwo polskie, — ks. Czartoryski zjechał do Puław, by być bliżej terenu swej działalności, a ks. Antoni Radziwiłł przybył wprost do Warszawy, ażeby lepiej zbadać grunt.

W tej chwili tak niepewnej, Napoleon specjalnym rozkazem odwołał z Polski marszałka Davouta, przenosząc go na ważniejsze stanowisko obserwacyjne do Niemiec.

Wynikła kwestja, komu ma zdać dowództwo w Księstwie Warszawskim...

W czasie dość długiego przebywania z ks. Józefem, przy mądrych wskazówkach Napoleona i dzięki taktowi małżonki marszałka, zdołał Davout rozpa-

trzeć się w powodzi intryg i plotek, otaczających ks. Józefa, i nauczył się cenić ks. Józefa....

Wybór następcy marszałka Davouta miał rozstrzygnąć o nader ważnej sprawie, czy dokonane zostanie zjedoczenie dowództwa i zarządu nad wojskiem.

Rozstrzygająca rozmowa na ten temat odbyła się między marszałkiem a księciem Józefem w połowie sierpnia 1808 r.

A gdy w rozmowie tej poruszono sprawy ogólniejsze i groźną sytuację polityczną w Europie, ks. Józef bez wahania zwrócił uwagę marszałka, że istotne niebezpieczeństwo dla utrzymania ducha publicznego w Księstwie wyniknąć musi w chwili, gdy Austria i Rosja dojdą do porozumienia w sprawie podniesienia Polski.

Z całą swą żywością odparł mu marszałek na to, że jeśli istnieją podobne zamiary sąsiedzkie, w takim razie niechybnie musiano z niemi zwrócić się także do księcia, jako osoby w kraju najwybitniejszej, i wręcz postawił mu zapytanie: czy odebrał jakie wyraźne insynuacje w tym względzie?

Z całym spokojem i szczerością zupełną, odpowiedział ks. Józef, że od Tyłży nie odebrał żadnych, że atoli poprzednio, między Iłową a Frydlandem, mając na myśli propozycje Fryderyka Wilhelma z lutego 1807., dobadywano się go w tym kierunku, i że odpowiedział na to odmownie.

Te proste, prawdziwe i szczerze słowa zdecydowały o zdaniu i wyborze Davouta!

Pisał też wnet potem do cesarza:

„Mogę wydać najlepsze świadectwo o ks. Poniatowskim. Studjuję go oddawna i, być może, skutkiem uprzedzeń mego umysłu powziąłem względem niego podejrzenie; lecz odkąd sprawy przybierają obrót poważniejszy, ujawnia on o swoim postępowaniu otwartość, budzącą pełne zaufanie. Zarzucano mu słabość charakteru, lekkomyślność, ale jestto człowiek uczciwy i człowiek honoru. Oddaję mu dowództwo nad wojskiem.“

A gdy w początku września, opuszczając Warszawę, zdawał urzędownie komendę Poniatowskiemu, tak pisał do niego marszałek Davout:

„Proszę księcia uważać ten krok jako dowód nieograniczonej mojej ufności i szacunku, jaki do Niego powziąłem, a proszę też wierzyć, że nic nie jest w stanie zmienić kiedykolwiek tych uczuć, gdyż podyktowała mi je dopiero znajomość tych zasad delikatności i lojalności, które stanowią istotę Jego charakteru“.

W ten sposób dawał on księciu zadośćuczynienie za wszystkie krzywdy doznane, zadośćuczynienie w zupełności zasłużone, a jednocześnie czynił krok ważny i brzemienny w skutki!...

Burza wojenna zbierała się nad Europą, coraz groźniejsza, coraz potężniejsza...

Korzystając z tego, że Napoleon, uwikłany w wojnę z Hiszpanją, miał tam uwięzione znaczne siły, Austria, wspierana materialnie przez Anglię, zrywa się do walki, prowadzi siły olbrzymie pod wodzą arcyksięcia Karola, a Prusy, opanowane przez tajne organizacje patriotyczne Tugendbundów, przemysłują o odwecie.

Wobec zbliżającej się na zachodzie Europy wojny, Napoleon oprzeć się może jedynie na przymierzu z Rosją...

Lecz przyjaźń cara Aleksandra podstępna była, przewrotna, na wyrachowaniu tylko oparta...

Wykorzystał też przyjaźń Napoleona dla utrwalenia pokoju w carstwie swoim i gromadzeniu sił, w oczekiwaniu chwili rozgrywki, oraz zgody tegoż na zabór Finlandji i Wołoszczyzny...

I podczas gdy Napoleon wierzył w szczerą i trwałą tego przymierza, w Petersburgu prowadzono potajemne rokowania z wysłannikiem cesarza austriackiego, ks. Schwarzenbergiem, tym samym, któremu ks. Józef pod Sabaczem życie ocalił, a treścią ich było zapewnienie sobie bezkarności ze strony Rosji na wypadek napaści Austrii na Księstwo Warszawskie...

Ten błąd fatalny w polityce Napoleona przeczuł przewrotny Talleyrand, i nawiązał tajemne rokowania z carem Aleksandrem, by zostać jego informato-

rem i doradcą, by na nim się oprzeć w chwili klęski Napoleona.

Ufając też w szczerą przyjaźń cara Aleksandra, popełnił Napoleon błąd fatalny w stosunku do Księstwa Warszawskiego. Mianowicie, będąc pewnym, że sam fakt przymierza z Rosją powstrzyma Austrię od napaści na Księstwo Warszawskie, mimo wielce uszczuplonych zastępów polskich, polecił wycofać jeszcze stojący tam oddział saski, a jednocześnie ks. Józefowi polecał rozpoczęcie ofensywy na Kraków...

A tymczasem Austria przygotowywała się do wojny nader starannie, mając zapewnienie cara Aleksandra, że nie wystąpi przeciw niej wrogo, oraz licząc na to, że po pierwszym zwycięstwie pociągnie za sobą i Prusy i Rosję...

Siły, jakie zebrała były naprawdę imponujące, gdyż liczyły około 595.000 żołnierzy, z czego blisko 300.000 tworzyło armję czynną...

Wojna rozpoczęła się w dn. 6 kwietnia 1809 r. wkroczeniem arcyksięcia Jana do Bawarii, a jednocześnie wyruszył silny korpus, pod wodzą arcyksięcia Ferdynanda ku Księstwu Warszawskiemu, celem zniszczenia wojsk polskich i połączenia się z korpusem angielskim, który miał wylądować w Niemczech.

Przed wyruszeniem w pochód, arcyksiążę Ferdynand otrzymał od wodza naczelnego, arcyksięcia Karola, następujące pouczenie:

„Rosja, Prusy i Galicja wyczekują na obrót przedsięwzięcia Waszej Miłości... Najmniejsze niepowodzenie wpłynęłoby na postanowienia naszych sąsiadów w sposób wielce niepożądany i byłoby może pod względem politycznym równie szkodliwe, jak bitwa, przegrana nad Dunajem. Przedsięwzięcia Wasze muszą być jak rwący potok, szybkie, nagle, stanowcze i prowadzone z takim naciskiem, ażeby nic nie było zdolne się im oprzeć“...

Niedziwota, gdyż przez wydanie, po zdobyciu, Księstwa w ręce, „prawowitego władcy“, Fryderyka Wilhelma III, liczono kupić sobie jego sojusz i udział w wojnie...

W dniu 14 kwietnia stanął arcyksiążę Ferdynand w Odrzywole nad Pilicą, na granicy Księstwa, i zstamtąd wydał odezwę do jego mieszkańców, w której zrzęcznie wykorzystał wszystkie rozczarowania, rozgoryczenia i żale polskie do Napoleona...

Pisał on w niej:

„Czyliż jesteście uczestnikami szczęścia, które wam cesarz Francuzów przyobiecał? Wylana krew braci waszych pod murami Madrytu jestże dla dobra waszego wylana? Powiedzcie, co za związek ma Wisła z Tagiem ... Cesarz Napoleon używa wojsk waszych dla siebie, a nie dla was. Wasze majątki i wasze wojska

stają się ofiarą, nie dosyć, że dla obcego dobra lecz dla dobra, waszemu zupełnie przeciwnego, bo w tym momencie, lubo jego aljanci, zostaliście atoli większości naszej armji bezbronni wystawieni, w tym razie, gdy wybór wojsk waszych swą krwią zalewa ziemię Kastylii i Aragonji“:

Tegoż samego dnia, o godz. 7 wieczorem, przesłał arcyksiążę Ferdynand najbliższemu posterunkowi polskiemu bilet swój dla księcia Józefa zawiadomieniem, że po upływie 12 godzin wkroczy do Księstwa...

Następnego dnia silny, 30 tysięczny korpus austriacki, przekroczył granicę i spiesznym marszem podążył w kierunku Warszawy...

Ta nagła ofensywa austriacka była niespodzianką dla ks. Józefa, złudzonego przewidywaniami Napoleona, marszałka Bernadotte'a i poczęści własnymi. Nic nie było przygowane do przyjęcia wkraczającego wroga; fortyfikacje Warszawy, Torunia i Modlina niewykończone, a liczba wojska, które mogło być użyte w polu, łącznie z 2.000 Sasów, którzy mieli wkrótce wymaszerować, nie przewyższało 15-16 tysięcy żołnierzy, przyczem w większości swej składała się z rekrutów nowozaciężnych.

Sytuacja była bardzo ciężka, zwłaszcza wobec dwukrotnie liczniejszego wroga.

Lecz nie uląkł się jej ani ks. Józef, ani Rada Stanu, boć szło przecież o istnienie Ojczyzny. Dla ks. Józefa znów prócz tego było to kwestją honoru, gdyż wiedział dobrze, że w razie klęski rozlegnie się okrzyk „zdrada“, wiedział, że nie posiada ufności narodu, że zdobyć musi ją sobie krwawą pracą...

Po długim namyśle postanowił wyruszyć na spotkanie Austriaków...

Zawrzała praca nad przygotowaniem do obrony, nakazano organizację gwardji narodowych i pospolitego ruszenia, zamianowano komisarzy cywilnych i dowódców wojskowych dla każdego departamentu, celem organizowania nowej siły zbrojnej, przystąpiono do naprawy szańców...

W odpowiedzi na odezwę arcyksięcia Ferdynanda, Rada Stanu w dn. 16 kwietnia ogłosiła swoją odezwę, w której, między innymi, pisała:

„Waleczni rycerze uasi spieszą pod dowództwem mężnego wodza na wstrzymanie zapędów wkraczającego nieprzyjaciela, łączcie więc wszelkie usiłowania z tymi uzbrojonymi naszymi braćmi!“

Książę Józef zdecydował się spotkać nieprzyjaciela na pozycji nad rzeczką Rawką, w punkcie, gdzie zbiegają się koło Raszyna drogi z Nadarżyna, Tarczyna i Piaseczna, a po których posuwał się naprzód nieprzyjaciel.

Na tym terenie błotnistym, pełnym moczarów i stawów, przeciętym groblami i mostami, stanowiącymi naturalną obronę przed natarciem wroga, postanowił wódz polski stoczyć bitwę...

Rozstawione na pozycjach oddziały wojskowe oczekiwały na znak do rozpoczęcia bitwy. O świcie dnia 19 kwietnia odbyła się pierwsza potyczka pod Nadarzynem między jazdą Różnieckiego a przednią strażą austriacką. Gdy nadeszła piechota austriacka, jazda polska zwinęła się na skrzydła, odsłaniając pozycję... W godzinę potem ogień artyleryjski rozpoczął bitwę...

W spiesznym pochodzie swym na Warszawę i lekceważeniu przeciwnika, arcyksiążę Ferdynand, spodziewając się zgnieść go wstępnym bojem, zlekceważył wszystkie przepisy taktyki.

Pod naciskiem silnej awangardy austriackiej, wspartej ogniem działowym, na wieś Falenty i lassek, musiał ustąpić bataljon 8 pułku, pozostającego pod wodzą pułkownika Cyprjana Godebskiego, poety-legjonisty.

Pułk ten przyprowadził on sam w przeddzień bitwy z Modlina, i prosił ks. Józefa o pierwsze miejsce w boju. Zrobiono mu nadzieję. Godebski powiedział swoim żołnierzom:

— Ufam z pewnością, iż zasłużycie teraz przez waszą odwagę, by numer nasz 8 zmienionym został na 1.

Zajawszy wyznaczone mu rzeczywiście niebez-

pieczne stanowisko we wsi Falenty i lasku, Godebski „z bohaterską dzielnością przytomnego umysłu wracał kilkakrotnie do porządku swe wstrząśnione szeregi i odpierał natarczywą siłę“...

Z rąk do rąk przechodziły kępy olch i wioska, aż wreszcie zdziesiątkowany bataljon, ustąpił ku grobli; padł koń pod pułkownikiem, a szef sztabu, gen. Fiszer, odniósł ranę.

W tej właśnie chwili niebezpiecznej nadbiegł do swej awangardy, otoczony świetną świtą, wódz naczelny.

W jednej chwili objąwszy sytuację, sformował ks. Józef cofające się bataljony, a zeskoczywszy z konia, z karabinem w ręku stanął na ich czele i poprowadził do ataku.

Porwani widokiem wodza, lekceważącego swe życie i wiodącego ich do boju, z zapalem uderzyli wiarusi polscy na Austriaków, wyparli ich z wioski i lasu, posiłkowani świetnie lekkimi działami kapitana Romana Sołtyka...

A w ślad za księciem Józefem szli na czele bataljonów starzy, wysłużeni bohaterowie — legjoniści: Sokolnicki, Godebski, Małachowski, Sierawski i inni...

W ogniu bitewnym, w służbie umiłowanej Ojczyzny, znikła niechęć wzajemna, zatarły się wszelkie antagonizmy, wytworzyła się jedna potężna więź ducha, a nie munduru...

Lecz Austriakom przybywają posiłki. Siły ich

czterokroć przewyższają zastępy polskie. Mocą tej przewagi liczebnej odebrali Austriacy lasek i wioskę... Ranny w nogę Godebski nie zważa na to, wydaje rozkazy, gromadzi swój zastęp, gdy w tem kula wraza razi go śmiertelnie poniżej piersi. Spadł z konia bohater-poeta, chwytają go wierne dłonie żołnierskie, i torując sobie drogę bagnietami, unoszą do swoich... Już minęli plac boju, już są, zdaje się, bezpieczni, gdy zbłąkana kula dosięgła konającego.

— Więc i ty mnie także nie mijasz? — wyrzekł szepem i skonał..

A na placu boju przewaga wraza wzięła górę nad słabemi siłami polskimi. Awangarda się cofa, artylerja zmuszona do milczenia pod ogniem 24 dział wroga, a odwrót odbywa się pod morderczym ogniem dział i karabinów nieprzyjacielskich przez groblę, częściowo przez bagna... Wszyscy oficerowie sztabu ks. Józefa ranni byli lub konie mieli zabite...

Lecz bój nie skończył się jeszcze... Wystąpiły teraz do walki główne siły polskie, do walki o Raszyn...

Piąta już była popołudniu, gdy Austriacy, sforsowawszy groblę, wdarli się do wsi, gdzie bój toczył się ze zmiennem szczęściem.

Coraz ruszały w bój nowe kolumny Austrjaków, a ks. Józef, uformowawszy po prawej stronie traktu warszawskiego potężną baterję z dział polskich i saskich, ogniem 16 paszcz ognistych raził szturmującą piechotę austrjacką...

Staneła wioska w płomieniach, a Austriacy, z powodu trudności terenu nie mogąc ustawić dział swoich, byli zmuszeni cofnąć się...

Zmierzch już zapadł, na wieżycach kościelnych wybiła dziewiąta, gdy skończyła się bitwa...

Na zboczonym krwią pobojuwisku raszyńskim legło 2500 zabitych i rannych Austrjaków, oraz 450 zabitych i 900 rannych żołnierzy polskich.

O męstwie żołnierza polskiego najlepiej świadczy to, że zaledwie 40 wzięto do niewoli...

W mrokach nocy strudzona armja polska, uszczuplona przez odejście wprost z pola bitwy Sasów do domu, opuściła Raszyn, cofając się pod osłonę szańców stolicy...

Bohaterstwo wojska polskiego pod Raszynem okryło młodego żołnierza wiekopomną sławą. Lecz, co ważniejsze, przejęło wroga lękiem o zwycięstwo, którego tak był pewien, zachwiało w nim wiarę w swe siły, wpoilo szacunek dla przeciwnika, a równocześnie w szeregach polskich zbudziło zaufanie i miłość dla wodza, które wkrótce miał przejąć naród cały...

Zwycięstwo narazie pozostało przy Austrjakach. Bardzo wolno posuwali się oni ku Warszawie, nie zbliżając się nadto do arjergardy polskiej, dowodzonej przez niezmordowanego gen. Sokolnickiego.

W Warszawie tymczasem szykowano się do obrony. Rada Stanu przekazała całą swą władzę ks. Józefowi, przy boku którego stanął, zapomniawszy o wszystkim, gen. Dąbrowski.

Na wieść o wojnie, na pierwsze wezwanie z Warszawy, pomknął bryczką z Poznania i jadąc dzień i noc, przybył do stolicy akurat pod koniec bitwy pod Raszynem...

Niebezpieczeństwo, grożące Ojczyźnie, odsunęło na bok wszelkie sprawy osobiste, pierwszy wyciągnął do ks. Józefa dłoń pojednania i wspólnie z nim myśleć zaczął nad sposobami obrony.

Łącznie z Francuzami: gen. Pelletierem, inżynierem artylerji, pułkownikiem Saugierem, kometantem Warszawy i rezydentem — Serrą, rozpatrywali wszelkie możliwości obrony.

Sytuacja przedstawiała się fatalnie. 30.000 zastępom wrażym można było przeciwstawić zaledwie 12 — 13.000 żołnierzy, z których część zaledwie bronią władać umiała, 45 dział, niewystarczających na nader długą linię obronną, oraz słabość zaczętych szanów...

Nie mogła być braną w rachubę 5000 armja obywatelska, niekarna, niesforna, niedawno dopiero ufomowana, wymagająca znacznego czasu, ażeby przemienić się w jednostkę coś wartą pod względem bojowym...

W czasie tych rozpaczliwych rozważań, otrzymał ks. Józef od arcyksięcia Ferdynanda zaproszenie na rozmowę.

Podążył tam, a przyjęty przez arcyksięcia z wyszukaną grzecznością, wysłuchać musiał powinszowań zarówno co do swego męstwa, jak i armji. Za-

proponował mu następnie arcyksiążę zawieszenie broni i w rozmowie, niby przyjacielskiej, kusić go zaczął myślą porzucenia Napoleona, od którego rzekomo ani on, ani Polska niczego spodziewać się nie mogli...

Na tę ostatnią propozycję ks. Józef odrzekł żywo:

— Przynajmniej to Wasza arcyksiążęca Mość przyznać musi, że powinniśmy być bardzo wdzięczni cesarzowi Napoleonowi za przywrócenie nam wojska narodowego i za zaszczyt, jakiego dostąpiliśmy, walcząc z Waszą arcyksiążęcą Mością pod sztandarami polskimi...

Rozmowa skończyła się zawarciem zawieszenia broni na 24 godziny, w czasie których ks. Józef miał rozważyć propozycje arcyksięcia, co do poddania Warszawy...

Długo trwała narada ks. Józefa z Dąbrowskim i Francuzami, aż wreszcie, gdy uznano, że obrona jest niemożliwa, zdecydowano oddać stolicę arcyksięciu pod warunkiem, że wojsko polskie ze wszystką bronią, działami i ryszunkiem ustąpi ze stolicy, która wolną być miała od kontrybucji, a mieszkańcom zapewniony szacunek i bezpieczeństwo...

W dn. 21 kwietnia zawarto konwencję, przyczem wojsko miało ustąpić w 48 godzin.

Warszawa była poddana Austrii...

Gdy wieść o tem przedostała się na miasto, wśród rozgoryczonej ludności, pamiętającej żywo ka-

pitulację stolicy w r. 1794, i jej następstwa, wybuchło wzburzenie..

Rozległy się okrzyki „zdrada“, gwardja narodowa, zbuntowana, rozpoczęła na ulicach strzelaninę, generałów obrzucano kamieniami, a gniew wszystkich zwracał się przeciw księciu Józefowi...

Nawet wojska przeklinały, narzekały i rzucały obelgi, lecz ks. Józef, czysty w swem sumieniu, wsparty tym razem przez przyjaciół, rozmyślał nad drogami, jakimi miał poprowadzić te zniechęcone szeregi do zwycięstwa...

XV

W Modlinie, po wyjściu wojska z Warszawy, odbyła się narada, co czynić dalej...

Wyłoniły się trzy koncepcje: ks. Józefa o rzuceniu wojska do fortec i wszczęcia wojny podjazdowej w północnej części kraju, gen. Zajączka — o porzuceniu Księstwa i przebiciu się do Saksonji, do armji francuskiej, gen. Fiszera — o odwrocie do Gdańska...

Zwyciężyła jednak czwarta koncepcja, wysunięta przez Dąbrowskiego, Pelletiera i Sokolnickiego, która wielkością swoją porwała ks. Józefa... Polegała ona ni mniej ni więcej tylko na pochodzie wojsk polskich prawym brzegiem Wisły do Galicji, zaatakowania tam podstawy nieprzyjacielskiej, rozpalenie wojny narodowej w całym Księstwie Warszawskim i Galicji.

Głównem uzasadnieniem tego planu było, że arcyksiążę Ferdynand, uwięziwszy znaczną część wojsk swoich w Warszawie, nie będzie mieć dostatecznych sił, ażeby przeciwstawić je posuwającym się naprzód wojskom polskim. Powtóre, posiadano wiadomość, że arcyksiążę Karol, gromadząc wojska przeciw Napole-

onowi, zmniejszył w Galicji do minimum załogi, tak że wielkiego oporu nie należało się tam spodziewać...

Podczas gdy w Modlinie rozstrzygały się dalsze losy kampanji polsko-austrjackiej, na Pradze rozgrywał się pierwszy akt porażki austriackiej.

W zbudowanym tam forcie, z nieliczną załogą, pozostał na straży dzielny major Hornowski, zdecydowany bronić się do ostatka... Gdy arcyksiążę zerwał układy, mające mu oddać w ręce Pragę, i zagroził zbombardowaniem Pragi z wyniosłego brzegu warszawskiego, major Hornowski zwrócił działa na stolicę, oświadczając stanowczo arcyksięciu z polecenia ks. Józefa, że w razie zaatakowania Pragi, pierwszy zburzony zostanie własny pałac książęcy „Pod Blachą“.

To dzielne oświadczenie, poparte mężną postawą ludu warszawskiego, gotowego rzucić się z gołemi rękoma na najeźdźców, zastanowiło arcyksięcia.

Tkwiał mu jeszcze w pamięci znany z historii a pouczający przykład powstania tego ludu w kwietniu 1794 r. przeciwko Moskałom...

Złagodził też wnet arcyksiążę i zawarł nową konwencję, na mocy której zaistniał stan neutralności między Warszawą a Pragę, które nie miały się ostrzeliwać wzajemnie...

Tak więc pod samym bokiem arcyksięcia pozostała czujna a mężna placówka polska.

Wobec tego, że Praga mogła być zdobytą tylko od strony Grochowa, wyprawił arcyksiążę dość liczny,

bo 4000 korpus gen. Mohra do Karczewa, gdzie przeprawił się on przez Wisłę na tratwach, nie pozostawiając za sobą żadnego mostu w tyle, polecając mu od strony Okuniewa i Radzymina uderzyć na fort praski...

Dotarł korpus do pierwszych szańców fortu praskiego, a gdy major Hornowski dumnie odrzucił wezwanie do poddania się, gen. Mohr rozpoczął oblężenie, zamierzając w dn. 26 kwietnia uderzyć do szturm...

Lecz ks. Józef czuwał... Wyprawione przez niego trzy kolumny wojska polskiego miały otoczyć nieprzyjaciela i zniszczyć...

Mężne uderzenie kolumny gen. Sokolnickiego zachwiało szeregami gen. Mohra i po całodziennej bitwie, której z zapartym oddechem przyglądała się z brzegu warszawskiego cała armja austriacka i rozgorączkowany, drżący z niepokoju lud warszawski, — zmusiło wroga do spiesznego cofnięcia się do Karczewa.

Na placu boju pozostało 100 zabitych, kilkuset rannych i 300 jeńców austriackich.

Porwany własnym rozpędem Sokolnicki parł gen. Mohra aż po szaniec przedmostowy, wzniesiony w tym czasie przez Austriaków w Ostrówku, naprzeciw Góry Kalwarji, gdzie silny korpus generała Schaurotha przekroczyć miał Wisłę.

Wykańczano spiesznie budowę mostu, a siły austriackie należały do wyborowych, składając się

przeważnie z emigrantów francuskich, walczących zaciekle przeciwko sprzymierzeńcom uzurpatora.

Tymczasem gen. Sokolnicki, przekonawszy się, że most nie został jeszcze ukończony, zrozumiał, że zwycięstwo niezwłoczne w tym punkcie może rozstrzygnąć o losach kampanji, że trzeba „wziąć ten okop, most zniszczyć, albo polec“...

Przy pomocy gen. Palletiera, rzucono się do ataku w nocy z 2 na 3 maja. Cztery kolumny polskie runęły na szaniec, przebyły przekopy w mgnieniu oka, wdarły się do wnętrza, gdzie przez pół godziny walczone zaciekle na bagnety o każdą piędź ziemi, aż wreszcie złożyli Austriacy broń...

Część z nich ratowała się ucieczką na wielkich łodziach pontonowych, z których trzy wpadły w ręce polskie... Zdobyczą polską stał się sztandar, 3 działa, 1800 jeńców austriackich... Zwycięstwo swoje Polacy okupili 300 zabitymi i rannymi, podczas gdy Austriaków legło 500 zabitych i rannych...

Pomimo gwałtownej kanonady z dział z przeciwległego brzegu Wisły, nie zdołał wróg wyprzeć Polaków z szanca, to też w nocy musiał zwinąć most i zaniechać myśli o przeprawie.

Przybył do Ostrowia sam ks. Józef, by złożyć generałowi i wojsku podziękowanie i wyrazić swe zadowolenie.

Zwycięstwo to, oraz rozpęd bojowy Sokolnickiego udzieliło się wodzowi naczelnemu i całej armji... Gdy po bitwie grochowskiej droga do Galicji sta-

nęła otworem, na decydującej radzie wojennej w Zegrzu przyjęto ostatecznie plan Dąbrowskiego i podzielono role...

Gen. Dąbrowski miał udać się do Wielkopolski, by stamtąd przyprowadzić nowe zastępy. Gen. Zajaczek miał pozostać w Modlinie, ażeby organizować na prawym brzegu Wisły w departamencie płockim i łomżyńskim siłę zbrojną. Ks. Józef, z główną siłą w liczbie 14.000 ludzi wyruszyć miał na podbój Galicji...

W dniu 3 maja, uroczyste zawsze święconym, już spory szmat Galicji Zachodniej znajdował się w ręku polskim.

Z Wiązowny, z głównej kwatery, wydał ks. Józef krótką odezwę do mieszkańców Galicji.

Brzmiała ona:

„Polacy! Ziomkowie!... My już dawno zyskałiśmy niepodległość, jesteście Polakami; idźcie za naszym przykładem, niesiemy wam hasło jedności i swobody. Przyłóżcie się do wielkiego dzieła wskrzeszenia Ojczyzny...“

Posuwano się zwycięsko naprzód. Pod Kockiem, w czasie utarczki z huzarami węgierskimi, zginął mężny szef szwadronu, były pułkownik kościuszkowski i legjonista, Berek Joselowicz...

W dn. 9 maja jazda polska zajęła Lublin, do którego w dn. 14 t. m. wjechał ks. Józef, witany z entuzjazmem i radością przez całą ludność...

W tymże czasie pod Włodawą szwadron ułanów

Dziewanowskiego wziął bez walki prawie 700 jeńców i odbił 3000 rekrutów, prowadzonych na uzupełnienie armji austriackiej.

W ludności Galicji budził się nowy duch, napływały tłumy ochotników, z których formowano nowe pułki... Konstanty Czartoryski, brat ks. Adama, i Stanisław Zamoyski wystawili każdy po pułku piechoty, trzeci wystawiał cały okręg lubelski...

Korzystał z każdej chwili i sposobności ks. Józef, by gorącymi odezwaniami zachęcać wojsko i ludność do dalszych wysiłków...

W pochodzie swym zwyciężkim naprzód, prowadzonym bez wytchnienia, posuwała się armja polska naprzód...

Gen Sokolnicki, po przeprowieniu się przez Wisłę pod Zawichostem, ruszył na Sandomierz.. Stanowił on nader ważną pozycję strategiczną, gdyż wiązał linje operacyjne armji arcyksięcia z magazynami i zakładami Starej Galicji, z Jarosławiem, Przemyślem i Lwowem, a jednocześnie, opanowany przez Polaków zagrażał połączenom arcyksięcia z Krakowem i Ślązkiem...

W dn. 17 maja przystąpił gen. Sokolnicki do akcji. O zmroku, po rzuceniu kilku granatów, ruszyła do szturm na zabarykadowaną bramę Opatowską kompanja grenadjerów 12 pułku pod wodzą ks. Marcelego Lubomirskiego. Lecz przyjęci gęstym ogniem wroga, grenadjerzy musieli się cofnąć, unosząc z sobą zwłoki poległego dowódcy...

Jednocześnie z tem pułkownik Sierawski z wolyżerami 6 pułku wdarł się do miasta z innej strony, zajął pozycję i walcząc oczekiwał posiłków; wtem zdobycie szanca przedmostowego rozstrzygnęło o losach fortecy...

Dokonali tego, na czele swoich zastępów, major Bogusławski i szef szwadronu lekkiej artylerji, Włodzimierz Potocki, pędem, bez wystrzału, w ataku na bagnety zdobywając lunety przyczółka, poczem błyskawicznie wpadła piechota polska do szanca, pędząc przed sobą wroga przebiegła most i dotarła do miasta...

W tych warunkach komendant Sandomierza, generał brygady, Eggermann, zdecydował się na kapiitulację...

Przy zawieraniu jej uzyskał pozwolenie na wyjście z bronią, bagażami i artylerją polową, lecz szeregi jego wkrótce stopniały do połowy, gdyż 800 rekrutów-Polaków, jak i wszyscy żołnierze Polacy w służbie austriackiej przeszli na stronę polską...

Pozostawał teraz do zdobycia Zamość, blokowany od dn. 15 maja przez parę szwadronów ułańskich, pod wodzą gen. Kamińskiego.

Była to silna bardzo forteca, z mocnymi bardzo obwarowaniami, z 3000 załogą, 40 działami i olbrzymimi zapasami.

Na zdobycie tej twierdzy wyprawiono gen. Pelletiera z bardzo nielicznymi siłami, gdyż zaledwie

2 pułkiem piechoty, garścią wołyżerów 3 pułku, oraz 2 armatami i 4 sześciocalowymi granatnikami...

Dowództwo twierdzy, ażeby uniemożliwić dostęp do niej, usiłowało przerwać śluzy i zalać całą okolicę. Zapobiegli temu ulani Kamińskiego, opanowując wczas śluzy, a następnie odebrali je wrogowi wołyżerzy Pelletiera...

Korzystając z wskazówek intendenta ordynacji Zamoyskich, Domańskiego, opracowano plan szturm. Rozpoczął się on w dn. 18 maja atakiem 2 granatników kapitana Romana Soltyka, które wszczęły pożary w mieście...

W nocy, gdy przybyły 2 nowe granatniki, przystąpiono do szturm. Z różnych stron prowadzono atak, specjalnie zaś do bram Lubelskiej i Lwowskiej, a gdy ogień wszystkich dział austriackich skoncentrował się w tę stronę, z innej wdarły się po drabinie oddziały grenadierów polskich; wkrótce potem brama Lwowska została zdobytą i wojska polskie wkroczyły do miasta...

Na rynku bronili się jeszcze ustawieni w czworobok strzelcy wołoscy. Znajdował się tam również i komendant twierdzy, Pulski, na którego uderzył mężny kapitan Daine i po krótkim pojedynku ranil go i wziął do niewoli.

Zamość została zdobyta; 2500 jeńców, 46 dział wałowych i ogromne zapasy dostały się zwycięzcom...

Zwycięstwo to okupione zostało stratą zaledwie kilkudziesięciu żołnierzy polskich. Przyczynili się też

w znacznym stopniu do niego żołnierze-Galicjanie, pozostający w służbie austriackiej, którzy czynnie dopomagali wojskom polskim.

Dowództwo polskie, po świetnym zdobyciu Lublina, Sandomierza i Zamościa, stanęło wobec ciężkiego zadania, co czynić dalej? — zwłaszcza, iż zastępy polskie były znacznie uszczuplone przez pozostawienie załóg w zdobytych twierdzach...

Wyłonili się dwa projekty: pierwszy gen Sokolnickiego, ażeby przez pochód na komunikacje wroga doprowadzić do pobicia go, drugi — ks. Józefa, dążący do podboju Galicji Wschodniej.

Ten drugi projekt został też wybrany przez wodza naczelnego, a kierował się on przy tem względami zarówno moralnymi, jak i politycznymi...

Gdyż głęboką troską przejmowało go dwuznaczne postępowanie sprzymierzeńca rosyjskiego, który na granicy zbierał wojska i zdradzał nader podejrzane zamiary opanowania dla siebie ziem Galicji Wschodniej...

Przejrząwszy te zamiary i przytem znając dobrze dwulicowość cara Aleksandra, zdecydował się ks. Józef, mimo wszystko, ubiec go i zatknąć w Galicji orły napoleońskie, wiedząc, że przeciwko nim nie odważy się on wystąpić...

Wyprawiony tam korpus gen. Roźnieckiego w błyskawicznym tempie posuwał się naprzód, zdobywając miasto za miastem, przyjmowany wszędzie

z entuzjazmem i radością przez wyzwoloną z niewoli austriackiej ludność.

W dn. 25 maja został zdobyty Jarosław, przy-
czem wzięto 900 jeńców i olbrzymie magazyny woj-
skowe... Na wieść o tem dowódca Lwowa, gen. Ho-
henlohe, opuścił to miasto z 2000 załogą, a w dniu
27 maja wpadł do miasta patrol polski z 5 pułku sza-
serów, a nazajutrz wkroczył sam gen. Roźniecki...
Radość ludności doszła wprost do szału, a po całym
kraju rozlegały się okrzyki: „Vivat Napoleon, vivat
Naród Polski...”

Lecz, niestety, nie mogły się narazie przynaj-
mniej, spełnić marzenia ludności o połączeniu się
z Polską...

Na wyraźny rozkaz Napoleona, wywołany obawą
podrażnienia rosyjskiego sprzymierzeńca, musiał ks.
Józef wydać polecenie zawieszania wszędzie zamiast
orłów białych, złotych orłów cesarskich. Galicja obej-
mowana była nie w imieniu Polski, nie w imieniu
Księstwa, lecz w imieniu cesarza Napoleona...

Formowane tam oddziały wojskowe otrzymały
orły francuskie, oraz nazwę francusko-galiczyjskich,
a utworzony we Lwowie rząd tymczasowy z ludzi
przeciętnych, pod prezydencją Stanisława Zamoyskie-
go, nosił nazwę: „Rząd wojskowy tymczasowy cen-
tralny pod protekcją najjaśniejszego Cesarza Jmci i
Króla Napoleona Wielkiego“.



XVI

W przeciągu niespełna sześciu tygodni odwróciła się karta losu i arcyksiążę Ernest, tryumfujący z powodu zajęcia Warszawy, pewien swej władzy nad Księstwem, przekonał się rychło, że dzięki inicjatywie polskiej grozi mu utrata Galicji, a i utrzymanie w Księstwie staje się coraz bardziej problematycznym, że grozi mu zupełna klęska...

Gdyż, jakby na zaklęcie, wyrastały jak z pod ziemi, wyczarowane potężnem hasłem: do obrony Ojczyzny! — liczne zastępy polskie, i choć nieraz słabsze liczebnie, niewyćwiczone, i niezaopatrzone w broń, — rzuciły się na silniejszego nieraz wroga i odnosiły zwycięstwa...

Generał Zajączek, wobec ważności zadania, zapomniawszy o swej nienawiści do ks. Józefa, zasiadłszy w Modlinie, energicznie zajął się formowaniem i ćwiczeniem nowych pułków i dzielnie bronił przepraw przez Wisłę...

Staczano wprost homeryczne boje z przeważającym nieraz znacznie liczebnie przeciwnikiem. Zaliczyć do nich należy obronę Płocka. Na wyspie Tokarówce, na Wiśle tuż za Płockiem, po zniesieniu drobnej załogi polskiej, zasiadło 500 Austrjaków z dwoma

działami, szykując się do przebycia dzielącej ich od miasta odnogi i zajęcia go.

Nie uląkł się tego dzielny prefekt departamentu, Rembieliński, i za jego inicjatywą i namową, przebywający w Płocku na leczeniu ran kapitan ułanów Łagowski, zebrał 75 żołnierzy rekonwalescentów, oraz garść ochotników, zniemacka uderzył na wyspę i załogę wybił, potopił lub wziął do niewoli.

Również niepowodzeniem skończyło się usiłowanie zdobycia Torunia przez gen. Mohra... Mimo zajętej obrony nielicznej załogi zdołał wdrzeć się do okopów, lecz tam zatrzymany został ogniem dział fortecznych...

Na wezwanie do kapitulacji, mążny komendant Torunia, generał Woyczyński odpowiedział, że o układach będzie mówić dopiero wtedy, gdy nieprzyjaciel miasto w perzynę obróci, zrobi wyłom, ostatni mur zniszczy i zagrozi ostatniemu schronieniu załogi...

Na taką odpowiedź, rozpoczęli Austriacy bombardowanie, a gdy nie odniosło ono prawie żadnego skutku, a działa forteczne w szeregach austriackich znaczne spustoszenie czyniły, po paru dniach gen. Mohr rozpoczął odwrót...

Równocześnie prawie z Wielkopolski ruszyły silne zastępy, zorganizowane przez Dąbrowskiego, znosząc po drodze grasujące po kraju oddziały austriackie. Twierdza częstochowska, pod wodzą pułkownika Kajetana Stuarta, broniła się dzielnie przeciwko oblegającym ją znacznie liczniejszym oddziałom aust-

riackim i nie tylko że odparła zwycięsko wszystkie szturmowanie, ale i zmusiła wroga do ustąpienia i przeszła do ofensywy...

Widząc wszystkie swe wysiłki bezowocnymi, zwłaszcza wobec udaremnienia przez gen. Zajączkę przeprawy pod Modlinem i zajęcia kępy Oborskiej pod Warszawą przez wojska polskie, a przytem zagrożony zupełną utratą Galicji i przecięciem linii komunikacyjnych, zdecydował się wreszcie arcyksiążę Ferdynand na opuszczenie Warszawy...

W dniu 13 maja, na czele zaledwie 6000 korpusu opuścił arcyksiążę Warszawę, bez żalu żegnany przez mieszkańców, i wyruszył w stronę Sandomierza...

Pozostawiał w Księstwie 13.000 korpus gen. Mondeta, ażeby odpierał ofensywę dywizji Dąbrowskiego i Zajączka.

Ażeby jednak nie stanął na przeszkodzie spokojnej ewakuacji stolicy dzielny major Hornowski, siedzący w forcie swoim na Pradze i grożący wciąż nieprzyjacielowi paszczami dział swoich, musiał z nim gen. Mondet prowadzić układy...

Zawarto konwencję, a szeregi austriackie opuściło wielu żołnierzy—Polaków i wstąpiło do szeregów polskich. Nawet biedny dobosz, chłop galicyjski, towarzyszący parlamentarzowi do majora Hornowskiego, po powrocie z tej wyprawy złożył mu bęben swój u nóg i podziękował za służbę panu majorowi i „cysarzowi“.

Arcyksiążę Ferdynand wyruszył do Galicji, od-

bierać ks. Józefowi zdobycze, z taką chwałą uzyskane i jednocześnie przyrzekał w specjalnej odezwie umęczonym przez „przemijające niebezpieczeństwo“ mieszkańcom Galicji, że przychodzi do nich, aby ich uwolnić...

Jednocześnie z nim wkroczyła do Galicji, niby sprzymierzeńcza armja rosyjska...

Ks. Józef znalazł się w obliczu dwóch groźnych niebezpieczeństw: armji austriackiej, dążącej na Sandomierz, i niby sprzymierzeńczej armji rosyjskiej, postępującej w myśl tajemnej, z ks. Schwarzenbergiem, wysłańcem cesarskim, zawartej umowy, a wrogiej zarówno Napoleonowi, jak i Polakom...

Umowa ta opierała się na przyrzeczeniu obłudnego cara Aleksandra, że wojska rosyjskie, zobowiązane wkroczyć do Galicji, wejdą do niej możliwie najpóźniej, że unikać będą wszelkich nieprzyjaznych działań przeciw wojskom austriackim, że odpowiednie instrukcje wydane będą generałom i komendantom rosyjskim, gdyby zaś w Galicji wybuchła insurekcja, to car nie tylko popierać jej nie będzie, ale owszem, w myśl dawnych traktatów rozbiorowych, przyłoży się do jej stłumienia.

Zwycięski pochód naprzód ks. Józefa, paraliżował w znacznym stopniu projekty sprzymierzeńców rosyjskich co do zajęcia dla siebie Galicji, a jednocześnie budził w nich pewien niepokój ze względu na rosnące wrzenie umysłów w zabranych dzielnicach

polskich... Postanowiono zatem przystąpić do działania...

Dowód dwulicowości cara i jego generałów, zdobył ks. Józef już w początkach maja, w przejętym przez podjazd polski liście ks. Górczakowa, dowódcy dywizji w przeznaczonym do zajęcia Galicji korpusie Golicyna, a skierowanym do arcyksięcia Ferdynanda, w słowach najserdeczniejszych winszującego mu pierwszych pierwszych sukcesów warszawskich, a jednocześnie wyrażającego nadzieję, że nastąpi rychłe połączenie broni austriackiej i rosyjskiej przeciwko francuskiej i polskiej...

List ten, stanowiący wyraźny dowód dążeń rosyjskich, posłał wnet ks. Józef Napoleonowi, i od czasu tego, rozumiejąc groźbę położenia w zdradzieckim postępowaniu Rosji, miał się na baczności...

Lecz skutki tej sprzymierzeńczej działalności odczuł ks. Józef dotkliwie dopiero po wkroczeniu wojsk rosyjskich do Galicji.

Ks. Golicyn, zatrzymawszy się na kwaterze głównej w Lublinie, manewrował wojskami swemi w ten sposób, że posuwały się one jaknajwolniej i zupełnie dowolnie, zatrzymując się na parodniowe odpoczynki, a przytem umyślnie wybierał takie drogi, ażeby tylko utrudnić i zatrzymywać przemarsz i posuwanie się naprzód wojska polskiego...

Próżno wysyłał ks. Józef do Lublina szefa sztabu swego, gen. Fiszera, celem dojścia do porozumienia w sprawie wspólnej akcji. Poza nader grzecznem

przyjęciem i zapewnieniem życzliwości, nic uzyskać nie zdołał.

W jakiś czas potem przybył znów do kwatery głównej ks. Józefa w Pniewie szef sztabu i gen. dywizji, Suworow, przysłany przez Golicyna celem rękomo dalszych pertraktacyj w sprawie wspólnego działania.

Ks. Józef, pragnąc dać Napoleonowi wiadomości z pewnego źródła, w słusznej obawie, że może go on posądzać o uprzedzenie względem Rosji, umieścił w pokoju, w którym prowadził rozmowę z Suworowym, za przegródką, posła francuskiego Serre, by ten, niewidziany, mógł jej wysłuchać całkowicie i złożyć o niej relację cesarzowi...

Na wszystkie gorzkie, prawdomówne zarzuty ks. Józefa, odpowiadał Suworow nieszczerze, sprzecznie, wykrętnie, z lodowatym chłodem.

Wreszcie, znicięripliwny tem wszystkim, ks. Józef w połowie czerwca sam podążył do Lublina celem osobistego rozmówienia się z Ks. Golicynym.

Po długich sporach i naradach spisana została konwencja formalna między obydwoma wodzami, wedle której „dla tem doskonalszej harmonji i obopólnej wiary“, Rosjanie mieli działać na prawym brzegu Wisły, Polacy na lewym; przyrzeczoną też została pomoc rosyjska, konieczna w tej chwili na lewym brzegu Sanu dla odsieczy zagrożonego przez Austriaków Sandomierza.

Jednak równocześnie z tym układem, w tej sa-

mej chwili nieomal, wydał Golicyn tajne rozkazy do swych podkomendnych, które czyniły go fikcyjnym od początku do końca...

Szczególnie zaznaczyło się to przy walkach o Sandomierz...

Na to stanowisko Rosjan wpływała w znacznym stopniu sytuacja Napoleona nad Dunajem...

Po szeregu zwycięstw od 17 do 24 kwietnia pod Eckmühl, Abenberg i Ratysboną, przysła w dniu 21 maja bitwa przegrana pod Aspern i Eslingen, która przejęła Austriaków nadzieją zwycięstwa, a Napoleona zmusiła do przerwania na pewien czas działań, celem zebrania sił do dalszej walki...

Wynik tej porażki był taki, że w Tyrolu rozpaliło się powstanie przeciw Francuzom, w Prusach zaczęły działać partyzanci, a car Aleksander zajął stanowisko wyczekujące, ażeby przyłączyć się do tego, kto todniesie zwycięstwo i jak największą zagarnąć zdobycz.

W tych warunkach ks. Józef nie mógł liczyć na pomoc francuzką, pozostawiony był sam sobie, z dwoma przeciwnika na karku...

A podczas gdy ks. Józef targował się z Rosjanami o współdziałanie militarne, ściągając wszystkie siły swoje w widły rzeczne Wisły i Sanu, arcyksiążę Ferdynand zdołał zebrać pod Opatowem 18000 wyborowego żołnierza i uderzył na Sandomierz w dn. 4 czerwca.

Mężnie walczył w obronie Sandomierza gen. So-

kolnicki, sam atakował szturmujące oddziały austriackie, brał jeńców i niedopuszczał do zbliżenia się do fortecy.

Zawiesiwszy na czas pewien, wobec spotkanych trudności, szturmowanie do fortecy, wyruszył arcyksiążę przeciwko ks. Józefowi, ażeby, odrzuciwszy go wstecz, wziąć Sandomierz od strony Wisły...

Przyszło do bitwy pod Warszawą, ale ks. Józef, zdradziecko pozbawiony pomocy rosyjskiej, pomimo mężnej walki, zmuszony był do odwrotu z honorem na prawy brzeg Sanu...

Tymczasem arcyksięciu nadciągnął z pomocą gen. Mondet, zwyciężywszy przedtem pod Jedlińskiem ścigając go dywizję gen. Zajączka.

Otoczony przez dwudziestotysięcznego wroga z 36 działami mężnie bronił się Sandomierz. Mógł mu jeszcze przyjść z pomocą ks. Józef, przechodząc Wisłę pod Zawichostem, ściągając do siebie Zajączka i Dąbrowskiego, i uderzając na tyły Mondeta, lecz wstrzymywała go obawa o stanowisko Rosjan...

Jeszcze raz próbował porozumieć się z ks. Golicyńcem, a tymczasem w nocy z 15 na 16 czerwca przypuścili Austriacy szturm generalny do Sandomierza...

Od gwałtownego bombardowania spłonęło pół miasta; zawiązała się mordercza walka pierś o pierś, w której oficerowie i żołnierze polscy okryli się nieśmiertelną chwałą... Trwała ona dziewięć godzin, a straty atakującego wroga były olbrzymie, gdyż oko-

ło sześć tysięcy ludzi zabitych i rannych ubyło mu z szeregów...

Dopiero zupełny brak ładunków zmusił w dn. 18 czerwca Sokolnickiego do kapitulacji, ale kapitulacji zaszczytnej, z zastrzeżonym wolnym wymarszem do granic Księstwa, z nietkniętymi sztandarami, z bronią w rękę, z zachowaniem całej artylerji i amunicji, z pełną wymianą jeńców, ale bez prawa reklamowania przez Austrię tych, którzy dobrowolnie wstąpili do szeregów polskich...

Tym morderczym walkom przyglądały się bezczynnie, z bronią u nogi, dwie dywizje rosyjskie, nie starające się nawet wytłomaczyć postępowania swego przed ks. Józefem.

W tych warunkach, widząc, że w inny sposób nie da sobie rady ze sprzymierzeńcem, wysłał ks. Józef w pierwszych dniach lipca z Puław nową zasadniczą odezwę organizacyjną, oświadczając w niej, iż bierze Galicję w posiadanie w imieniu Napoleona, nakazując władzom krajowym składać w swoje ręce przysięgę na wierność cesarzowi Francuzów, polecając zawieszać orły francuskie na miejsce austriackich, nadając wojskom galicyjskim formację odrębną od warszawskich, na żołdzie cesarsko-francuskim, z organizacją i orłami francuskimi. Przysięgę dla tych wojsk galicyjsko-francuskich tak zredagował: „przysięgam... iż powołany będąc do obrony kraju mego... Napoleonowi I wiernym być chcę...”

To postąpienie, sprzeczne zasadniczo z uczuciami

narodowemi, było koniecznem ze względów politycznych...

Przed groźnem imieniem Napoleona musiała się zatrzymać zachłanność cara Rosji i jego generałów... Woleli też czekać z wystąpieniem na ostateczne rozstrzygnięcie walk nad Dunajem...

To też gdy arcyksiążę Ferdynand, czując, że nie utrzyma się długo w Sandomierzu, nakazał ogólny odwrót, rozpoczął się za nim formalny pościg dwóch armji, polskiej i rosyjskiej, celem ostatecznym którego był Kraków...

Po opuszczeniu Puław w pierwszej połowie lipca, przez Radom i Kielce podążał ks. Józef do Krakowa, skąd już przez Ołomuniec blisko było do armji Napoleońskiej nad Dunajem...

W ślad zanim podążyły oddziały rosyjskie, z którymi dowodzący po arcyksięciu Ferdynandzie, którego odwołano do Czech, gen Mondet, zawarł tajemną umowę, że odda im Kraków...

Lecz w wynikłym wyścigu ks. Józef ubiegł „sprzymierzeńców“ i w dn. 14 lipca, dowódzca przedniej straży polskiej, gen Różniecki, podpisał z komendantem austriackim kapitulację Krakowa, na jutrz zaś, na czele wojska polskiego, miał wjechać do prastarej stolicy piastowskiej ks. Józef...

Lecz Austriacy zdolali się porozumieć przez ten czas z Rosjanami i w nocy furmankami zwozili do Krakowa kozaków i inne oddziały rosyjskie, pod komendą gen. Sieversa pozostające, byle tylko posta-

wieć Polaków wobec faktu dokonanego zajęcia Krakowa przez Rosjan...

Gdy wieść o tem doszła do księcia Józefa, wzburyła się w nim krew, wyczerpała cierpliwość. To też gdy w dn. 15 lipca, rankiem, na czele awangardy polskiej zjechał do Krakowa, gdy u wylotu ulicy, prowadzącej na most, zamknął mu szczelnie drogę szwadron rosłych huzarów Sieversa, stojących w szyku bojowym, bez namysłu, wspiąwszy gwałtownie konia, rzucił się z takim impetem na ten żywy mur, że po przewróceniu kilku jeźdźców, reszta rozstała się z szacunkiem, i wódz polski a za nim wojsko polskie wkroczyli do miasta.

Nadbiegli dowódcy rosyjscy, Sievers, a za nim Suworow, lecz wobec okazanego aktu kapitulacyjnego, znacznie wcześniejszego datą od nocnej okupacji rosyjskiej, a stanowiącego wymowny dowód ich wiarołomstwa, musieli przyznać słuszność ostrym wymówkom, rzuconym im wprost w oczy przez wzburzonego księcia.

Stała wkońcu ugoda, że obydwa wojska, polskie i rosyjskie, pozostają obok siebie w zajętem mieście, lecz że było ono prawą zdobyczą polską, otrzymało komendanta polskiego i złożyło przysięgę w ręce władz polskich.

Do tak ustępliwego i zgodnego stanowiska wódzów rosyjskich przyczyniła się napewno nadeszła w owym czasie z nad Dunaju wieść o olbrzymiem

zwycięstwie Napoleona nad Austryjaczami pod Wagram...

Przez sześć tygodni zbierał siły wódz niezwyciężony, po porażce pod Aspern, by w dn. 5 i 6 lipca w krwawym boju wziąć odwet w świetnym zwycięstwie, rozbić armję austryjacką i zmusić do proszenia o pokój...

A w boju tym sztandary walczących przy boku Napoleona oddziałów polskich okryły się znów chwałą nieśmiertelną, zdobywając nowy tytuł do jego wdzięczności...

XVII

Przy układaniu współzycia dwóch niechętnych sobie armji w czasie pobytu w Krakowie, musiał ks. Józef rozwinąć wszystkie swe wrodzone zdolności dyplomatyczne.

Po stanowczem stwierdzeniu i obronie praw swoich do Krakowa, zajął się zaraz łagodzeniem wszelkich mogących wyniknąć z tego powodu zatargów, dążąc do utrzymania choćby pozornej zgody nietylko między dowództwami obydwóch armji, ale i między oficerami i żołnierzami...

Występował też codziennie nieomal w roli medjatora, godził ostre spory, zapobiegał częstym pojedynkom między oficerami obydwóch armji, gościł sztabowców rosyjskich z racji imienin Napoleona w Sukiennicach, i nawzajem brał udział w przeglądzie wojsk rosyjskich za bramą Florjanską z powodu imienin cara Aleksandra.

A rycerskość jego i takt jednały mu serca wszystkich, nawet nieprzyjaciół...

Mieszkańcy Krakowa, widzący w nim swego wybawcę z niewoli austryackiej, podejmowali go z entuzjazmem, z radością, nie szczędząc przy żadnej okazji oznak wdzięczności...

Sławiono go na różne sposoby, jakby chcąc wynagrodzić wszystkie przykrości przez niego w Warszawie doznane, opiewano czyny jego rymami i prozą, wszędzie widniały jego portrety, a każde ukazanie się jego na mieście witane było radosnemi okrzykami, nieomal jak króla...

Ks. Józef czuł się dobrze w starym grodzie, bratał się z jego ludnością, interesował jej potrzebami, a choć czas mu upływał niby na wypoczynku i spokoju, troska tajemna nie opuszczała go nigdy.

Troszczył się o los kraju, o los ziem zdobytych, które zależały od toczących się w zamku Schoenbrunskim układów pokojowych, od chytrych posunięć biorących w nich udział dyplomatów, wreszcie od kaprysu Napoleona.

Pracował też gorączkowo nad organizacją wojska. Właściwie musiał on organizować dwie armje: jedną Księstwa Warszawskiego z pierwotnej kilkunastotysięcznej garstki, drugą — francuzko-galicyską, tworzoną z niczego...

Niezmiernym wysiłkiem zdołał podnieść pierwszą do liczby 37000, drugą do 25000 ludzi, z czego 50.000 znajdowało się na ziemi polskiej...

A praca ta jego odbywała się w warunkach bardzo ciężkich i trudnych, gdyż znów wypelzły z ukrycia zawiść i podejrzenie, znów zaczęły krążyć nikczemne plotki, usiłujące ściągnąć go z wyżyn, na jakie się wznosił, i unurzać w błocie.

A więc zaczęto go posądzać o chęć wyzyskania

tej wyjątkowej, żywiołowej popularności, jaka otoczyła go i wyniosła na szczyty szacunku i miłości narodowej, posądzać poprostu o zachcianki królewskie...

Zarzucono mu tam brak przewidywania i sprężystości, arystokratyczno-żołnierską ciasnotę pojęć, nieumiejętność i wstręt do rewolucyjnych środków ocalenia publicznego, do postawienia na nogi mas ludowych...

Na zarzuty te odpowiadał własnym realnym czynem i ostro skarżył się na „łatwą, lecz bardzo mało użyteczną energję“ rządową, przeważnie wyładowywaną w samych słowach...

Nawet Rada Stanu, niedołączna w swych czynach, która w chwili niebezpieczeństwa w ręce jego złożyła swą władzę, niezadowolona z tego, że świetne powodzenie Naczelnego Wodza w cień ją usunęło, wyrażała swe nieukontentowanie z tego, że ją lekceważy. że się ponad nią wynosi, że w tonie niewłaściwym redaguje swe proklamacje i rozkazy...

Usiłowania nieprzyjaciół ks. Józefa sięgnęły aż do osoby księcia Warszawskiego, Fryderyka Augusta, wykazując mu rzekomo podstępne dążenia ks. Józefa...

Wykazywano mu rzekome uchybienia ks. Józefa w zwrotach odezw, mające uzasadniać jego dążenia do władzy, aż w końcu zacny Fryderyk August, systematycznie w ten sposób niepokojony, a przytem nie odbierając od zajętych wyteżoną pracą wojenną Napoleona i ks. Józefa zbyt częstych wiadomości bez-

pośrednich, zaniepokoił się zupełnie serjo, czy podsuwane mu podejrzenia nie są czasem uzasadnione, czy ignorowanie jego osoby nie jest umyślne, i czy w końcu nie idzie gra naprawdę o odebranie mu korony warszawskiej...

Prawda, że po zdobyciu Galicji stawała się aktualną ze względów politycznych zmiana dynastji, lecz w żadnym bądź razie ambicja osobista ks. Józefa nie wchodziła w grę zupełnie.

Projekty te były wysuwane ze strony państw zaborczych, zwłaszcza Prus, które po porażce Napoleona pod Aspern szykowały się do odwetu na swym pogromcy, oraz Rosji, której koncepcja znajdowała nawet dość żywe poparcie wśród społeczeństwa polskiego...

Brano to pod uwagę, zwłaszcza w czasie po porażce pod Aspern a przed zwycięstwem pod Wagnam, w słusznej zresztą obawie, by zguba Napoleona nie pociągnęła za sobą zguby Polski...

To też dyplomaci polscy, wbrew nawet nakazom ks. Józefa, postępowali bardzo ostrożnie...

Wysłana przez niego jeszcze w początkach czerwca deputacja do Napoleona, złożona z Ignacego Potockiego, Matuszewicza i Miączyńskiego, nie kwapiła się zbyt do spełnienia swej misji, obawiając się rzucenia losów narodu na szalę niepewnych jeszcze zmagania armji francuzkiej...

Jechali też do Napoleona bez zbytecznego pośpiechu, drogą okólną na Warszawę i na Berlin i stanęli



w Wiedniu, w głównej kwaterze Napoleona w końcu lipca, po ostatecznym wyjaśnieniu się sytuacji po zwycięstwie pod Wagram.

A tymczasem ks. Golicyn, z rozkazu cara Aleksandra, snuł misterne sieci intryg dyplomatycznych, w jakie oplątać chciał Polskę i ks. Józefa, celem realnego wykonania planu cara co do pozyskania Galicji dla Rosji i zniszczenia Księstwa Warszawskiego.

Zdołał też pozyskać dla planów swoich w Galicji Wschodniej nie tylko ludność rusińską, ale i niektóre domy magnackie, wpływy jego sięgnęły nawet aż do Księstwa, tak że w połowie czerwca mógł przesłać do Petersburga w imieniu „grupy magnatów galicyjskich i warszawskich“ najszczególowszą „propozycję“ utworzenia Królestwa Polskiego w dawnych granicach przedrozbiorowych, z wyjątkiem Białorusi i gubernji kijowskiej i podolskiej, pod berłem cara Aleksandra.

Że zaś zjednoczenie Księstwa Warszawskiego z Galicją byłoby dla Rosji „osobliwą szkodą“, w myśl instrukcji cara wszędzie wzniecał niepokój, burzył i mącił, niecił trwogę, znajdując nawet dość licznych zwolenników swojej koncepcji.

Zwycięstwo Napoleona pod Wagram wpłynęło jeszcze na zwiększenie tej akcji, a przytem dało powód do szantażowania go wprost groźbą zerwania przymierza i wystąpienia Rosji, właśnie ze względu na ciągle zaognioną sprawę polsko-galicyjską...

Pogląd na tą sprawę wyraził Napoleon do przy-

byłej wreszcie w początku sierpnia do Wiednia deputacji galicyjskiej...

Oświadczył im wręcz:

— Polska, to jest zawsze przedmiot, przez który zrywają się wszelkie układy z Rosją. Rosja czuje doskonale, że jest ona dostępną do ataku jedynie przez Polskę... Gdybym był cesarzem rosyjskim, nie pozwoliłbym nigdy na najmniejsze rozszerzenie Księstwa Warszawskiego; przeciwnie, dziesięć lat bym walczył, aby je zburzyć, podobnież jak będąc cesarzem francuzkim dla obrony Belgji dałbym się zabić wraz z dziesięciu swemi armjami i wystawiłbym jedynastą z kobiet i dzieci... Wiem, że odbudowanie Polski ustaliłoby równowagę w Europie, ale tej równowagi niepodobna przywrócić bez wojny z Rosją... Francja musiałaby trzymać w zupełnej gotowości 150.000 ludzi dla osłonięcia was od napaści rosyjskiej... Dać wam monarchę francuzkiego?... Ba... wypadłoby w takim razie nasamprzód zmobilizować z góry cztery konskrypcje francuskie... a wiadomo wam, jak dla nas, Francuzów, trudną jest wojna w waszym kraju... Pojmujecie więc, że odbudowanie Polski w chwili obecnej jest rzeczą niemożliwą dla Francji...

Rzeczywiście, w tak trudnej, jak w danej chwili, sytuacji nie był nigdy potężny cesarz Napoleon... Tu naraz przed nieznaną do czasu tego nigdy przeskód wolą jego, wyrastała nagle zaporą, grożącą mu nową, krwawą wojną, której pragnął uniknąć

za wszelką cenę... A powodem jej mogła się stać Galicja, zdobyta przez ks. Józefa...

Na rozmyślaniach nad tem, co z nią zrobić, spędził niejedną bezsenłą noc w Altenburgu, gdzie prowadzono rokowania.

Oddanie jej Księstwu wywołałoby oburzenie Rosji i mogłoby stać się powodem wojny; oddanie jej Rosji byłoby znów krzywdą Polaków i, co ważniejsze, odwróciłoby na zawsze serca ich od niego...

Przemyślał już nawet nad utworzeniem z niej osobnego państewka pod oddzielnym monarchą, lecz to byłoby może najgorszem...

A tymczasem Austrja przewlekała, jak mogła, rokowania pokojowe, licząc na to, że uda się jej ostatecznie przeciągnąć na swoją stronę cara Aleksandra i skłonić go do wypowiedzenia wojny odwetowej Napoleonowi...

Lecz car zwlekał, namyślał się, a przedewszystkiem starał się zbadać, jakie stanowisko wobec niego, w razie wystąpienia jego przeciw Napoleonowi, zajmie wódz i wojsko polskie...

Szły więc rozkazy z Petersburga do ks. Golicyna, ażeby wszelkimi sposobami dążył do zjednania sobie przyjaźni nietylko wojska, ale i obywatelstwa polskiego.

Wreszcie w końcu lipca postanowił ks. Golicyn porozumieć się wprost z ks. Józefem, od którego zależało wszystko...

Jako pośrednika w tej bardzo drażliwej misji użył ks. Eustachego Sanguszko, starego przyjaciela ks. Józefa, a właściciela pałacu w Tarnowie, w którym wódz rosyjski miał swoją kwaterę...

Przybył więc ks. Sanguszko do Krakowa i przyjęty serdecznie przez ks. Józefa oznajmił mu, że ma poufne, pod pieczęcią tajemnicy, zlecenie od ks. Golicyna, a mianowicie, że car Aleksander pragnie Księstwo Warszawskie i Obojga Galicji połączyć z Rosją pod swoim berłem i ogłosić się królem polskim, poręczając nietykalność wszystkich dawnych praw i przywilejów polskich; a jednocześnie z tem składa przyrzeczenie wielkich nagród w dobrach ziemskich dla ks. Józefa osobiście, zaś dla wojska polskiego zapomogę kilku milionów w brzęczącej monecie, oraz zachowanie obecnych rang i odznaczeń...

Wysłuchał cierpliwie ks. Józef tych propozycji, lecz potem dał nieszczęsnemu pośrednikowi tak ostrą odprawę, grożąc mu nawet internowaniem, że ten natychmiast opuścił kwaterę książęcą...

Związany poufnością czynionych propozycji, jak również i dawną przyjaźnią dla Sanguszki, nie wspominał o tem ani słowa Napoleonowi, lecz uważał za swój obowiązek ogólnikowo chociaż ostrzec cesarza, że „generałowie rosyjscy w ponawianych wynurzeniach starają się wzbudzić przekonanie, iż deputacja obywateli galicyjskich byłaby dobrze przyjętą w Petersburgu i że środkiem najskuteczniejszym odbu-

dowania Polski byłoby oddanie się pod opiekę ich monarchy...”

Wynikiem też tej ostrej odprawy, udzielonej ks. Golicynowi, było zepsucie się dotychczasowych dobrych stosunków pomiędzy wodzami i jawna nieprzyjaźń ze strony rosyjskiego...

A przybrała ona tony tak wrogie, tak pogardliwe i chamskie wprost, jak np. wystąpienie w sposób ostry i kategoryczny przeciwko używaniu przez ks. Józefa tytułu wodza wojsk polskich.

„Nie mogę uznać, — pisał do niego: ani Polski dawno już pogrzebanej, ani armji i wojsk polskich i uznaję jedynie wojsko Księstwa Warszawskiego, ustanowionego przez traktat tylżycki, gdzie o żadnej Polsce niema mowy“...

Na te aroganckie, godne ludzi wschodu, słowa, odpisał ks. Józef stanowczo, lecz bardzo dyplomatycznie: „nie mogę wierzyć, abyś Pan miał rozkaz zaprzeczać cesarzowi Francuzów prawa nadawania nazw korpusom, wchodzącym w skład Wielkiej Armji.“

I nie zważając wogóle na żadne protesty ks. Golicyna, w dalszym ciągu korespondował z nim w imieniu wojska polskiego, a jednocześnie wzmocnił znacznie swą czujność i ostrożność...

I choć wokoło niego aż wrzało od intryg, snutych przez „sprzymierzeńców“ rosyjskich przeciwko Napoleonowi, gdy na lep ich obietnic szły niektóre

odłamy społeczeństwa polskiego, on trwał na swoim stanowisku, gotów każdej chwili do odparcia ataku wojsk rosyjskich, w razie gdyby rokowania w Altenbergu uległy zerwaniu, i car, w myśl tajemnych układów z Austrią, wystąpił przeciwko Napoleonowi.

Kres tym wszystkim niepewnościom położyło wreszcie zawarcie pokoju w Schoenbrunn, w dn. 14 października 1809 r.

Napoleon, pragnąc mieć nad Wisłą oparcie strategiczne i przeciwagę wobec możebnych w przyszłości wystąpień Rosji, po długich targach z carem Aleksandrem, odstąpił mu szmat galicyjskiego Podola. oraz obwód Tarnopolski, natomiast całą Galicję Zachodnią, to jest obwody: zamojski, krakowski, kielecki, radomski, lubelski, bielski i siedlecki, razem 919 mil kwadratowych z 1. 466. 600 mieszkańcami, i połową kopalń solnych w Wieliczce, podczas gdy druga połowa została przy Austrji, przyłączył do Księstwa.

Pod względem przemysłowym odzyskane prowincje przedstawiały wartość niemałą. Znajdowały się tam bowiem, pomiędzy Sandomierzem a Radomiem, znaczne fabryki wyrobów żelaznych, już to rządowe, już prywatne, huty szklane, fabryki sukiennicze, najważniejsza w Staszowie, i wiele innych zakładów podobnych, niedawno powstałych, lecz pomyślnie się rozwijających.

Pod względem materialnym więc przyniosła

wojna z r. 1809 Księstwu Warszawskiemu niezaprzeczone korzyści, moralnie podniosła nadzieje odbudowania Polski, ale zawiodła oczekiwania tych, co marzyli o przyłączeniu całego zaboru austriackiego.

Mocno dotknięci czuli się szczególnie mieszkańcy Starej Galicji. Chwycili oni z zapalem za broń, tworzyli oddziały partyzanckie, gromili skutecznie na rozmaitych miejscach ustępujące wojsko austriackie, major Strzyżowski zajął Tarnopol i wziął pod Wieniawką do niewoli generała Rükkinga, Trzeciński rozbił pod Stanisławowem jazdę nieprzyjacielską, i teraz nagle po tych wszystkich dowodach patriotyzmu i poświęcenia mieli wracać znowu pod władzę tego rządu, który w ostatnich czasach każdy objaw uczuć narodowych z niesłychaną tłumiał surowością...

Co więcej, obwód tarnopolski oddawano Rosji w nagrodę za pozorną raczej, niż istotną pomoc.

Nic dziwnego zatem, że oburzenie nie tylko w Galicji, ale i w Polsce całej było wielkie, że pokopało ono znacznie wiarę w Napoleona i szczerłość jego zamiarów i ułatwiło carowi Aleksandrowi działanie w prowincjach zabranych.

Sława zwycięstw, jakimi okrył się oręż polski dzięki ks. Józefowi, i zwiększenie dzięki temu prawie w dwójnasób Księstwa Warszawskiego, przyczyniła się w znacznym stopniu do zmiany opinji w stosunku do niego.

Imię jego rozbrzmiewało nie tylko po całej Polsce,

ale i Europie. Zarówno swoi, jak i obcy zaczęli mu składać dowody uznania, a Napoleon niejednokrotnie w pismach i biuletynach wyrażał mu zadowolenie swoje.

Natychmiast po zawarciu pokoju posłał mu złotą szablę honorową, jako dowód wyjątkowego odznaczenia, oraz mianował go wielkim oficerem Legji Honorowej, z najwyższą tego orderu odznaką wielkiego crła.

Nie pozostał za nim w tyle i książę Warszawski, Fryderyk August, którego obawy rozproszone zostały przez postępowanie ks. Józefa i ogłosił w grudniu 1809 r. specjalny dekret, w którym pisał:

„Uważając tytuły, jakie ks. Józef Poniątkowski pozyskał do Naszej wdzięczności przez chwalebłą wyprawę, którą Nasze wojsko odbyło w tym roku pod Jego dowództwem, pragnąc zawdzięczyć sposobem znamienitym usługi przez niego ojczyźnie oddane“, — wyznaczył mu donację wartości półtora miliona złp. w dobrach narodowych, położonych w zdobytej na Austrii części Galicji...

Nic jednak nie znaczyły dla ks. Józefa te wszystkie nagrody i odznaczenia, wobec rozproszenia się niechęci narodu w stosunku do niego...

Pod wpływem świetnych czynów terażniejszych, opadła z niego smutna zasłona przeszłości... Wiedział

dobrze, że zdobył teraz miłość narodu, że na nią zasłużył sobie, i to było dla niego najcenniejszą nagrodą.

Odczuł to bardzo głęboko, lecz wrodzona mu drażliwość nie pozwalała na przyjmowanie zewnętrznych oznak tej zmiany... Unikał też ich starannie.

Ze zmianą fortuny, zmieniło się również i dotychczasowe wrogie stanowisko jego nieprzyjaciół... Spieszyli teraz do niego z oznakami przyjaźni, lecz on uchylił się od tego, i tak np., gdy najzaciętszy przeciwnik jego, Hugo Kollataj, pospieszył do niego do Krakowa z wizytą, — nie przyjął go wcale.

Gdy dowiedział się, że Warszawa, która tak wrogo żegnała go przed niedawnym czasem, obecnie, pod wpływem wypadków, zmieniła swe stanowisko i szykowała mu gorące, entuzjastyczne przywitanie, jakby chcąc wynagrodzić w ten sposób grzechy przeszłości, uchylił się umyślnie od uroczystego wjazdu...

Wyprawił tam wojsko, by na nie spadły przygotowane owacje, a sam przeciągnął swój pobyt w uwielbiającym go powszechnie Krakowie aż do końca roku, i choć serce ciągnęło go do umiłowanej gorąco istoty, do narodzonego w początkach grudnia 1809 r. synka, wrócił do Warszawy potajemnie, w ścisłym incognito, w styczniu 1810 r.

Wrócił, by pełnić dalszą służbę dla Ojczyzny, by szykować się do dalszych bojów dla Jej chwały i potęgi, a w tej służbie odrzucał precz wszystko, co osobiste...

XVIII.

Car Aleksander, pomimo nowych zdobyczy terytorjalnych, uzyskanych bez żadnych wysiłków i strat, nie zaprzestał swych dążeń do wykreślenia nazawsze imienia Polski z mapy świata.

Natychmiast prawie po zawarciu pokoju w Schoebrunn, z inicjatywy cara i pod jego osobistym kierunkiem rozpoczęto w Petersburgu rokowania poufne z Napoleonem celem zawarcia konwencji, ostrzem swem skierowanej przeciwko Polsce i Księstwu Warszawskiemu.

Konwencja ta miała rzekomo położyć tamę groźnemu wezbraniu zapędów odnowicielskich polskich, ujawnionych w czasie ostatniej kampanji, dostarczyć poręki w pierwotnym ograniczającym duchu tyłyckim wzamian za nadmierny jakoby przyrost, przyznany Księstwu przez świeży traktat schoenbruński, jednym słowem zabezpieczyć Rosję raz na zawsze przeciw odbudowaniu Polski wogóle, a dalszemu rozwinięciu Księstwa w szczególności i w ten sposób przywrócić i utrwalić szczęśliwą harmonję sprzymierzeńczą między Napoleonem a carem.

Obludną, dwulicową polityką cara Aleksandra szła w dwóch kierunkach... Z jednej strony dążył

rzekomo do zawarcia ścisłego sojuszu z Napoleonem, nie cofając się nawet przed propozycjami oddania mu za żonę siostry swojej, z drugiej znów strony dążył wszelkimi sposobami do skompromitowania go w opinji polskiej, do odsunięcia od niego zarówno Polaków, jak i ks. Józefa, któremu nie mógł zapomnieć odpowiedzi, udzielonej na jego propozycje ks. Golicynowowi...

W tym celu polecił kanclerzowi Rumiancewowi, prowadzącemu układy z posłem francuskim Caulaincourtem, umieścić na jednym z naczelných miejsc projektowanej konwencji punkt, iż ks. Józef Poniątkowski nigdy nie będzie mógł zostać namiestnikiem Księstwa Warszawskiego...

Lecz w tej grze dyplomatycznej natrafił car na wytrawniejszego od siebie gracza...

Napoleon spokojnie wysłuchiwał wszystkie żądania cara, dopuścił nawet do zredagowania konwencji w styczniu 1810 r., lecz przejrawszy w ten sposób wszystkie zamiary cara, odmówił raptownie ratyfikacji tejże, pojął za małżonkę córkę cesarza austriackiego, w ten sposób jednając sobie Austrię, zajął niezależnie w zupełności stanowisko wobec Rosji, a jednocześnie zachował w swem ręku nienaruszoną a niezbędną obronno-zaczepną broń sprawy polskiej.

Tej porażki dyplomatycznej nie zapomniał mu car nigdy, rozumiejąc dobrze, że jedyną jej konsekwencją może być tylko wojna z Francją o panowanie nad Europą.

Ks. Józef tymczasem w zrozumieniu, że w przyszłej nieuniknionej wojnie Napoleona z Rosją, armja polska będzie stanowić awangardę armji francuskiej, zabrał się energicznie do reformy wojska, wprowadzając nową zupełnie organizację jego, niezbędną już choćby z tego względu, że liczebność armji polskiej została podniesiona do 60.000.

Pracował nad tem gorączkowo i wkrótce po powrocie do Warszawy, w lutym 1810 r. udał się do Drezna, do króla Fryderyka Augusta z szczegółowo opracowanym projektem, który w marcu t. r. uzyskał aprobatę królewską.

W czasie pobytu swego w Dreźnie zdołał rozprosić ostatecznie podejrzenia, wywołane podszeptami niezyczliwych o jego rzekomych ambicjach królewskich, zdobył sobie w całej pełni ufność królewską...

Na dowód tego zaufania chciał go król Fryderyk August obdarzyć najwyższą rangą wojskową i mianować feldmarszałkiem saskim, lecz sprzeciwił się temu Napoleon ze względów politycznych, za co ks. Józef był mu szczerze wdzięczny...

Po powrocie do Warszawy w początkach kwietnia t. r. wydał ks. Józef w dzień pierwszej rocznicy bitwy pod Raszynem odezwę do wojska, w której w krótkich i silnych słowach wyrażał żołnierzom „wdzięczność króla i ojczyzny“, wzywał do wytrwania i otwierał „choćby nieprędko“ widoki „nowego wawrzynu“...

Krótkim był jego pobyt w Warszawie, gdyż w początkach maja pospieszył na spotkanie Fryderyka Augusta, który wraz z królową i królowną przybywał do kraju, celem objęcia osobiście w posiadanie nowonabytych dzielnic...

Na zdobytej przez siebie ziemi, w Bronowicach, pod Krakowem, przy bramie tryumfalnej, witał ks. Józef monarchę, okazując mu z lojalnym naciskiem wszystkie oznaki należnego hołdu, towarzyszył mu następnie konno do Krakowa, poczem dyskretnie usunął się w cień, unikając nawet pozoru zaćmiewania króla swoją osobą wobec nowych poddanych...

Podążył następnie król Fryderyk August do Warszawy, gdzie znów w Czerniakowie oczekiwał i witał go ks. Józef, wprowadzając konno do stolicy.

Niemniej wspaniale i uroczyście od Krakowa przyjmowała monarchę Warszawa... Odbił król przegląd wojsk na Woli, wyjeżdżał do Modlina celem obejrzenia robót przy fortyfikowaniu, przyjmował deputację Gdańszczan.

Pomimo panującej w całym kraju bezgranicznej nędzy, pomimo uciążliwych podatków i nieurodzaju, nastrój panował wdzięczny i podniosły, krzepiły się serca nadzieją lepszej przyszłości, której zadatkiem były granice rozszerzone i listek wawrzynu, uszczknięty w nierównej a chlubnej walce z obcym najeźdźcą...

Stan materialny i ekonomiczny państwa przedstawiał się bardzo ponuro. Podczas gdy zastój w handlu i przemyśle nie ustawał, wydatki wzrasta-

ły. Budżet wojskowy tylko z 13 milionów wzrósł w pierwszym roku do 40, a w drugim do 50 milionów, gdyż na rozkaz Napoleona i w dobrze zrozumianym interesie własnym trzeba było siłę zbrojną pomnożyć do 60.000 ludzi, obwarować Modlin i Serock, uzupełnić rynsztunek i zapasy wojenne, nadrabiać to, czego w karygodnej lekkomyślności swojej zaniedbali w ciągu ostatnich lat stu dziadowie i ojcowie żyjącego obecnie pokolenia...

Jeśli nie cała ta siła była na polskim żołdzie i utrzymywana kosztem kraju, to znowu wydatek w ludziach był większy jeszcze; tysiące całe ludzi pochłaniały zakłady Legji nadwiślańskiej i pułku szwoleżerów gwardji...

Do klęsk wyżej wymienionych przyczyniły się inne, nieprzewidziane i przez nikogo niezawinione, a więc nagła redukcja banknotów austriackich w roku 1811, przyprawiająca o dotkliwe straty obywateli galicyjskich, wycofanie z obiegu bankocetli, niżenie kursu monety pruskiej i nadzwyczajna taniość ziemioplodów, będących jedynym prawie i najważniejszym źródłem bogactwa krajowego.

Skutkiem tego wpływały podatki skąpo, chociaż gotowość do ofiar była powszechna, każdy rok administracji skarbowej zamykał się deficytem, rząd w największych znajdował się kłopotach...

Ale wiara w potęgę Napoleona i wieści głuche o nowej wojnie z Rosją, która przecież — według ogólnego mniemania — inaczej zakończyć się nie mo-

gła, jak tylko zwycięstwem Francuzów i odbudowaniem Polski, utrzymywały umysły w stanie ciągłego naprężenia, głośziły skargi na niedostatek i nadmierne wysilenia czyniły znośniejszymi...

Wobec tak straszliwej sytuacji rozpacz nieraz przejmowała ks. Józefa, gdy widział brak pieniędzy na najważniejsze potrzeby wojska.

Ażeby ulżyć skarbowi, zrzekł się swych pensji ministra wojny i generała dywizji, znaczne nieraz koszty reprezentacyjne i często służbowe, jak np. wywiadowcze, pokrywał z własnej kieszeni...

Za służbę dla swoich ze szczupłego grosza rodaków nie chciał być płacony... Mimo to jednak nie uchroniło go to od zarzutów rozrzutności, gdyż dbał ks. Józef o żołnierza, nie mógł patrzeć na braki i nędzę, jaką ten cierpieć musiał...

A przytem dbać musiał nietylko o tych, co zdrowi w szeregach służyli, lecz i o tych, którzy haracz z krwi swojej złożyli...

Z bolesnem uczuciem patrzył ks. Józef na rannych, wyniszczonych żołnierzy polskich, których, jako niezdatnych do służby, zaczęto od r. 1810 tłumnie odsyłać z Hiszpanji z powrotem do kraju.

Natychmiast „wzruszony smutnym ich stanem, kazawszy im zapłacić żołd za czas podróży z Hiszpanji do Warszawy i do miejsca urodzenia, albo pobytu z podróźnią odesłać, a tych, którzy żadnego przytułku nie mają, do korpusu inwalidów dla pobierania żywności tymczasowo przywiązać, co uczynił także

z ludźmi legjonu nadwiślańskiego z Hiszpanji z żołdem odstawkowym przysłanymi“, — wystąpił z gorącym wstawienniczem przełożeniem za nimi do Rady Ministrów...

A nadto z uwagi, że „po większej części są to ludzie z urwanemi częściami ciała lub tak ranami skaleczeni, że do żadnej roboty przydać się nie mogą“, przez osobiste swoje starania u rządu i samego króla uzyskał ks. Józef specjalny dekret królewski z marca 1811 r., zabezpieczający dożywotnio los tych nieszczęśliwych, bez oglądania się na zwykle warunki kwalifikacyjne przepisane dla inwalidów i weteranów.

A do tych wszystkich trosk i kłopotów przydać należało i zawikłania polityczne wewnątrz kraju... Były w społeczeństwie polskim jednostki, zapatrzone w cara Aleksandra; były inne, jak arcybiskup Raczyński, zezujące wciąż w stronę dawnego pana, w stronę Prus.

Z tej strony wystawiono byt Polski jako pogrzebany przez Napoleona na zawsze. Niedoszłą konwencję styczniową z r. 1810 ogłaszano ze strony rosyjskiej, jako zawartą, jako dobrowolny zupełnie krok Napoleona.

Zjawiały się więc w Polsce zmywy przeciw wielkiemu twórcy i protektorowi Księstwa; zjawiała się myśl rewolucji wewnętrznej w państwie i podniesienia się Polski w dawnych granicach i o mocy własnej. Promotorami tej myśli byli dawni republikanie

i legjoniści. Powstał spisek między generałami. Należeli doń pono Fiszer, Niemojewski, Zajączek, Różniecki — mówiono o samym Dąbrowskim. Należeli pułkownicy Sierawski i Trzeciecki — ten ostatni, rzecz znamienita, przedstawiciel ziem ruskich, przez Rosję zabranych, ongi jedna z głów lwowskiej Centralizacji, dręczony w więzieniu austriackim, teraz szef pułku 15 ułanów.

Powstanie na Ukrainie wywołać pono się podjął wnuk dawnego marszałka konfederacji Barskiej, szef 4 pułku piechoty, Feliks Potocki, którego rany i choroba piersiowa zmusiły do odjazdu z Hiszpanji i powrotu do kraju.

Kościuszkę postawić chciano na czele narodu. Napoleon zaskoczony być miał nagłością wydarzeń, poczem Dąbrowski podejmował się usprawiedliwić Polskę przed obliczem cesarza.

Myśl rozwijała się i szerzyła, gdy przekonali się naraz republikanie i patrioci należący do zmywy, że idą nieświadomie po drodze, na którą pchnąć usiłuje Księstwo ręka potężnego sąsiada, — że droga ta wiedzie do zguby...

A tymczasem w Petersburgu dojrzewiała myśl ostateczna rozpoczęcia wojny z Napoleonem. Car Aleksander zdecydował się na wszczęcie kroków wojennych na wiosnę 1811 r., lecz wszystko uzależnione było od stanowiska Polaków...

Car Aleksander snuł różne plany, zwierzał się z niemi przed ks. Adamem Czartoryskim, lecz ten,

znając dobrze język dyplomatyczny, nie przywiązywał wielkiej wagi do chaotycznych projektów cara, wymówił się więc zręcznie od wszelkiego udziału w służbie administracyjnej, wyjechał z Petersburga do Wilna, dokąd go powoływały sprawy uniwersyteckie i szkolne, wreszcie za urlopem nieograniczonym udał się do Puław z zamiarem wyjechania zagranicę.

Jako Polak, pragnący szczerze odrodzenia ojczyzny, widział on się zawiedzionym w swoich nadziejach i czuł, że dalszy pobyt w stolicy rosyjskiej u boku Aleksandra stawia go w położeniu nadwyzczaj przykrem wobec własnych ziomków, że rzuca cień na jego charakter i może — zwłaszcza w chwili toczących się układów o zatracenie imienia polskiego — podać w wątpliwość uczucia, którym nigdy się nie sprzeniewierzył...

Te względy i oczekiwanie dalszych wypadków, których obojętnym świadkiem być nie mógł, jakoteż chęć służenia sprawie narodowej tam, gdzie do tego najlepsza nadawała się sposobność, a więc w części Polski niepodległej i mającej — jak się zdawało — nadzieję rozszerzenia swych granic, skłoniły Czartoryskiego do opuszczenia Rosji.

Zatrzymawszy się w Puławach i zrobiwszy wycieczkę do Warszawy, układał on właśnie plan dalszej podróży, polecał listownie opiece cara uniwersytet wileński i prosił go o zupełne zwolnienie od służby, kiedy nagle, już na początku 1811 r., a więc po zer-

waniu systemu kontynentalnego i rzuceniu rękawicy Napoleonowi, nadszedł list z Petersburga, pełen wprost zdumiewających wiadomości.

Car, uderzając w struny piętnastoletniej przyjaźni, której okoliczności ani zerwać, ani nawet zamącić nie zdołały i która nigdy nie przestała być dlań drogą, nie chciał słyszeć o dymisji Czartoryskiego, a jednocześnie przedkładał księciu nowy plan odbudowania Polski, już nie problematyczny, lecz — jak się wyrażał — na najpewniejszych polegający podstawach.

Zamierzał on mianowicie podjąć wielką wojnę przeciw Napoleonowi w celu wyzwolenia Europy z pod jarzma francuskiego i użyć do tego Polaków. Wsparci posiłkami rosyjskimi i pruskimi, mogli oni z największą łatwością opanować kraj cały aż po Odrę, wtedy powstałyby Niemcy, a Napoleon — zajęty wojną hiszpańską — nie byłby w stanie stawić czoła temu potężnemu ruchowi, obejmującemu całą środkową i wschodnią Europę...

Car Aleksander udzielił przeto nieograniczonego urlopu Czartoryskiemu i prosił go, aby się udał do Warszawy, zbadał tam umysły i doniósł mu niezwłocznie, czy projekt tego rodzaju może być wykonany.

A że wiedział car dobrze, że bez ks. Józefa plan jego zrealizowanym być nie może, w liczbie dwunastu punktów, na jakie miał udzielić odpowiedzi ks. Czartoryski, zamieścił następujące:

„7. jeśli będzie sposobność widzenia się z Poniatowskim, w takim razie 8. postarać się go pozyskać, przekładając mu trudność odnowienia Polski przez Francję, srogość nieuniknionej stąd wojny, zniszczenie całego kraju i surowe środki, jakich musiałaby się chwycić Rosja dla swojej obrony; przeciwnie, 9. jeśli Polacy oddadzą się Rosji, to istnienie ich byłoby niewątpliwem... Polska odbudowuje się przez przyłączenie jej do Rosji, Austria wynagradza się (za Galicję) Wołoszczyzną, częścią Mołdawji oraz swemi starymi posiadłościami, Dalmacją, Wenecją, częścią Włoch i Tyrolem; 10. jeśli te i podobne wywody wstrząsną przekonaniem ks. Poniatowskiego i będą przez niego przyjęte, w takim razie przygotować w tej mierze papiery i umówić się z nim o działaniach“...

Tu znów chytróść cara wyszła na jaw; podobnie jak przy zawieraniu konwencji z Napoleonem, pragnął mieć w ręku papiery, któreby użyte w odpowiedniej okoliczności mogły skompromitować i Polaków i ks. Józefa.

Otrzymawszy te tak wielkiej wagi papiery w Puławach, ks. Adam Czartoryski odpowiedział natychmiast, wyrażając swą zgodę na udział w tak wielkim dziele, lecz jednocześnie poczynił szereg uwag i zastrzeżeń.

Gdy w pierwszych dniach lutego przybył do Warszawy, w poufnej rozmowie z ks. Józefem przedstawił mu wszystkie otrzymane pisma cara i wyszczegółił mu życzenia i widoki carskie...

Wysłuchał go spokojnie ks. Józef i, jak za pierwszym razem przed kilku laty stanowczo odrzucił wszelkie propozycje...

W ten sposób upadła misja ks. Czartoryskiego i powróciwszy do Puław w początku marca zawiadomił o tem cara, z podaniem zarazem argumentów odmowy...

Sytuacja, w jakiej się znalazł ks. Józef była bardzo ciężka i trudna...

Honor nie pozwalał mu wprost zakomunikować Napoleonowi wiadomości wielkiej wagi, jako otrzymanych drogą poufną...

Rozmyślał długo nad tem, aż wreszcie znalazł wyjście z tej sytuacji...

W dniu 18 lutego napisał do Napoleona pismo, rzekomo opierające się na informacjach i wywiadzie, w którym donosił o gotowości wojennej Rosji i ostrzegwał mocno i stanowczo, błagał o przedsięwzięcie naglących środków obrony przed bliską ofensywą rosyjską; pisał: „honorem moim ręczę, że taki plan ofensywny w tej chwili istotnie zajmuje myśl cesarza Aleksandra“...

Napoleon jednak zlekceważył to ostrzeżenie. Nie pragnął wcale wojny, dążył do jej uniknięcia, a przynajmniej do odroczenia na czas jak najdłuższy, a

przestrogi ks. Józefa składał na karb zapalczywych głów polskich, marzących wciąż o odbudowaniu swego kraju...

A ks. Józef, nie widząc skutków swych ostrzeżeń, przesłał je znów do Davouta, wodza naczelnego armii francuskiej w Niemczech, jako narażonego w pierwszym rzędzie na atak rosyjsko-pruski; przesłał je i królowi Fryderykowi-Augustowi, wreszcie zwierzył się niemi nowemu posłowi francuskiemu w Warszawie, Bignonowi.

Gdy to wszystko nie odniosło skutku, korzystając z okazji narodzin syna Napoleona, króla rzymskiego, podążył sam do Paryża, ażeby złożyć cesarzowi w imieniu Księstwa powinszowanie.

Udał się ks. Józef do Paryża w towarzystwie ośmiu oficerów i licznej świty, między innymi ks. Konstantego Czartoryskiego, brata Adama, i ks. Michała Radziwiła, brata Antoniego. Prócz tego towarzyszył mu pułk. Rautenstrauch, szef wydziału działań wojskowych w ministerstwie wojny...

Po tygodniowym pobycie w Dreźnie, gdzie otrzymał urzędowe pismo wierzytelne króla do cesarza, przybył w końcu kwietnia 1811 r. do Paryża.

Następnego zaraz dnia, wbrew obowiązującym przepisom etykiety, o godz. 7 rano na wyraźny rozkaz Napoleona został przyjęty przez niego na posłuchaniu, gdzie mu przedstawił najdokładniej stan rzeczy na granicy Księstwa Warszawskiego

Stał się jednym z uprzywilejowanych gości na

dworze cesarskim, wyróżnianym na wszystkich przyjęciach i uroczystościach dworskich, wzywaniem często przez cesarza na posłuchania prywatne, co zaniepokoiło bardzo nawet cara Aleksandra...

Trapiło to również bardzo i posła saskiego, Einsiedla, który w tem wyróżnianiu ks. Józefa przez Napoleona widział jakieś dążenia do wyodrębnienia spraw polskich od spraw saskich, nieomal że zamach na prawa dynastji saskiej, w Księstwie Warszawskim...

A tymczasem ks. Józef rycerską swą postawą, ujmującym obejściem, bijącą w oczy szlachetnością zdobywał sobie serca wszystkich, jednal przyjaciół nie tylko dla siebie, ale i dla sprawy polskiej, której był najwymowniejszym rzecznikiem.

Przekonywująca argumentacja wyjaśnień jego, udzielonych Napoleonowi, o groźnym niebezpieczeństwie ataku rosyjskiego na nieprzygotowane Księstwo Warszawskie, odniosło ten skutek, że cesarz przejrzał na oczy, zrozumiał całą grozę sytuacji i natychmiast przystąpił do wydania zarządzeń obronnych, mających na celu odparcie pierwszego ataku nieprzyjacielskiego...

Ks. Józef został uczestnikiem najtajniejszych prac polityczno-wojskowych... Zasięgał jego rady nowy minister spraw zagranicznych, przyjazny Polakom, Manet, książę Bassano; przy jednym z nim pracowali stołe dumny, nieprzystępny, chłodny Berthier, książę Neuchâtelu, major generalny, czyli

szef sztabu Wielkiej Armji, i Clarke, ksiązę Feltre, minister wojny...

Skutecznie poparł starania ministra skarbu Księstwa, Matuszewicza, o uzyskanie niezbędnej pożyczki francuskiej...

Owocem tych prac i zabiegów jego było: uzupełnienie fortyfikacji Modlina na podstawie szczegółowego jego raportu o stanie twierdzy, złożonego cesarzowi, nową dyslokacją wojska polskiego na wypadek działań wojennych; powiększenie V, X i XI pułku piechoty przez czwarte bataljony i formację z nich, wraz z IX pułkiem jazdy, nowej dywizji; pomnożenie wszystkich jedynastu pułków piechoty, konsystujących w Księstwie, o jedną kompanję zakładową każdy; utworzenie artylerji pułkowej na wzór francuski przez przydanie dwóch dział do każdego pułku piechoty i t. d.

W sztabie wrzała praca nad opracowywaniem planów nowej wojny, a wciągnięty do niej ks. Józef udzielał cennych wskazówek, podawał własne projekty, brał udział w konferencjach z cesarzem.

Wojna była zdecydowana. Już w kwietniu, wkrótce po przyjeździe ks. Józefa, miał Napoleon decydującą rozmowę z Czernyszewym, tajnym agentem cara Aleksandra, który nieostrożnie odsłonił mu karty, mówiąc:

— Moźnaby podobno rzucić sprawę oldenburską i polską do jednego worka, dobrze razem wstrząsnąć

i wysypać razem, a wyszedłby stąd nienaruszony aljans...

Na co Napoleon odrzekł mu z najwyższem uniesieniem:

— Więć o to chodzi: za Oldenburg Księstwo? Nie, mój panie! Jeszcześmy wszyscy nie wyginęli! Nie jestem fanfaronem. Wiem, że wasze środki są wielkie, wasza armja potężna i piękna. Sam zbyt wiele wydałem bitew, abym nie miał wiedzieć, na jak małych rzeczach los bitew zawisa... Ale wy mnie zmuszacie...

Próżno odwołany z Petersburga poseł Caulaincourt, ksiązę Vicenzy, oddany w zupełności Rosji, usiłował przekonać cesarza, by, poświęcając Księstwo, ratował sojusz z carem Aleksandrem. Próżno podburzał go przeciw ks. Józefowi...

Napoleon stał wytrwale przy swoim, obdarzył ks. Józefa złotą, sadzoną brylantami tabakierką, udzielił pożyczki zwrotnej na zapłacenie długów pani Tyszkiewiczowej, a gdy w początkach sierpnia ks. Józef chciał wracać do kraju, by zająć się tam przygotowaniami wojennymi, zatrzymał go, by uczynić świadkiem historycznej sceny...

W czasie uroczystej audjencji, wobec licznie zgromadzonych przedstawicieli dyplomacji, świata urzędowego i wojska zwrócił się Napoleona nagle do ks. Kurakina, ambasadora Rosji, z następującemi miażdżącemi wprost słowami:

— Nie jestem tak głupi, aby sądzić, że idzie

wam o Oldenburg. O Oldenburg się nie wojuje. Zresztą proponowałem pełne i całkowite odszkodowanie. Widzę jasno, że idzie o Polskę i zaczynam wierzyć, że to wy chcecie ją posiadać... Nie ludźcie się, bym kiedykolwiek wynagrodził cara w stronie Warszawy. Nie, gdyby nawet armje wasze obozowały na wzgórzach Montmartre, nie ustąpię wam ani cala terytorjum warszawskiego... Gwarantowałem jego całość... Nie wiem, czy pobiję was, ale będziemy się bić..

Jasnym się już stało wszystkim, że wojna jest nieunikniona, że Napoleon postanowił ją i że nie cofnie się już przed niczem, że wojna ta będzie o Polskę...

Po tym doniosłym fakcie nic już nie zatrzymało ks. Józefa w Paryżu, w końcu sierpnia też podążył do kraju.

Na krótki czas zatrzymał się w Dreźnie, ażeby poinformować króla o przebiegu pobytu swego w Paryżu, poczem zoczywszy tyko do Torunia i Modlina, ażeby obejrzeć roboty przy fortyfikacjach, w drugiej połowie września stanął w Warszawie, gdzie czekała go olbrzymia praca...

XIX

Prowadzona od r. 1809 wytężona praca nad reorganizacją wojska, które miast dawnych 12 pułków piechoty i 6 pułków jazdy doprowadzone zostało do 17 pułków piechoty i 16 jazdy, musiał nabrać znacznie szybszego tempa.

Nie szczędzono też, pomimo nędzy w kraju i ubóstwa skarbu żadnych ofiar na ten cel, i słusznie pisał ówczesny rezydent francuski w Polsce, Bignon:

„Tak w szczególnem położeniu spraw europejskich, jak w szczególnem położeniu Księstwa, wydatki na utrzymanie armji polskiej były najsprawiedliwszym, niemal największym obowiązkiem. Wojsko stało się najdroższą własnością narodu, jego prawdziwym bogactwem. Nigdy też nie było armji bardziej narodowej, w niej bowiem spoczywała nadzieja wywalczenia bytu narodowego.“

Przystąpiono gorączkowo do kontynuowania robót przy fortyfikowaniu Zamościa i Modlina, a ze względu na pośpiech użyto do tego wojsko i chłopów, ściągniętych z całego Księstwa, tak, że w r.

1812 pracowało już przy wznoszeniu fortyfikacji 2 dywizje piechoty i 10.000 chłopów.

Użycie wojska przy tych robotach nie wpływało na nie dodatnio, ani pod względem zdrowotnym, gdyż brakło odpowiednich pomieszczeń i dostatecznej strawy, ani pod względem wyćwiczenia wojskowego, które odbywać mogli tylko w niedziele...

Skarżyli się na to pułkownicy oddziałów użytych do tych robót, lecz ks. Józef, choć przyznawał im słuszość, nic poradzić nie mógł wobec nakazu, pośpiechu ze strony Napoleona.

Wyćwiczenie wojska postępowało szybko. Mając już we krwi talent żołnierski, z łatwością przekształcał się każdy, nawet włościanin od pługą wzięty, w jednostkę sprawną w działaniu, tworząc armję trudną do zwyciężenia w boju.

Przyznawał to w zupełności rezydent francuski, Bignon, pisząc:

„Chłop polski jest żywy, inteligentny, odważny. Nigdzie może i nawet we Francji, człowiek zabrany od pługą nie przyjmuje tak prędko postawy i zwyczajów wojskowych. Gdzieindziej rzemiosło żołnierskie, naginając charakter do biernego posłuszeństwa, przygotowuje bardzo często narzędzia despotyzmu. W Księstwie Warszawskim rzemiosło żołnierskie było terminatorstwem cywilizacyjnem. Polak, który odbywając służbę z wojskiem

francuskim poznał ducha równości, przynosił tego ducha do swojej wioski, kiedy wracał do niej, otrzymawszy urlop lub wskutek ran...“

W dziele swem „W setną rocznicę“, pisze dr. Marjan Kukiel:

„Umiano bo też odpowiednio z żołnierzami postępować i miłość ich oraz przywiązanie do narodowych sztandarów zyskiwać. Sam ks. Józef tu świecił przykładem najlepszym, zdobywając swem postępowaniem serca żołnierzy, którzy go ubóstwiali. Bywało nieraz, że po dobrze odbytej rewji na Saskim Placu w Warszawie ksiązę Józef kazał konnicy zsiąść z koni, piechocie złożyć broń w kozły i sam przechadzał się między szeregami, wypytując się troskliwie żołnierzy, czyli nie mają jakich potrzeb. Bywało też, że po odbitej mustrze dwóch starych żołnierzy brał wódz naczelny pod rękę i do siebie na obiad prowadził, bywało, że na bal, wydany na cześć księcia przez podkomendnych, na wyraźne jego życzenie co dzielniejszych wiarusów, a najpierwsze damy z arystokracji, na prośbę księcia prosiły ich w taniec.

Kary jakie stosowano w wojsku Księstwa Warszawskiego, były znacznie łagodniejsze, niż w innych współczesnych armjach europejskich. I tak, po-

dobnie jak w legjonach, i tutaj nie wolno było stosować kar cielesnych. Niestety nie było w tej wierze równej stanowczości, jak w armji francuzkiej i jak angi w naszych legjonach; zasadę zachowano, ale robiono z niej niekiedy ustępstwa na rzecz obyczajów, zakorzenionych w dawnym wojsku polskiem. Uznać przytem należy, że miano do czynienia z rekrutem bardziej ciemnym niż francuzki, nie mówiąc już o legjonistach, którzy byli starymi żołnierzami. Bądź co bądź kary cielesnej używano tylko jako malum necessarium, by gorszego uniknąć.

Współczesny pamiętnikarz Henryk Brandt, wówczas oficer wojsk polskich, a później słynny generał pruski, nie mógł się w pamiętnikach swoich nachwalić łatwości, z jaką rekrut polski zaprawiał się na żołnierza. Pisał on:

„Nieraz później byłem obecny przy formowaniu nowych wojsk, jako też przy zmianie organizacji dawnych na nowe, ale nigdzie nie spotkałem podobnej dzielności, spójni w działaniu i równie dokładnej roboty.“

Otóż ów Henryk Brandt opowiada, że z tych rekrutów, których on przed wojną rosyjską mąsztrował, niektórzy dezertowali. Zdarza się to często u żołnierzy młodych, co się do sztandaru jeszcze nie przywiązali, lecz sroga ich za to czeka kara w razie

schwywania, zwłaszcza w czasie przedwojennym, kiedy za to śmiercią karzą.

Zamiast się jednak do takich środków uciekać, stosowano, jak opowiada Brant względem pochwyconych dezertów inną karę. Zamykano naprzód dezertera na odwachu, a przy pierwszej mustrze prowadzono przed front bataljonu, tu mu aplikowano 50-60 plag i odsyłano do kompanji właściwej. Skutkowało to nienajgorzej, choć niewątpliwie było kompromisem i obniżało poziom moralny wojska.

Że zaś czas był groźny, więc też gorączkowo żołnierza ćwiczano. Odbywały się częste lustracje, szef sztabu zaś, zarazem inspektor piechoty warszawskiej, surowy generał Fiszer, często urządzał objazdy i przeglądy pułków, zwłaszcza zaś w zimie 1811 r.

A był generał Fiszer bardzo wymagającym inspektorem, były więc te przeglądy ciężkim popisem dla oficerów, tem cięższym, że szef sztabu polskiego wchodził częstokroć w drobne szczegóły i najmniej szycyn nie darowywał uchybień.

Oto co pisze o jednej z takich lustracji, odbytej przez gen. Fiszera w zimie 1811 r. w pułku 12 piechoty ówczesny kapitan tego pułku Białkowski:

„Lustracja z powodu wielkich śniegów i mrozów wówczas, odbywała się codziennie w jednej sali, na ten cel przeznaczonej w koszarach. Po zwykłym obejrzeniu kompanji, gene-

rał rozkazywał ustąpić z sali oficerom i podoficerom, a zamknawszy się z samymi żołnierzami, zapytywał się o wypłatę żołdu, odciążanie i wydatki. Niemniej badał ich, czyli nie są krzywdzeni przez oficerów albo podoficerów, a w końcu pytał, jakie kto ma żądania. Później następowało to z podoficerami. Jeśli który żołnierz miał jakie zażalenie na swoich przełożonych, Fiszer najsurowiej to karał, a nawet nie dał się tłumaczyć, mówiąc: „Trzeba się starać, aby żołnierza do siebie przywiązać; w takim razie w czasie boju żołnierz potrafi się za to swemu oficerowi wywdzięczyć“.

Po tych ceremonjach rozkazał Fiszer zdjąć tornistry, otworzyć takowe i najściślej oglądał tak bieliznę, obuwie, ubiór, a nawet rzeczy do wygody i oczyszczenia służące, a później osobno każdy rodzaj ubioru przeglądał. Gdy włożyli na siebie żołnierze płaszcze, kazał takowe na dobrą stronę a później podszewką do góry włożyć, a za każdym razem ręce do góry podnosić, dla przekonania się, czyli nie są płaszcze podarte; podobnie z każdą częścią ubrania postępował. Każdą rzecz z książeczką żołnierską kontrolował. W końcu zapytał się was o nazwisko każdego żołnierza, a później kazał się w tył obrócić żołnierzom i znowu się zapytywał, jak się który żołnierz nazywa. Dodawał, że kapitan tak dobrze powinien znać



swoich żołnierzy, że nawet w nocy po głosie powinien ich poznać“.

Z wiosną 1812 r. zaczęła piechota odbywać częste ćwiczenia w strzelaniu, a kiedy w maju tego roku zjechał do Warszawy Hieronim, król westfalski, pod którego dowództwo na prawem skrzydle Wielkiej Armji pójść miało na wielką wojnę wojsko Księstwa Warszawskiego, zaczął on odbywać z piechotą polską wielkie rewje. Rewjom tym przyglądały się tłumy publiczności, która też brała udział w rewji, wyrażając swe zadowolenie względnie gniew, w miarę tego jak wojsko dobrze lub źle się musztrowało.

Zdarzyło się raz, że król Hieronim na rewji pułków 3, 8 i 12 nakazał pułkowi 3 wykonać jakiś manewr dość łatwy. Nie wiadomo dla jakiej przyczyny pułk źle ten manewr wykonał i całkiem się pomieszał. Wtedy,—opowiada wspomniany kapitan Białkowski — oburzona publiczność zaczęła miotać na pułk 3 obelgi: „Wy próżniaki! darmozjady! — krzyczano: czego się może ojczyzna po was spodziewać, kiedy nie macie jeszcze nieprzyjaciela przed sobą, a ta-keście się pomieszali! Cóż dopiero, kiedy wam przyjdzie pod ogniem nieprzyjaciela działać! To my wszystko położymy na was, robimy największe wysilenia i ofiary, a wy nam taki wstyd i zawód robicie i t. d.“ Natomiast kiedy następne pułki 8 i 12 dobrze się spisały i poprawnie wykonywały manewry, publiczność rzęsiłemi je za to wynagrodziła oklaskami,

z czego wojsko bardziej było rade, niż z pochwał zwierzchników...

A tymczasem zbliżała się nieuniknienie straszliwa burza wojenna...

Długie układy z Kurakinem w Paryżu i z Rumiańcowem w Petersburgu nie doprowadziły do żadnego rezultatu, nie powiodła się również misja Lauristona, nie wskórał nic hr. Narbonne, w ostatniej chwili wysłany z Drezna do Wilna.

Car, znając dobrze trudne położenie przeciwnika, nie okazywał najmniejszej skłonności do ustępstw. Liczył na wojnę hiszpańską, wlokącą się leniwie i niepomyślnie dla Francuzów, na pomoc Anglii, na panujące niezadowolenie w Niemczech, wreszcie na trudności, z jakimi spotkać się musiał nieprzyjaciel, podejmujący wyprawę w kraj daleki, pozbawiony dogodnych środków komunikacyjnych, przecięty licznymi i wielkimi rzekami, straszny rozległością swoją i surowym klimatem.

Miała wprawdzie i Rosja także swoje troski i obawy; była uwikłana w wojnę turecką i mogła się spodziewać zemsty Szwedów. Ale i z tych trudności wybrnął Aleksander szczęśliwie. Wskutek niedoświadczenia Turków i wpływów angielskich w Konstantynopolu powiodło mu się w sam czas zawrzeć pokój z Osmanami, a równocześnie także ugłaskać Szwedów. Po nagłej śmierci księcia Augustenbeuga, następcy tronu szwedzkiego, powołano na tę godność generała Bernadotte, księcia Ponto Corvo. Było to

napozór wielkiem zwycięstwem polityki napoleońskiej, w istocie jednak stało się jedną z przyczyn upadku Napoleona. Bernadotte bowiem, zawsze mu niechętny, a przytem pilnujący więcej teraz interesów szwedzkich niż francuzkich, uważał za rzecz korzystniejszą dla siebie połączyć się z Rosją, niż trwać w związku z Napoleonem, który świeżo zajął Pomorze szwedzkie. Zjechawszy się więc z Aleksandrem w Abo, zawarł z nim traktat, mocą którego miał za Finlandję otrzymać Norwegję.

Tak w stanowczej chwili mógł car, bez żadnej obawy o bezpieczeństwo swoich granic południowych i północnych, wszystkie siły swoje zwrócić na odparcie francuzkiego najazdu.

Napoleon przeciwnie prowadził wojnę z Hiszpanją i Anglją i oprócz własnej, cprawda wielkiej potęgi, nie miał z wyjątkiem Polaków ani jednego szczerzego sprzymierzeńca.

W pierwszych miesiącach roku 1812 zawarł on wprawdzie traktat z Prusami i Austrią i odzyskał od jednych 20.000, a od drugiej 30.000 posiłków na wojnę rosyjską, ale oba te mocarstwa popierały go niechętnie i gotowe były każdej chwili obrócić oręż swój przeciw temu, który je tylokrotnie upokorzył i przemocą wprzął do swego tryumfalnego rydwanu.

Zdawałoby się, że tak genialny człowiek jak Napoleon, oceniając trudności swego położenia, będzie się starał najlepszego swego sprzymierzeńca, to

jest Polaków, wzmocnić, zapal ich podniecić, odbudowaniem Rzeczypospolitej i, przyłączywszy do Księstwa Warszawskiego zabór rosyjski, uczynić to nowe państwo podstawą działania dla ogromnej swojej armji. Stało się jednak inaczej. Rozpoczynając wojnę niechętnie, ludił się on bezustannie nadzieją, że mu się uda Aleksandra zastraszyć rozwinięciem sił olbrzymich i groźbą odbudowania Polski i w najgorszym razie po pierwszej zwycięskiej bitwie zmusić do zaszczytnego dla Francji pokoju.

Tą myślą przejęty, unikał wszystkiego co mogłoby Rosję do nieubłaganej wyzwać walki, a wiedząc, że piętą Achillesową dla Moskwy była Polska, używał jej dla postrachu, a nie z zamiarem stworzenia z niepodległej Polski niejako wału ochronnego przeciw zaborczej polityce cara. W tym kierunku też obracała się cała polityka Napoleona względem Polaków, podczas pamiętnej wojny 1812 r.

Z początkiem wiosny ruszyły masy wojsk francuzkich ku Wiśle, dnia 8 maja wyjechał z Paryża sam cesarz i zatrzymał się przez dłuższy czas w Dreźnie, oczekując na powrót hr. Narbonne z Wilna.

Dnia 25 maja nadjechał wreszcie wyglądany niecierpliwie ambasador, przysły wszystkie złudzenia pokojowe i rozpoczęły się kroki nieprzyjacielskie.

Pierwszym jawnym dowodem zerwania stosunków z Rosją, było ogłoszenie w „Monitorze“ noty Mareta ks. Bassano do ks. Rumiancewa, wysłanej w dniu 25 kwietnia, a zawierającej niejako akt

oskarżenia przeciw Aleksandrowi i jego zewnętrznej polityce. Była tam mowa i o Księstwie Warszawskim, niemilem Rosji i o kwestji oldenburskiej i o otwarciu portów rosyjskich Anglikom, co wszystko razem wzięte uważał francuski minister za zerwanie traktatu tylżyckiego i owych układów zasadniczych, które zakończyły wojnę pomiędzy dwoma najpotężniejszymi mocarstwami i „obiecowały światu wielkie dobrodziejstwo pokoju“...

Przechodząc do sprawy polskiej, zarzucał Maret, że Rosja zmierza do opanowania Księstwa Warszawskiego, na co cesarz zezwolić nie może, chociaż gotów być dać zobowiązanie, że usiłowań, dążących do odbudowania Polski wspierać nie będzie.

Polska była zatem pomiędzy innemi przyczyną rozdzielenia obu mocarzy i jednym z głównych powodów wojny, którą też Napoleon słusznie nazwał „drugą wojną polską“.

Spodziewać się należało, że działając konsekwentnie, zastosuje on względem Polaków politykę taką, jakiej najbardziej Rosja się obawiała. Jakoż zrazu poczyniono w tej mierze kroki napozór nadzwyczaj doniosłe. Nadszedł więc w ostatnich dniach maja dekret królewski, rozpoczynający się od słów: „Zważywszy okoliczności dzisiejsze, wielkie dla narodu rokujące przeznaczenia“ — i przelewający całą władzę monarszą na ministrów Księstwa, a tuż potem przybył do Warszawy nadzwyczajny ambasador cesarski, arcybiskup mechliński ks. de Pradt, aby za-

stąpić zwykłego rezydenta francuzkiego Bignona.

Jeżeli te dwa wypadki zelektryzowały opinię publiczną i obudziły w umysłach najżywsze nadzieje, to w kołach rządowych nie mniejsze wrażenie musiała sprawić rozmowa Napoleona z Matuszewiczem w Poznaniu.

„Chcę przywrócić Polskę, — mówił on: Lecz obecnie ogłosić jej nie mogę. Wywiodłem całe siły moje, nadto jedną ręką prowadzę Austriaka, drugą Prusaka. Austrija za niejaki nagrody ustąpi Galicję. Zwołajcie sejm, uczynicie konfederację, wezwijcie do niej króla waszego, udajcie się do mnie o przywrócenie wam zabranego kraju, wtenczas go ogłoszę i spodziewam się, że utrzymam.“

Nie mamy najmniejszego powodu do powątpiewania w prawdziwość tych słów, zgodnych zupełnie z programem działania, przepisany przez Napoleona rządowi Księstwa i pojmujemy dobrze, jak bardzo musiały one utwierdzić najpoważniejszych ludzi w mniemaniu, że Polska odbudowaną będzie...

Jawnie, bez żadnej osłony, podsycał te nadzieje ambasador francuzki; Niemcewicza prosił, aby starał się umysły zagrzewać, aby w teatrze grywano sztuki patriotyczne, śpiewano pieśni narodowe, pragnął mieć historję Polski z ostatnich lat 30 i wyliczone krzywdy, jakich Polacy od Rosji doznali.

Wśród tego zwołali ministrowie z mocy udzielonej im władzy sejm na dzień 15 czerwca; przybył do Warszawy pochylony wiekiem ks. Adam Czer-

toryski, generał ziem podolskich, od czasu sejmu czteroletniego nie biorący udziału w sprawach politycznych, obecnie przeznaczony na marszałka konfederackiego sejmu. Piotr Łubieński ustąpił mu mandatu. Obrany posłem z powiatu warszawskiego, czekał książę na polecenie Napoleona, aby sejm zagaić.

Spodziewano się przez pewien czas, że cesarz zjedzie sam do Warszawy, on jednak, nie chcąc się widocznie niczem wiązać jeszcze wobec Polaków, obrócił drogę na Toruń, Gdańsk i Królewiec, w zastępstwie zaś swoim niejako wysłał do Warszawy brata Hieronima, prowadzącego korpus westfalski.

Wybór był pod każdym względem nieszczęśliwy, bo Hieronim z powierzchowności tylko przypominający Napoleona, zraził sobie umysły postępowaniem nietaktownem, wygórowaną dumą i lekceważeniem, podczas gdy Westfalczyki jego rabunkiem i niesłychanemi gwałtami ludność spokojną i łagodną do krwawej zapalali zemsty.

Powstało stąd powszechne niezadowolenie. Król, objeżdżający kuligiem i objadający dwory możniejsze, każący żywić siebie i dwór cały kosztem miasta, budził wstręt i lekceważenie, z żołnierzami westfalskimi przychodziło na ulicach Warszawy do ciągłych zatargów i krwawych bójek, które siłą zbrojną hamować musiano.

Około 20 czerwca odetchnęła wreszcie cokolwiek

stolica, król Hieronim wyruszył do armji, za nim pówlokło się niechętnie jego wojsko, a z głównej kwatery francuzkiej nadbiegł kurjer z rozkazem otwarcia sejmu dnia 26 czerwca.

Pierwsza sesja sejmowa miała się zejść z odezwą Napoleona, wydaną do żołnierzy w Wyłkowysku dnia 23 czerwca. Zapowiadał w niej cesarz „drugą wojnę polską“, zapowiadał po niej pokój, „który położy nieprzebytą tamę dumnemu wpływowi Rosji.“

Równocześnie w Warszawie w izbie poselskiej, zebranej pod przewodnictwem księcia Adama Czartoryskiego, czytano prośbę obywateli litewskich, wzywającą sejm i naród do odbudowania Polski.

„Wzywamy was, — były słowa prośby: w imieniu naszym i pokoleń naszych, abyście się zajęli niezwłocznie wielkim odzyskania ojczyzny przedmiotem, nie potocznych urzędzeń, nie utyskiwań na panujące cierpienia, nie zaradzeń cząstkowych to jest pora! śmieJCie! CzyńCie!...“

Jakkolwiek łatwo zrozumiała jest rzeczą, że petycję litewską podpisali tylko obywatele, na Litwie dobra posiadający, ale zamieszkali w Księstwie, jakkolwiek rzecz cała była ułożona i obmyślana z góry, przez Pradta i ministrów polskich na życzenie Napoleona, jakkolwiek w tem powołaniu Litwinów nie widać wielkiej zręczności, to niemniej przeto wskazało ono sejmowi kierunek dalszego działania.

Na następny posiedzeniu zabrał głos Matuszewicz, jako sprawozdawca deputacji, wyznaczonej do

roztrząśnięcia prośby Litwinów i, przedstawivszy krzywdy, jakich doznał naród polski, — zakończył rzecz swoją twierdzeniem, że niezawisła Polska jest potrzebną dla Francji i Europy.

— Jeśli przeto, — mówił: w dawniejszych czasach wszystko sprzysięgło się na naszą zgubę, w dzisiejszych wszystko sprzyja dźwiganiu naszemu. Powstanie więc Polska, co mówię? jest już Polska!“

Słowa te, wypowiedziane w obecności ambasadora francuskiego i pod wrażeniem rozpowszechnionej co tylko odezwy wojennej Napoleona, wzbudziły zapal niesłychany.

Najzimniejsi i najtrzeźwiejsi nie mogli się już oprzeć nadziei, że Polska z woli Napoleona odbudowana będzie, a raz ogłoszona przez mocarza, stojącego na czele półmilionowej armji, istnieć nie przestanie.

Toż nic naturalniejszego, jak że sejm natychmiast zawiązał generalną konfederację Królestwa Polskiego, że uroczyście oświadczył przed światem i narodem, jako łączy się w ten związek po to, „aby rozdarł najniesprawiedliwszym gwałtem częśći ojczyzny nazad w jedno ciało spoić i wrócić ją dawnemu je bytowi i szczęściu“, i że w drugim artykule aktu konfederackiego orzekł, „iż Królestwo Polskie jest przywrócone i naród polski na nowo w jedno ciało połączony.“

Wykonanie tego rozległego programu wymagało z jednej strony wyczerpania wszystkich sił powstające-

go narodu, z drugiej szczerego i energicznego poparcia Napoleona. Zawiodło niestety i jedno i drugie.

Rada generalna konfederacka pod przewodnictwem księcia Czartoryskiego (sekretarzem był Kajetan Koźmian) ograniczyła działanie swoje do wydawania manifestów, zbierania akcesów do konfederacji i t. p. słabych środków budzenia ducha narodowego.

W chwili, gdy wszystko, co żyło, powinno było chwycić za broń, gdy należało organizować wojsko i niepokoić nieprzyjaciela, słowem dźwigać się własnymi siłami bez oglądania się na pomoc i zwycięstwa Francuzów, rada konfederacka w nieprzystojnej dla siebie roli pokornego petenta słuchała rozkazów ambasadora francuzkiego i nie zdobyła się na żaden krok samodzielny, na żaden czyn, świadczący o silnem i niezłomnem postanowieniu odzyskania niepodległości.

Niemniej dziwnem, zagadkowym i zgubnem dla sprawy polskiej i dla Francji nawet było postępowanie Napoleona.

Posłuszna poleceniom Pradta wysłała rada konfederacka dwa poselstwa: jedno do Drezna, zapraszając króla do Konfederacji, drugie do Wilna, gdzie była wtedy główna kwatera cesarska.

Pocziwy Fryderyk August podpisał akces ze łzami w oczach; odpowiedź Napoleona była chłodna, zanadto może trzeźwa i nie zawierała wcale zobowiązań jakichkolwiek względem odbudowania Polski.

„Pochwalam wszystko, coście uczynili, — rzekł on: upoważniam dalsze usiłowania wasze; uczynię, co

tylko odemnie zawisło, aby wspierać wasze postanowienia.“

Zaraz jednak dodał, że zaręczył cesarzowi austriackiemu całość państw jego i zakończył mowę zwrotem podobnym, jak niegdyś w Poznaniu:

„Niechaj Litwę, Żmudź, Witebsk, Mohylew, Wołyń, Ukrainę i Podole ten sam duch ożywia, jaki widziałem w Wielkopolsce, a Opatrzność uwieńczy powodzeniem świętość waszej sprawy.“

Z całego przemówienia najważniejszym jest ustęp, w którym cesarz przyrzekał wspierać usiłowania Polaków. Stosownie do tej obietnicy należało się spodziewać, że Napoleon dostarczy przynajmniej broni do uzbrojenia gwardji narodowej i nowych zaciągów i że działaniami wojennymi wojsk swoich pokieruje tak, aby dać możność mieszkańcom prowincji zabranych do okazania tego ducha i tego patriotyzmu, jaki Wielkopolanom z ust jego zjednał tak zaszczytne i zasłużone pochwały.

Tymczasem stało się zupełnie inaczej; broń zapowiedziana nie nadeszła wcale, wstrzymana w czynnościach swoich przez Pradta rada konfederacka, nie znajdując w sobie dość odwagi i tęgości ducha, aby sprawą narodową podług swojej myśli pokierować, zawiesiła niebawem swoje czynności i zostawiła kraj na Opatrzność Boską i francuzką, a Wołyń, Podole i Ukraina zamiast bratnich hufców pod znakiem Orła i Pogoni ujrzały u siebie posiłkowy korpus austriacki, wysła-

ny tam chyba na gaszenie, nie zaś na wzniesienie zapłału narodowego.1

Taką była w rzeczywistości owa przyobiecana przez cesarza pomoc, takim był początek kampanji, która nową sławą okryć miała oręż Polski, i pogrzebać na czas długi zbudzone nadzieje umęczonego narodu...

XX.

Książę Józef, pochłonięty w zupełności sprawami wojskowymi, wnikał prawie wcale w działalność polityczną rządu Księstwa.

Księstwo Warszawskie uczyniło olbrzymi wysiłek, wystawiając na wojnę z Rosją armję, składającą się z 48000 piechoty, 17200 jazdy, 1500 artylerystów i 104 dział, czyli razem 66.700 ludzi, oprócz trenów, wojska inżynierskiego i luzaków. Prócz tego w kraju pozostał 13-ty pułk piechoty Żymirskiego stojący załogą w Zamościu, pozostały zakłady, część artylerji i saperów.

W początku marca 1812 r. ks. Józef otrzymał od Napoleona, na podstawie opracowanego już planu wojennego, dowództwo korpusu V, utworzonego z wojsk polskich, a składającego się z 10 pułków piechoty i 6 pułków jazdy, wraz z artylerją, w ogólnej liczbie 36.000 ludzi. Pozostałe pułki polskie rozdzielone zostały między inne korpusy Wielkiej Armji...

Było to wielkim błędem Napoleona, wywołanym zapewne obawą przed potęgą Rosji, który się później pomścił na nim srodze.

Pomimo trapiącej go na początku wiosny choroby, nie przerywał ks. Józef **pracy nad ćwiczen**

i formowaniem wojska, zaprowiantowania kraju na przyjęcie Wielkiej Armji, oraz prowadzeniem wywiadu o ruchach i przygotowaniach nieprzyjacielskich.

Szykując się do tej wyprawy, która miast sławy śmierć na placu boju przynieść mu mogła, spisał własnoręczny „na wypadek nagłego zgonu“ testament. Zapisał w nim cały swój majątek jedynej prawej sukcesorce, siostrze swej, pani Tyszkiewiczowej, pozostawiając dla swoich dwóch synów skromne stosunkowo legaty po 10 i 15 tysięcy dukatów, tyleż swemu bratu naturalnemu i pani Vauban; nie zapomniał o sługach swoich i osobach przybliżonych; 200 dukatów przeznaczył dla żebraków, a 1000 dla ubogich miasta Warszawy, wstydzających się żebrać; darował włościanom w swych dobrach wszelkie zaległości i pobrane awanse; konie i broń polecał rozłosiwać między oficerów; zostawiał „całemu wojsku najgorętsze dla wszystkich życzenia i dystrybucje moich gaź, aby dało sobie raz jeszcze chwilę wesołą, pijąc raz jeszcze na moją intencję“.

Załatwiwszy w ten sposób jedyną sprawę osobistą, gorączkowo zajął się pracą mobilizacyjną...

W pierwszych dniach czerwca zaczął się wymarsz pułków polskich ku granicy...

Szef sztabu, gen. Fiszer, odezwą swoją z dn. 1 czerwca wezwał odchodzące pułki do składek na rzecz rolnika, pozostającego w nędzy, i na to wezwanie popłynął obficie ubogi grosz żołnierski.

Pierwsza wyszła dywizja generała Kamieniec-

kiego, mająca niebawem przejść pod sławne dowództwo starego wodza Legji Naddunajskiej, gen. Karola Kniaziewiczza.

Żegnał ją ks. Józef na Placu Saskim następującymi słowami:

— Towarzysze broni! Idziemy walczyć pod sztandarami cesarza. Pamiętajcie, przechodząc granicę Księstwa, że wstępujecie nie na ziemię obcą, ale polską. Nieście oręż mściwy nieprzyjaciółom, opiekunicy współziomkom; idziemy nie podbijać, ale oswabadzać. Dosyć tego dla Polaka. Niech żyje cesarz!...

W dniu 4 czerwca wyruszył w pochód za wojskiem i sam wódz.

Z niewiadomych zgoła powodów odrzucił Napoleon dwa projekty polskie prowadzenia wojny. Pierwszy, gen Sokolnickiego, pozostającego ze względu na zdolności swoje przy boku cesarza, a który radził rozłożyć kampanję na dwa lata, przyczem w pierwszym roku miało nastąpić wyzwolenie Polski, w drugim rozbitcie Rosji.

Zgadzał się nawet początkowo z tem Napoleon, o czem świadczą wynurzenia jego przed ks. Metternichem, ambasadorem sprzymierzeńczej jeszcze wówczas Austrii...

— Zadanie moje, — mówił on: jest jednym z tych, których rozwiązanie wymaga przedewszystkiem cierpliwości. Tryumf odniesie cierpliwszy. Rozpoczną kampanję przejściem Niemna, zakończę w Smo-

leńsku i w Mińsku. Tam się zatrzymam. Umocnię te punkty, w Wilnie zaś założę główną kwaterę i zajmę się w ciągu przyszłej zimy zorganizowaniem Litwy, która pała żądzą corychlejszego wyzwolenia z jarzma moskieskiego. Zobaczmy, kto z nas dwóch pierwszy się zniecierpliwi, czy ja, żywiąc wojsko kosztem Rosji, czy Aleksander, żywiąc je na koszt własnego kraju? Być może, że sam pojedę do Paryża, by spędzić tam ostrzejsze miesiące zimowe...

A gdy padło zapytanie, co będzie, jeśli Aleksander mimo zajęcia Litwy nie zgodzi się na pokój, odrzekł:

— W takim razie w roku następnym wyruszę w środek państwa rosyjskiego i będę cierpliwym w r. 1813, jak byłem nim w r. 1812. Rzecz cała, jak mówiłem już panu, polega głównie na cierpliwości...

Fatalizm dziwny, pchający go z nieprzepartą siłą ku Moskwie, nie pozwolił mu na przeprowadzenie tego planu, którego twórcą w znacznej części był polski generał...

Drugi projekt, którego twórcą był ks. Józef Poniatowski, również nie znalazł łaski w oczach Napoleona, choć częściowo uwzględniał go projekt Sokolnickiego...

Projekt ten polegał na szybkim marszu korpusu polskiego na Wołyń, celem zagarnięcia tam magazynów, wzniesienia insurekcji, oraz wpadnięcia na tyły armji naddunajskiej, stojącej na Wołoszczyźnie...

Wynikiem tego byłoby przede wszystkim odebranie Rosji najżyźniejszych terenów, a przez to sprawienie trudności w aprowidowaniu olbrzymiej armji, zdobycie żywności dla armji francuskiej, oraz odnowienie zakończonej niedawno przez pokój bukarzesteński wojny między Rosją a Turcją...

Napoleon jednak nie zgodził się na to, więc ks. Józef, zaliczony ze swoim korpusem do armji króla Hieronima, o którego zdolnościach wojskowych miał wyrobione zdanie, pociągnął ze swoim wojskiem z Warszawy przez Pułtusk, Ostrołękę, Nowogród i Raygród ku granicy rosyjskiej.

Trudny to był pochód w upały, przy braku prowiantu i furazu, powoli też wlekły się naprzód zastępy polskie, aż wreszcie w końcu czerwca stanął w Grodnie nad granicą...

Tam stanął przed nim wysłaniec cara Aleksandra z kwatery głównej w Wilnie, pułkownik Toll, z tajną misją zaofiarowania mu najwyższych dostojestw w podniesionem przez cara Królestwie Polskiem wzamian za porzucenie Napoleona.

Z godnością odrzucił ks. Józef tą propozycję, na przyjęcie której nie pozwalał mu honor, przez szacunek jednak dla cara Aleksandra i jego życzliwych dla Polski intencji, przyrzekł zachować ją w ścisłej tajemnicy...

Pod Grodnem wojsko polskie przekroczyło Niemen i z obozu stamtąd pierwszy książę Józef przesłał swój akces do Konfederacji Generalnej Królestwa

Polskiego w Warszawie, „nim jeszcze przystąpienie całego wojska... przysłać Jej będą w stanie...”

Za jego przykładem szły dywizje i pułki...

Charakterystyczny jest akces 17 dywizji, pisany ręką jej wodza, gen. Jana Henryka Dąbrowskiego, który brzmiał:

„Na odgłos wiążącego się narodu polskiego, pod hasłem Konfederacji Generalnej Polskiej, spieszymy podać naszą dłoń braterską, która, zawsze powodowana narodowym uczuciem, ten jeden miała zamiar zasłużyć sobie na ton Wielkiego Napoleona, aby ten oręż, którego nosimy, jedynie był użyty na odzyskanie straconej Ojczyzny...

Zapisując przeto w sercach naszych nieśmiertelną wdzięczność prawdziwemu naszemu Wskrzesicielowi, przystępujemy do tego aktu konfederacji z tą otwartością duszy i zapewnieniem, jako Polaka, a razem żołnierza, że nigdy nie schodząc z drogi cnoty i honoru, stanowimy naszemu właściwej, jedynie żyć, walczyć i umierać pragniemy dla imienia Polski. Niech żyje Polska i jej Wskrzesiciel!“...

Nieudolne dowództwo króla Hieronima przyczyniało się w znacznym stopniu do porażek i niepowodzeń...

Zatrzymawszy się niepotrzebnie przez pięć dni

w Grodnie, pozwolił wodzowi rosyjskiemu Bagrationowi wymknąć się z zastawionej na niego pułapki.

Doszło wreszcie w dn. 9 lipca do bitwy pod Mirem, w której wojsko Polskie poniosło znaczne straty...

W tym dniu idąca w przedniej straży dywizja konnicy gen. Różnieckiego, zbliżyła się do Miru. Opośd Miru dopadli ułani nareszcie tylną straż Bagrationa. Szwadron ułanów nie zwłócząc uderzył na kozaków i przepędził ich przez Mir. Aliści za Mirem liczba kozaków wzrosła ogromnie; pułkownik Radziwiński z całym swym pułkiem rzucił się z pomocą zagrożonemu szwadronowi. Wtem pięć pułków kozackich uderzyło na ułanów 3 pułku. Powstała zacięta walka. Ułani wyrąbali się z pierścienia nieprzyjacielskiego. Nadbiegł z pomocą gen. Turno na czele swoich ułanów, lecz wobec wzrastającej liczby nieprzyjaciół musiał się cofać przez Mir.

Pod Mir przybył tegoż dnia gen. Roźniecki z trzema pułkami ułanów i tam w obliczu nieprzyjaciela nocowała dywizja. Nazajutrz 1 lipca cała dywizja ruszyła naprzód i przeszła Mir, kierując się na Nieśwież.

Za Mirem jednak, pod Siennikowem, zawiązała się nowa bitwa. Kroczący na czele dywizji 7 pułk ułanów został zaatakowany przez nieprzyjaciela. Kilkanaście pułków kawalerji rosyjskiej, wsparte przez artylerję i dwa pułki strzelców, zaatakowały raptownie

dywizję Różnieckiego, która przez sześć godzin toczyła zacięty bój z przemagającą siłą nieprzyjacielską... Zagrożenie otoczeniem od lewego skrzydła zmusiło dopiero dywizję do cofnięcia się do Miru, gdzie otrzymawszy posiłki powstrzymała dalszy napór przeciwnika.

Straty rosyjskie w tej bitwie były znaczne bardzo, lecz nie mniej dotkliwe straty poniosła i strona polska, gdyż z dywizji ubyło 500 ludzi.

Winiono z tego powodu gen. Różnieckiego, lecz właściwym winowajcą był król Hieronim, który wbrew rozkazom cesarza cały pościg za Bagrationem prowadził bardzo wolno.

Wyczerpała się też wreszcie cierpliwość Napoleona, rozgniewał się na brata i dowództwo nad nim oddał marszałkowi Davoutowi. Obraził się tem król Hieronim, złożył dowództwo i wyjechał do Westfalji.

W wyniku tych wszystkich powikłań, dowództwo nad korpusami prawego skrzydła, dążącemi do połączenia się z korpusem Davouta, objął ks. Józef Poniatowski.

Ciężką wielce i przykrą była dotychczasowa rola jego przy królu Hieronimie... Już w samym początku kampanji, w pierwszych dniach lipca, zmuszony był zwracać się z zażaleniami do Napoleona. W raportach, przesłanych na ręce Berthiera, przedstawiał, że żołnierz jest niepłatny, otrzymuje tylko po pół racji chleba, siana niema dla koni, dowozy nie docho-

dzą wcale albo najnieregularniej, wielu ludzi pada ze znużenia, korpus zaczyna niknąć w oczach, zanim doszło do jakiej poważnej rozprawy... A jednocześnie prosił, aby mu „objaśniono jego stosunek względem króla Westfalji“, skoro bowiem „J. K. M. prawie ciągle przebywa przy V korpusie... moje położenie staje się nadzwyczaj drażliwem przy przedsięwzięciu jakiegokolwiek poruszenia niezawisłe od Jego woli“...

Napoleon, mimo że czuł bardzo dobrze słuszność tych zarzutów, lecz wiedząc zarazem, że niema na nie rady, przyjął bardzo źle te zażalenia ks. Józefa... Kazał mu też odpowiedzieć w sposób bardzo ostry:

„Jego Cesarska Mość był bardzo niezadowolony, widząc, że mowa o żołdzie, o chlebie, gdy idzie o pościg wroga; J. C. M. tem bardziej się zdziwił, że Książę jest sam w tych stronach z niewielką ilością wojska; skoro zaś gwardja cesarska, która forsownemi marszami przybyła z Paryża, zamiast mieć pół-racji, pozbawiona jest chleba i nie szemra, Cesarz z przykrością przekonać się musiał, że Polacy na tyle są złymi żołnierzami i na tyle nizko stoi duch w ich wojsku, że wspominają o podobnych prywacjach. J. C. M. sądzi, że więcej już o tem nie usłyszy.“

Oburzyły te niesprawiedliwe zarzuty ks. Józefa, odpowiedział też natychmiast, z godnością stając w obronie nietyle swojej, ile swego żołnierza.

„Wyrzuty, — pisał: czynione imieniem cesarza wojsku polskiemu z powodu złego ducha, jaki rzekomo w nim panuje, ponieważ wzmiankowałem o znoszonem przez nie niedostatku, byłyby nader dotkliwie, gdyby każdy dzień, każda godzina nie przynosiła dobitnych dowodów zupełnego poświęcenia, jakiem to wojsko jest ożywione. Nigdy żołnierz nie żalił się, zawsze okazywał zapał i poświęcenie. Nie będę więcej mówił o jego potrzebach, skoro taka jest wola cesarza, ale uważałem za swój obowiązek, podtrzymując energję i zapał wojska, przypominać równocześnie o jego niedostatku Temu, który ma we zwyczaju rozciągać ojcowską opiekę na wszystkich swoich żołnierzy.“

Próżno, ażeby odeprzeć te krzywdzące zarzuty, naglił ks. Józef korpus swój ze wszystkich sił, aże tylko pochód przyspieszyć...

Straszliwy ten pochód opisuje jeden ze współczesnych pamiętnikarzy:

„Wojsko nasze wlokło się po drogach piaszczystych między borami i bagnami, w czasie lipcowych upałów; ludzie padali z pragnienia lub umęczenia. Szeregi się mocno przeredzały, a wioski i miasteczka za nami napępiały się chorymi i znużonymi. Lecz trudna była rada, tyle dni straciwszy napróżno w Grodnie, w Nieświeżu i Słucku, chciano błąd naprawić, a ksiązę Poniatowski, zmartwiony wyrzutami

pędził jak mógł naprzód naszą piechotę, ażeby jak najprędzej dostać się do Dniepru.“

Powierzone mu przez Napoleona po odjeździe króla Hieronima dowództwo prawem skrzydłem, stanowiące jakby zadośćuczynienie za dotychczasowe wyrzuty i nieprzyjemności, przyjął ks. Józef ze zwykłą swoją skromnością i żywym poczuciem odpowiedzialności.

Uznawał je, jak sam pisał do Berthiera: „za znacznie przechodzącą moje siły i uzdolnienie“; podobnież w nader taktownych wyrazach zwrócił się z tego powodu do Davouta, z prośbą, aby marszałek w imię „stałej swojej przyjaźni... nie odmówił mi doświadczonej swej rady... którą przyjmę zawsze z tem poszanowaniem, jakie każdy wojskowy winien jest wykazanym tylekroć wyższym jego talentom“...

Starał się ks. Józef jak mógł odrobić błędy króla Hieronima, lecz na nic się to nie zdało. Z trudem wielkim korpus jego zaledwie w dn. 28 lipca dowlókił się do Mohylowa. Tam z rozkazu Napoleona zatrzymał się na dłuższy wypoczynek.

Stan wojska polskiego po przybyciu do Mohylowa był okropny, ubytek w szeregach równał się kłęsce. Cały korpus liczył niespełna 23.000 ludzi, dywizje Zajączka i Kniaziewicza liczyły razem 2000 ludzi pod bronią, niektóre pułki piechoty liczyły po 400 ludzi.

Pisał też ks. Józef do sztabu głównego:

„Jestem sam przerażony tak znacznem osła-

bieniem regimentów, gdy ich stan czynny w chwili wyruszenia w pole porównywanym z obecnym, Jednakowoż niepodobna się dziwić takiej stracie, jeśli uwzględnić spustoszenia, wyrządzone przez szkorbut skutkiem ciężkich robót ziemnych (koło twierdz), do jakich była używana armja Księstwa aż do późnej jesieni roku zeszłego. Nadmiar jedna trzecia szeregów zapełniona została przez świeżego rekruta, który od kilku ledwie tygodni będąc w służbie czynnej, nie wzwyczajony jest do trudów wojennych. Łatwo więc zrozumieć, iż armja polska, od blisko dwóch miesięcy w ustawicznym ruchu, często pośród okolic zgoła wycieńczonych, musiała stopniowo przereźdzać się nader raptownie“...

Rzeczywiście, pochód przez Litwę do Mohilowa, obejmujący najdziksza część kraju, wśród ludności, usposobionej dla przybyszów wrogo, wśród terenu leśnego i bagnistego, był nader trudny. Lecz i tu, według opisów pamiętnikarza maszerowano podawnemu:

„Zrana pobudka, po zakąsce chleba i wódki wojsko pod bronią stawało; dywizja pierwsza wyruszała ze stanowiska swojego i rozciągała się po drodze, następnie wszystkie inne. To trwało dwie godziny przynajmniej. Czoło ko-

lumn szło pospiesznie, ostatnie plutony zadyśzane doganiały; wśród marszu mały odpoczynek, w czasie którego żołnierze, jak niegdyś Gedeona, rzucali się do najbliższej wody dla ugaszenia pragnienia; potem dalej maszerowano, aż do noclegu, gdzie rozkładano się w pozycji jak przed nieprzyjacielem, z placówkami, wedetami i t. d. Dopieroż budowanie szałasów, rozpalanie ognisk, posyłki za wodą, żywnością, drzewem, tak że nawet w miesiącu czerwcu, gdzie dzień tak długi, żołnierz zgłodniały ledwie o godzinie szóstej wieczorem doczekał się strawy, a najczęściej zmęczony rzucał się na ziemię i nie przebudzał się jak zrana, ażeby resztą z kociołków posilić się do następnego pochodu...“

A tymczasem Napoleon po zajęciu Wilna, gdzie łudził się jeszcze napróżno nadzieją zawarcia pokoju, gdzie czekał aż dwa tygodnie na odpowiedź cara Aleksandra, a wzamian usłyszał od jego wysłańca, gen. Bałaszowa, na pytanie o drogę do Moskwy, odpowiedź: „Drogę do Moskwy wybrać można jaką się chce; Karol XII obrał drogę przez Połtawę“; — wyruszył wreszcie naprzód, ażeby zgnieść armję Barclaya de Tolly.

Przyszło do bitwy nad Dźwiną, przy przeprawie do Witebska, pod Ostrowcem... Dwa dni toczył się bój zacięty, w którym pułki polskie, przydzielone do

Wielkiej Armji wsławiły się męstwem, i w dn. 26 lipca wojska rosyjskie zmuszone zostały do odwrotu.

W dn. 30 lipca dotarto do Witebska, przed którym stały w szyku bojowym wojska rosyjskie... Czyniono przygotowania do bitwy, gdy nieprzyjaciel naraż w nocy wycofał się w stronę Smoleńska.

Zajęły wojska francuskie płonący i ogołocony ze wszystkiego Witebsk, a zarówno Napoleon, jak i wojska polskie, napróżno usiłowali odnaleźć w nim ślady dawnej polskości.

W Witebsku też stanął przed cesarzem Antoni Potocki, szef szwadronu, z wieścią bardzo smutną od ks. Józefa o wymknięciu się z sidła Bagrationa.

Uniósł się gniewem cesarz, i zapominając o tem, że głównym winowajcą tego jest właściwie brat jego, król Hieronim, obrzucił potokiem zniewag nieobecnego i niewinnego zupełnie wodza polskiego...

I wnet potem nowa wieść fatalna... Szwedzki następca tronu, były marszałek Bernadotte, zapominając o tem, co zawdzięczał Francji i Napoleonowi, zawarł sojusz z Rosją, zwracając oręż przeciwko swemu dobroczyńcy i wodzowi...

I jeszcze nowa wieść, dopełniająca łańcuch niepowodzeń, które odtąd stale ścigać miały Napoleona... Oto traktat turecko-rosyjski, skutkiem przekupstwa ministrów tureckich, przy wydatnem poparciu Anglii, został ratyfikowany, a stojąca nad Dunajem armja rosyjska pod dowództwem admirała Czyczakowa, mogła być użytą przeciw Napoleonowi...

Przed Napoleonem wobec tylu ciężkich przeciwnieństw stanęło nader trudne zadanie... Co czynić dalej?... Znów wysunęli mu Polacy, z gen. Sokolnickim na czele, projekt zatrzymania się w Witebsku, zorganizowania Litwy, odbicia jej Rosji i wywołania powstania Ukrainy, Wołynia i Podola...

Przytem panujące na tyłach armji francuskiej rozprężenie, tłumy maruderów, dopuszczających się grabieży, wymagało energicznej i silnej ręki celem doprowadzenia do porządku...

„Długo się ważył Napoleon... Miał jeszcze poważne rezerwy nad Bugiem i nad górnym Niemnem, ale większość tych sił stanowili Austriacy, którzy przymyśliwali o zdradzie, a wodzem ich był ks. Schwarzenberg, ten sam, który już w r. 1809 porozumiewał się z Rosją...

Rozważał sytuację Napoleon, rozdrażniony tem ustawicznym wymykaniem się wroga, którego pragnął znaleźć, pragnął zwyciężyć, ażeby tem zakończyć wojnę...

I oto pada decyzja...

Armja wyruszy naprzód, by znaleźć wroga, stoczyć z nim zwycięską bitwę i podyktować warunki pokoju...

W wyniku tego Wielka Armja wyruszyła w pochód na Smoleńsk i Moskwę, wyruszyła w fatalny marsz naprzód, który miał zakończyć się klęską...

XXI.

Przebywający w Mohylowie na odpoczynku ks. Józef, otrzymał tam od Napoleona rozkaz, zarządzający rozwiązaniem prawego skrzydła, oraz odkomenderowanie dywizji Dąbrowskiego do Bobrujska.

Doszły go też wieści o zachwianiu w dowództwie, co słusznie, zdaje się, kładł na karb podszeptów nieprzyjawnego mu, a pozostającego stale przy boku Napoleona, gen. Sokolnickiego, który liczył na to, że je po nim obejmie...

Z ciężkiem sercem opuścił ks. Józef Mohylów i po przeprawieniu się przez Dniepr, forsownym marszem, robiąc w przeciągu trzech dni 20 mil, przez Szklów i Romanów, w połowie sierpnia złączył się z Wielką Armją pod Smoleńskiem.

Przyjęcie, przygotowane mu tam przez Napoleona, było bardzo burzliwe. Zarówno ks. Józefa, jak i jego szefa sztabu, gen. Fiszera, obrzucił Napoleon stękiem wyrzutów, wytykał wszystkie błędy, poniesione straty w szeregach, jednym słowem starał się wyładować na nich swe niezadowolenie, swój jakby niepokój, jakim przejmowała go rozpoczęta kampanja...

Z godnością, z umiarkowaniem, lecz nie mniej

stanowczo odpowiedział mu ks. Józef na wszystkie zarzuty, a gdy wnet potem odbył Napoleon przegląd korpusu polskiego, jakby chcąc powetować niedawny wybuch, wyraził mu swe zadowolenie i podziękowanie.

A tymczasem połączona już z korpusem polskim Wielka Armja szykowała się do zdobycia Smoleńska, który po bitwie pod Krasnem, zwycięskiej dla armji Napoleona, zdołał obsadzić silną armją gen. Bagration.

W dn. 16 sierpnia, nazajutrz po imieninach Napoleona, uroczyste obchodzonych przez całą armję, ruszyły pod Smoleńsk rankiem pułki jazdy Murata, lecz obsadzoną silnie przez wojska rosyjskie starą fortecę, o którą tyle bojów toczyła Polska z carami Moskwy, trzeba było zdobywać siłą...

Komendant Smoleńska, gen. Rajewski, ufortyfikował go potężnie, czyniąc wprost niezdobytym.

Łudził się Napoleon, że pod tem miastem zdoła wydać walną bitwę całej armji nieprzyjacielskiej. Nie pragnął jej jednak wódz naczelny rosyjski, Barclay de Tolly, który, zaopatrzwszy twierdzę w silną załogę, nakazał gen. Rajewskiemu stawiać silny opór, Bagrationa wyprawił za Dniepr celem osłaniania odwrotu, sam zaś z głównymi siłami wycofywał się ku Moskwie.

Zajmowały korpusy francuzkie jeden za drugim wyznaczone im stanowiska. Korpus V ks. Józefa miał zająć prawe skrzydło przy korpusie Davouta, które-

mu powierzono zdobycie najtrudniejszej pozycji — bramy Małachowskiej i przedmieścia Mściławskiego.

Gdy korpus V szedł na wyznaczoną pozycję, defilowały przed cesarzem przeredzone plutony jego z rozwiniętymi sztandarami... Grzmiącymi okrzykami, pełnymi otuchy i zapału, witało wojsko Napoleona, a ten, jakby chcąc wynagrodzić wodzowi polskiemu krzywdę wyrządzoną mu przed tem, ostentacyjnie rozmawiał z nim serdecznie i żywo podczas defilady, obejmując go z poufałością przyjaciela...

W dn. 17 sierpnia wojska w mundurach paradnych zajęły stanowiska, gotowe do boju... Cesarz znów przybył na stanowisko V korpusu, aby mu wskazać przedmiot ataku — przedmieścia Nikolskie i Raczyńskie.

Czekano na znak do szturmu, lecz cesarz go nie dawał, łudząc się ciągle, że wróg, wyjdzie w pole, aby stoczyć bitwę...

Napróżno jednak...

Po otrzymaniu ostatnich raportów i zrekonoskowaniu murów i wałów fortecy, dał wreszcie Napoleon upragniony znak...

Na całej linii ryknęły działa, a po ataku korpusów Ney'a i Davouta, po spędzeniu konnicy nieprzyjacielskiej przez Murata, przyszła kolej na Polaków...

„Książę Józef Poniatowski, naczelny wódz, wszędzie się znajdował wśród niebezpieczeństwa“, — pisze dr. Marjan Kukiel: Dywizja generała Zajączka uderzyła na przedmieście nikolskie. Wśród gradu kul

pułki 3, 15 i 16 piechoty przebyły jary przedmiejskie; woltażerowie wszystkich bataljonów, rozsypali przed frontem, celnym ogniem spędzili strzelców rosyjskich z przedmieścia.

Sam stary generał Zajączek, przy wszystkich swoich przywarach prawdziwy rycerz barski, odważny i rycerski, wiódł swoją piechotę aż pod mury fortecy, gdzie rażony został kulą rosyjską.

Z równem męstwem walczył drugi generał dywizyjny polski, nieustraszony Kniaziewicz. Dywizja jego szturmowała dalej na prawo. Na czele poza gęstą linią woltażerów posuwał się pułk 2 piechoty. Przed frontem pierwszej grenadjerskiej kompanii pierwszego bataljonu byli widni generał Grabowski, pułkownik Krukowiecki i adjutant ks. Józefa, Kicki. Pułk 2 miał dotrzeć poprzez ulice przedmieścia raczyńskiego do wyłomu w murze. Drogę wskazywał żołnierz, który dawniej służył w pułku rosyjskim, załogującym w Smoleńsku i znał dobrze miasto.

Grenadjerzy 2 pułku wpadli już w ulicę na wprost wyłomu, już pochylają bagnety, zdwajają kroku — gdy grad kul, miotanych przez 2 armaty rosyjskie i setki kozaków zasypał szturmujących.

Pada przeszyty kilkoma kulami generał Grabowski, pułkownik Krukowiecki ciężko ranny z placu boju musi ustąpić, szereg oficerów pada zabitych i rannych.

Pułk 2 cofa się, by wkrótce powrócić do nowego,

również bezskutecznego szturmu. Popiera go celnym ogniem doskonała artylerja polska; obok Pelletiera, odznaczył się w tym dniu znakomicie podpułkownik Józef Sowiński, późniejszy generał i obrońca Woli.

Tymczasem artylerja polska, złączona w baterję z 42 dział pod wodzą Pelletiera, zmusiła najpierw do milczenia potężną baterję rosyjską, rażącą Polaków z prawego brzegu rzeki, poczem, po daremnym wysiłku w celu rozbicia murów, biła w ich parapety, przerzucała przez nie pociski, zasypywała niemi miasto, sięgając aż do mostów na Dnieprze.

Do wieczora przeciągnęła się walka pod Smoleńskiem. Mimo wysiłków całej artylerji francusko-polskiej, liczącej 150 armat, nie można było zrobić wyłomu w murach, okalających twierdzę, a bez wyłomu nie można było się wdrzeć do miasta. Płonęły jednak przedmieścia, w których pożar wznieciły granaty, a które ze swej strony podpalałi sami oblężeni. Wybuchaly pożary wewnątrz fortecy.

Bohaterskie szturmy piechoty francuskiej i polskiej skończyły się tylko zajęciem przedmieść Smoleńska, za murami którego piechota rosyjska zaciekle się broniła, uniemożliwiając wdarcie się.

Noc przerwała walkę. Smoleńsk, zapalony granatami, gorzał. Olbrzymia łuna pożaru zakrwawiła niebo. W nocy rozeszła się wśród Wielkiej Armji pogłoska, że Rosjanie opuścili miasto. W pojedynkę ze swym adjutantem, Romanem Sołtykiem, poszedł to sprawdzić, wdzierając się, przez szczeliny obwa-

rowań do twierdzy, gen. Sokolnicki; jednocześnie zaś wdzierające się do miasta przededniem pojedyncze kompanje V korpusu zastały je puste.

Istotnie, wróg nie mógł trzymać się dłużej w bombardowanem mieście; ustąpił, podpalając ze swej strony olbrzymie magazyny. Co mogło, uchodziło za wojskami Dochtorowa. Reszta ludności, zamiast myśleć o gaszeniu szerzącej się pożogi, w cerkwiach zebrana, modliła się, nawpół obłąkana ze strachu. Ręka francuska i polska ratowała przed pożarem resztki miasta.

Smoleńsk był zdobyty.“

Drogim kosztem okupiła armja francuska to zwycięstwo; od 8 — 10.000 zabitych i rannych zaslalo pobojowisko, a w hekatombie tej Polacy stanowili lwią część — 1200 samych poległych, w czem 46 oficerów...

Męstwo Polaków wzbudziło podziw ogólny wojsk francuskich, ze wszystkich stron sypaly się pochwały, a w pierwszym rzędzie z ust Napoleona...

Będąc naocznym świadkiem mężnych czynów wojsk polskich, na odbytych wkrótce po bitwie przeglądzie wojsk starał się jak najzaszczytniej wyróżnić korpus V, głośno dziękował i chwalił, nagradzał awansami, rozdał 88 krzyżów legji... Powszechnie też mówiono w wojsku, że były to przeprosiny, danie osobiście publicznego zadośćuczynienia ks. Józefowi za wszystkie wyrządzone mu przykrości...

Chciał skorzystać z okazji ks. Józef... Prosił ce-

sarza o pozwolenie pójścia wraz z Davoutem na Kijów, według dawnego swego planu, błagał, jak mówiono na klęczkach nawet, lecz Napoleon nieugięcie stał przy swoim i odmówił mu...

Z rozkazu cesarza zarządzono prawdziwy odpoczynek pod Smoleńskiem, podczas którego wysłane naprzód korpusy Ney'a i Murata, po przeprawieniu się przez Dniepr, starały się zbadać, w którą stronę będzie się cofać armja rosyjska, czy na Petersburg, czy na Moskwę...

W dn. 19 sierpnia przyszło do krwawej bitwy tych korpusów z cofającą się armją rosyjską pod Walutynową Górą... W bitwie tej obydwie strony poniosły bardzo dotkliwe straty, Rosjanie zdołali jednak się wymknąć i zachować swe komunikacje z Moskwą...

Wielka Armja zaczynała już odczuwać wielki niedostatek, z powodu braku dowozów głód nękał żołnierzy, a odcięcie od podstaw, od magazynów, oraz wrogi nastrój ludności nie pozwalały na należyte zaopatrzenie wojska w żywność...

Ażeby utrzymać ducha w wojsku, Napoleon odbywał częste przeglądy armji, sypiąc szczerze awansami i krzyżami legji... A czar, jaki roztaczał, dobre spojrzenie mądrych oczu jego, jego odezwania się proste, koleżeńskie, wprowadzały w zachwyt ludzi, gotowych oddać za niego życie...

Kapitan Brandt tak pisze o tem:

„Cześć, jaką mieli żołnierze dla swego wiel-

kiego wodza, była czemś nakształt religijnego kultu i ludzie, którzy byli z nim w bliższych stosunkach, otrzymywali przez to rodzaj święceń. Oficerowie i żołnierze, z którymi cesarz rozmawiał, uważani byli za wybranych; nagrody, otrzymane z jego ręki przed frontem, uważane były za wyróżnienie nie mające ceny, i nikt nie omieszkiał brać ich w rachubę przy zdarzonej sposobności. Widziałem nieraz, jak ranni, których życie uchodziło, zbierali resztę sił, żeby gasnącym głosem wydać ostatni okrzyk na cześć imperatora. Jest to przywilej wielkich duchów, które, podbijając słabsze natury, biorą je pod swoje jarzmo, a zależność ta nigdzie nie objawia się silniej, jak w stosunku żołnierza do wodza...“

Kultem tym, narówni z armją francuską, przepojona była cała armja polska.

Pięć dni trwał wypoczynek pod Smoleńskiem, i przez ten czas cały namyślał się Napoleon, co czynić dalej?... Poddawał rewizji wszystkie poprzednie projekty, czyby nie wrócić do nich, nie zatrzymać się na miejscu przez zimę, zorganizować Polskę i Litwę, odnowić siły Wielkiej Armji i wypełnić magazyny na przyszłą kampanję...

Przemogły jednak w decyzjach jego względy inne... Toć przecież na tyłach jego znajdowała się prawie cała Europa, podbita, zależna od niego, a

jednak przez to samo wroga, knująca spiski, czekająca tylko na sposobność, by skorzystać z zachwiania się olbrzyma i odzyskać swą niezależność...

Tej Europie musi znów zaimponować zwycięstwem nad Rosją, gdyż tylko tem, tylko potęgą oręża swego w jarzmie utrzymać ją zdoła..

A przytem zimowanie w kraju pustym, bez ludności nieomal, bez zasobów, w klimacie, do jakiego większość wojsk jego nie była przyzwyczajoną, nie zachęcało go bynajmniej...

Decyduje się więc na pochód naprzód, na poszukiwanie wroga, z którym pragnie coraz goręcej stoczyć walkę, zwycięską a ostatnią bitwę...

Więc w dn. 22 sierpnia ruszyła Wielka Armja w pochód, ruszyła traktem moskiewskim na poszukiwanie wroga... Na prawem jej skrzydle szedł, jak przedtem, korpus V ks. Józefa z dywizją jazdy, złożoną już tylko z 4 pułków, na czele...

Pochód ten, przeważnie drogami nędznymi lub bezdrożem, wyczerpywał niezmiernie i tak już przemęczonego żołnierza.

„Niepodobna sobie wystawić, — pisał o nim jeden z oficerów polskich: trudności, które spotykały co moment naszego wodza, księcia Józefa; marsz częstokroć bez śladu ludzkiego, przez błota i lasy; ani karty dobrej topograficznej, ani przewodnika, gdyż wszyscy mieszkańcy uciekali przed nami. Po większej części

kierowaliśmy się tylko na głos dział, które prawie co rano brzmiały w przedniej straży króla Joachima. Rosjanie ustępując, Francuzi zajmując stanowiska, zawsze zamieniali kilka strzałów armatnich i na tem się kończyło, a dla nas to była jedyna wskazówka, na jakiej wysokości i w jakim oddaleniu zatrzymać się mamy. Pochód zatem naszego wojska był niebezpieczny, trudny i głodny..."

Zawiodła spodziewana bitwa pod Dorohobużem, gdzie Rosjanie przygotowywali się do jej stoczenia; nie doszło do niej i pod Carewem Zajmiszczem, natomiast nowy wódz rosyjski, feldmarszałek Kutuzow, powołany na miejsce Barclaya de Tolly, któremu zarzucano zwleknięcie z wydaniem bitwy, a nawet, jako cudzoziemcowi, i zdradę, zdecydował się stoczyć bitwę w pobliżu Moskwy, na polach wsi Borodino, pod Możajskiem.

W dn. 1 września armja francuska przybyła do Gzacka, gdzie Napoleon, spodziewając się bitwy, zarządził odpoczynek, celem zaprowadzenia porządku w szeregach i doczekania się spóźnionych oddziałów.

Męczące pochody i zacięte bitwy wykruszyły znaczną ilość ludzi z szeregów Napoleona. W dn. 2 września armja jego pod Gzackiem liczyła 90.507 piechoty, 29.129 jazdy, 15.493 artylerji, razem 135.219 ludzi i 587 dział.

Znacznie większy ubytek w ludziach był w kor-

pusie polskim, który liczył zaledwie 8340 piechoty, 1658 jazdy, 36 dział artylerji polowej, 18 dział pułkowych 6 artylerji konnej...

W dn. 4 września rozpoczęły się boje wstępne z arjergardą rosyjską pod klasztorem Kołockim, a w dn. 5 września przypuszczono szturm do wielkiej reduty, usypanej pod wsią Szewardynem.

Bój rozpoczął korpus polski uderzeniem na prawą flankę. Rosjanie zacięcie bronili tej pozycji, lecz pod silnym, mężnym naporem wojsk polskich wieczorem już ustąpić musieli, cofając się na pola wsi Borodino, do głównych sił swoich.

W boju tym kula działa urwała nogę podpułkownikowi artylerji, Józefowi Sowińskiemu, przyszedł mu bohaterowi Woli. Mężny ten żołnierz nie zszedł jednak z posterunku, tylko po opatrunku, leżąc, wydawał rozkazy...

W boju tym również wślawił się kapitan 16 pułku piechoty, Jan Skrzynecki, na którego kompanję runęli w ataku kirasjerzy rosyjscy...

Mężny kapitan nie stracił ani na chwilę zimnej krwi, zwinął swoją kompanję w czworobok, przypuścił kirasjerów na bliski dystans, a potem morderczym ogniem położył pokotem.

Ten mężny czyn wzbudził taki podziw i zachwyty w oficerach francuskich, będących świadkami jego, że zwrócili się do pułk. Weyssenhoffa, przybywającego na plac boju, ze słowami:

— Spieszcie, komendancie, do księcia Poniatow-

skiego i zdajcie mu sprawę z zachowania się tej niezwyciężonej kompanji; to najświetniejszy czyn wojenny, jaki można widzieć. Powołajcie nas wszystkich jako świadków naocznych...

Po zdobyciu reduty szewardyńskiej, dzień następny był dniem odpoczynku przed bitwą. Czynnio no przygotowania do niej, czyszczono broń, mundury, uzupełniano amunicję...

Zmęczeni długim pochodem żołnierze radowali się jej, widząc w niej wyzwolenie z dotychczasowych udęk...

Napoleon wraz z królem Joachimem Muratem i całym sztabem przybył na stanowisko korpusu polskiego, ażeby zrekonoskować teren przyszłej walki...

A gdy nadszedł ranek dn. 7 września w obozie francuskim rozbrzmiały rozgłośnie wszystkie orkiestry pułkowe, uroczyście witając dzień bitwy... Przed frontem uszykowanych pod bronią pułków odczytywano rozkaz cesarza:

„Żołnierze! — przemawiał do swych mężnych a wiernych zastępów, Napoleon:—zbliża się teraz bitwa, której tak mocno pragnęliście! Od was zależy zwyciężyć! Zwycięstwo jest nam potrzebne; da nam podostatkiem wszystkiego i dobre leże zimowe; pozwoli oraz na prędki powrót do ojczyzny. Sprawcie się tak, jak pod Austerlitz, Frydlandem, Witeb-

skiem; niech najpóźniejsi potomkowie z chlubą o waszem sprawowaniu się w tym dniu wspominają: byli oni w owej wielkiej bitwie pod murami Moskwy!...”

Odezwę cesarską z niemniejszym od francuskich zapalem przyjęli żołnierze polscy, palący się do boju, przerywając odczytywanie jej okrzykami:

— Niech żyje cesarz! Vivat!...

Korpus ks. Józefa umieszczony był na skrajnem prawem skrzydle, w gąszczach leśnych, z poleceniem atakowania wsi Uticy i położonego nad nią kopca, panującego nad lewem skrzydłem rosyjskiem.

Podczas gdy bitwa rozgorzała w środku i na lewem skrzydle, na prawem rozgrzmiały armaty ks. Józefa... Ruszyły zastępy polskie do ataku i po zaciętym boju zdobyły wieś Uticę, wypierając z niej wroga, poczem ks. Józef, widząc, że połowa korpusu rosyjskiego odwołaną została z pola bitwy, ruszył do szturm na drugą pozycję, na ów kopiec, okryty dymami dział, na nim ustawionych...

Długo toczył się tam bój zacięty, nie posuwając się nic naprzód, gdyż ks. Józef nie decydował się uderzyć na wroga masą.

„Ile razy zdarzyło mi się widzieć księcia Poniatowskiego,—pisze w swych pamiętnikach gen. Kołaczkowski: zawsze wprowadzał pojedynczo bataljony w ogień, gdzie sam rycerską

piękną swoją postacią odznaczał się od wszystkich; nigdy nie pmaiętam jednak, aby kilka bataljonów odrazu wysłał z rezerwą, albo z drugą linią w odwodzie. Był to błędny zwyczaj z austriackiej szkoły przyjęty, który niewiele dokazawszy, tępił naszą piechotę“...

Rzucił ks. Józef bataljon za bataljonem w ogień, kopiec przechodził z rąk do rąk, a gdy przyszły Rosjanom posiłki, cofać się zaczęły szyki polskie.

Wtedy podpułkownik Blumer, mając przed sobą walącego w bęben dobosza, na czele zaledwie 50 ludzi, z gromkim okrzykiem „hurra!“ runął na wroga, który, myśląc, że to nadeszły silne rezerwy, cofać się zaczął w popłochu...

Zniecierpliwiony długą walką ks. Józef przypadł do dywizji Kniaziewicza, a wydawszy rozkazy jej dowódcy, sam stanął na czele żołnierzy i z okrzykiem:

— Hej, chłopcy, naprzód, hurra! — poprowadził ich do ataku.

Bezdadną masą rzucili się za nim porwani zapalem żołnierze, lecz atak ten nie dał w ich warunkach żadnych wyników.

Usłuchał wtedy ks. Józef rady Kniaziewicza i o godzinie pierwszej w południe dał znak do odwrotu na pozycję zdobytą rano koło Uticy, gdzie zarządził wypoczynek przed przystąpieniem do stanowczej rozprawy.

A tymczasem na całym froncie wrzała walka co-

raz zaciętsza, coraz gorętsza, o wielką redutę i o wieś Semenowskoje zwłaszcza...

Pułk za pułkiem szły do boju, zaścielając gęsto zabitymi i rannymi plac bitwy, a nie brakło wśród nich i polskich... Zmaganie się o zwycięstwo przybierało wprost charakter rzezi, w której przeciwnicy nie ustępowali sobie wzajemnie ani na krok...

Krótko trwał wypoczynek na prawem skrzydle... Na rozkaz Napoleona ks. Józef wszczął znów atak, przy pomocy jednej z dywizji korpusu westfalskiego... Jazda polska przedarła się na tyły wroga, grożąc mu otoczeniem, odcięciem od swoich, wobec czego, nie czekając nawet na atak piechoty polskiej, opuścił on kopiec, dążąc do połączenia z głównymi siłami na linii rezerw...

Słońce kłoniło się ku zachodowi, oblewając purpurą promieni swoich ponure, zbroczone krwią, zasłane stosami zabitych i rannych pole bitwy pod Borodino, na którym wygasiał już bój, zakończony zwycięstwem Wielkiej Armji...

Drogo jednak okupiła armja francuska to zwycięstwo, gdyż stratą 45.000 ludzi w zabitych i rannych, to jest prawie trzeciej części...

Daleko większe były straty armji rosyjskiej, gdyż sięgały 60.000 w zabitych i rannych...

Korpus V polski stracił w zabitych i rannych 1800 ludzi, znaczne również straty poniosły pułki polskie, przydzielone do korpusów francuskich.

A gdy nazajutrz cesarz Napoleon objeżdżał pole bitwy, nie mógł na roztaczający się przed nim straszliwy widok powstrzymać się od łez i z trudnością tłumił głębokie wzruszenie...

Gdyż widok ten był zaprawdę przerażający. Oto opis jednej tylko reduty według naocznego świadka:

„Opisać widok, jaki przedstawiał szaniec Rajewskiego, jest wprost niepodobieństwem. Rzeźliwość przekraczała tam wszystko co najokropniejszego może wymyślić ludzka wyobraźnia. Ludzie, konie, żywi, ranni, zabici, leżeli jedni na drugich warstwami po sześciu i ośmiu, pokrywając szeroko i daleko wszystkie drogi, wiodące do reduty, zapelniając fosy i wnętrza szanca“...

Wydawszy rozporządzenia co do pogrzebania poległych i opieki nad rannymi, wyruszył nazajutrz Napoleon na czele Wielkiej Armji do Moskwy, staczając po drodze drobne utarczki z cofającą się Armją rosyjską...

W dn. 14 września stanęła Wielka Armja na górach Worobjowych, z których roztaczał się przeczudny widok na prastarą okolicę carów, miasto nawpół wschodnie, o tysiącach błyszczących kopuł niezliczonych cerkwi...

Długo wpatrywał się Napoleon w miasto, które

stało się jego zdobyczą, długo oczekiwał na przybycie deputacji, poddającej mu gród...

A gdy nie zjawiała się, na rozkaz jego ruszyła przednia straż pod wodzą Murata, by zająć Moskwę...

A na czele jej kroczył polski pułk złotych huzarów pod wodzą Umińskiego...

XXII.

Moskwa była pusta... Większość mieszkańców opuściła ją wraz z armją, a ci, co pozostali, z nienawiścią patrzeli na zwycięzców...

Napoleon zamieszkał w Kremlu a tegoż jeszcze dnia, 15 września, za wszystkich stron miasto płonąć zaczęło. To mieszkańcy, oraz pozostawieni umyślnie w mieście emisarjusze gubernatora Moskwy, Rostopczyna, podpalali gmachy publiczne i domy, ażeby najeźdźców pozbawić dachu nad głową...

W armji francuskiej pękły więzy dyscypliny, zapłonęła żądza zemsty i rozpoczął się rabunek nagromadzonych w mieście bogactw, których wywieźć nie zdołano... Działy się rzeczy ohydne, potworne, a ku chwale wojsk polskich podkreślić należy, że nie brały one w tem żadnego udziału...

W płonącej Moskwie cesarz rozmyślał nad dalszym planem działania... Choć wiedział dobrze, że wobec takiej zaciętości wroga niema nawet mowy o pokoju, próbował jednak nawiązać mici rokowań, słał do cara Aleksandra gen. Lauristona z propozycjami, choć wiedział, że na nie odpowiedzi nie będzie...

A więc nowy plan... Pochód na Petersburg, od którego oddziełało zaledwie 15 dni marszu...

Lecz tu wystąpili ze sprzeciwem wszyscy marszałkowie z wyjątkiem Eugenjusza Beauharnais. Dość już wojny, dość cierpień, wszyscy chcą pokoju, zwłaszcza że zbliża się zima, która w tych stronach dla ludzi południa i zachodu jest morderczą...

A wokoło Moskwy krążyły wojska Kutuzowa, z którymi napróżno staczał walki mężny Murat i książę Józef Poniatowski, który zaledwie po dwudniowym odpoczynku w Moskwie, wyruszył w stronę Kaługi, by odpędzać już snujące się pod Moskwę oddziały wraże, dążące do przecięcia dróg odwrotowych z Moskwy...

W tych warunkach przyszło w dn. 29 września do bitwy pod Czarykowem...

Ks. Józef z korpusem V szedł na prawem skrzydle korpusu Murata, gdy w lesie pod Czarykowem przyszło do starcia jazdy polskiej z kozakami, a potem, po przejściu lasu, z przeważającą liczebnie jazdą rosyjską, stojącą na polach pod samą wsią.

Szarżę jazdy nieprzyjacielskiej jazda polska powstrzymała, a nadbiegły z piechotą na plac boju ks. Józef rozkazał tejże zająć wieś i lasek. W ataku na bagnety dokonała piechota tego, wdarła się do wsi, zdobyła cerkiew, obwiedzioną działami, i posiadłszy w niej, jak w fortecy, prażyła gęstym ogniem atakującego przeciwnika...

Po zajęciu lasku i wsi wyteżył ks. Józef wszystkie siły na odparcie ustawicznych ataków wroga, sam prowadząc pułki do boju, tak że przez chwilę znalazł

się w niebezpieczeństwie i sam wyrąbywać sobie musiał szablą drogę z pośród nieprzyjaciół... i

Odparto wszystkie ataki wroga, nawet powtórny, wieczorny, a w obawie nowego, nocnego, rozkazał ks. Józef żołnierzom, mimo zmęczenia, stać z bronią w rękę noc całą wśród przejmującego zimna i ulewy.

Bój ten zwycięski okupiono bardzo drogo, gdyż stratą 30 oficerów, 160 żołnierzy zabitych i 300 rannych...

W ustawicznych tych walkach kurczył się znacznie stan liczbowy korpusu polskiego, dochodząc zaledwie do 8000 żołnierzy... Zwinięto też we wszystkich pułkach trzecie bataljony, pozostałe jednak dwa miały nader niski stan liczbowy...

Podobnie oplakany był stan jazdy polskiej...

Lecz mimo trudy i straty w całym wojsku polskim panował duch doskonały. Żołnierz zachowywał porządek i rygor, które mu wpoił wódz naczelny, ks. Józef, ufał swym wodzom, pokładał wiarę w ich męstwo i rozum, oraz w siłę swego ramienia.

Zalety te wszystkie uwydatniły się szczególnie podczas bitwy pod Winnikowem, gdzie w dn. 18 października na niespodziewający się ataku korpus Murata uderzyły znaczne siły wojsk Kutuzowa.

Francuzi, którzy z racji przybyłych z Moskwy zapasów, wyprawili sobie ucztę, poszli w rozsypkę, a wtedy Rosjanie uderzyli na stojący w pogotowiu do boju korpus ks. Józefa... Zawiązała się zacięta bitwa, a tymczasem pod osłoną korpusu V formowały się

rozbite oddziały francuzkie, ażeby rozpocząć odwrót ku Woronowu...

Bój zacięty trwał na całej linii, pułk 3 pod wodzą pułkownika Blumera otoczony został ze wszystkich stron przez masy wrogów, a ks. Józef, zaatakowany od skrzydła, nie mógł mu dać żadnej pomocy...

Uważano już ten pułk za wyrżnięty lub wzięty do niewoli, lecz Blumer nie stracił ani na chwilę zimnej krwi, sformował swoich żołnierzy w kolumny szturmowe, runął na wroga i ocalając nawet działa, przebił się do swoich.

W bitwie tej wsławił się gen. Kniaziewicz, który natchnąwszy swym bohaterskim duchem żołnierzy, sformował ich w czworoboki, pod ich osłoną odprowadził korpus Murata do wsi Woronowo, gdzie ustał pościg nieprzyjacielski...

Stracił w tej bitwie korpus polski 500 ludzi, lecz największą stratą, klęską nieomal, była śmierć szefa sztabu, gen. Stanisława Fiszera, który, mając strażką rękę, mimo nalegań ks. Józefa, nie chciał opuścić placu boju, aż druga kula trafiła go w czoło i położyła trupem...

Nadesłana przez Murata wiadomość o rozpoczęciu akcji zaczepnej przez Kutuzowa skłoniła Napoleona do myśli o odwołaniu. Szło tylko o wybranie drogi, jaką miał się on odbywać. Były trzy, lecz Napoleon wybrał najgorszą, przez Możajsk i Wiazmę, na Smoleńsk, traktem już przebyłym, słabo zaopatrzo-



nym i źle chronionym, przez kraj wyniszczony do cna...

Wymarsz nastąpił w dn. 19 października, a Wielka Armja, mimo wielkich strat w ludziach, liczyła jeszcze 108.000 ludzi z 569 działami, co stanowiło groźną potęgę dla armji Kutuzowa... Za armją ciągnął się niezliczony sznur wozów z łupami, maruderami, rodzinami cudzoziemców, uciekających przed zemstą mieszkańców Moskwy...

Pragnął Napoleon zmierzyć się jeszcze z Kutuzowym pod Małojarsławcem, gdzie omal nie wpadł w ręce podjazdu kozackiego, lecz generałowie oparli się temu, i zapadło postanowienie ostatecznego odwrotu...

Tymczasem korpus V ks. Józefa stanął w Werei, na połowie drogi między Borowskiem a Możajskim, utrzymując łączność między obozującym na polu bitwy pod Moskwą korpusem Junota a główną siłą cesarską...

W dniu 28 października na rozkaz cesarski korpus V, wyprzedzając główną armję, ruszył w sile 4.000 piechoty i 600 jazdy na wielki trakt Smoleński w stronę Gżacka.

Odbywał się odwrót potężnej do niedawna armji francuskiej w nędzy i bezładzie...

Ks. Józef w początkach listopada na rekonesansie upadł z koniem w skoku, zwichnął nogę i stłukł kolano, krew rzuciła mu się ustami...

Nie mogąc już dosiąść konia, z bólem serca mu-

siał oddać dowództwo gen. Zajączkowi, który na czele korpusu V toczył boje pod Wiaźmą z następującą armją rosyjską...

Dalszą drogę już odbywał ks. Józef na przedzie, w karecie, z rannym adjutantem swoim Arturem Potockim...

W drodze tej kazał sobie podać do karety wala-
jącą się na śniegu dużą jakąś księgę w bogatej oprawie; był to II tom uczonego wielce opisu Turcji, zarobowany zapewne z jakiejś pańskiej biblioteki i porzucony. Ten tom stanowił jedyny łup, jaki przywiózł z tej wyprawy.

Dotarłszy do Smoleńska, zwrócił się natychmiast do sztabu głównego z usilną prośbą o zluzowanie nareszcie jego korpusu, nieszczęsnego korpusu V, „garstki mężnych“, liczącego teraz już ogółem pod bronią 600 ludzi piechoty, 30 jazdy, lecz prowadzących 45 armat, oprócz artylerji pułkowej...

Na stawie zamierzonym pod Krasnem spotkał się z Napoleonem, idącym pieszo z powodu gołedzi... Nie widział go od czasu bitwy pod Borodinem; cesarz wstąpił na stopień karety i dość długo poufnie z nim rozmawiał...

Nad Berezynę przybył ks. Józef w końcu listopada, w przeddzień straszliwej katastrofy, wyczerpany od udręczeń, zimna i głodu; dano mu parę gorących kartofli, jadł je ze smakiem i płakał, patrząc na nędzę i mękę żołnierza.

Szcześliwym tylko trafem przejechał przez most

zatłoczony, lecz utracił tu ostatnie bagaże i musiał spalić resztę papierów sztabowych...

W Wilnie stanął z Polaków najpierwszy, zatrzymał się dla poczynienia najniezbędniejszych zarządzeń i dodania otuchy, jednak tak jeszcze osłabiony, że o objęciu komendy czynnej nie mogło być mowy...

W pierwszej połowie grudnia stanął w Warszawie, przez którą na trzy dni przed jego powrotem przemknął się Napoleon, który w hotelu Angielskim widział się tylko z Pradtem, Potockim i Matuszewiczem, a który żądał nowego wysiłku narodowego, zbrojeń, dziesiątek tysięcy lekkiej jazdy dla przeciwstawienia kozakom, za co przyrzekał nową pożyczkę, dodawał otuchy, zapewniał, że nie opuści Polaków i pokąd istnieć będzie, bronić będzie istnienia Księstwa.

Ten sam Napoleon, który patrząc na męstwo, ofiarność, poświęcenie i wysiłki żołnierza polskiego, mimo to miał odwagę skarżyć się:

„Doznałem w tej wojnie bardzo lichego poparcia ze strony Litwy i Księstwa Warszawskiego, a raczej nie doznałem go wcale ani od kraju ani od rządu“...

W powstały z powodu klęski chaos obaw, bezradności, zwątpienia, przez przybycie swoje wniósł ks. Józef swój punkt honoru i dzielną energję czynną, zapowiadając dla kraju nową obronę...

Na jednym z pierwszych posiedzeń rady ministrów, złożył następującą smutną, lecz jednocześnie zaszczytną relację:

— Przybywszy tu stosownie do wyższych rozkazów, jako dowódca korpusu V, z wojska narodowego składającego się, sędzę być moim obowiązkiem donieść Radzie równie smutną, jak nietajną powszechnie wiadomość, że korpus rzeczony, walecznością swoją, i miłością ojczyzny mierząc wszystkie tej tak krwawej kampanji nadarżające się trudy, niewygody i niedostatki, skutkiem poświęcenia się swojego i opierania z odwagą natarczywości nieprzyjaciela, zupełnie prawie zniszczony został w ludziach, koniach, zaprzęgach etc., tak dalece, że mała liczba pozostałych, wracając z orłami i artylerją, w zupełnej swojej całości utrzymaną, nie przynoszą z sobą jak tylko honor, rękojmię dalszych swych poświęceń i tę drogą pociechę, że wszystko uczynili i uczynią, co po nich miłość ojczyzny i króla wymagają...

W dwa tygodnie po powrocie księcia Józefa stanęła w Warszawie garść niedobitków z zastępów jego...

Prowadził tych czterystu żołnierzy z Wilna pułkownik Szymanowski, a wraz z nimi chorągwie całej piechoty, całą artylerję polską... Stanęli pod pałacem Pod Blachą żołnierze, niosący sztandary. Księżę Józef, nie mogąc chodzić, dał się znieść na dziedziniec, gdzie otoczyli go żołnierze, u stóp jego składając orły

swoich pułków. Brakowało jednego. Księżę zwrócił na to uwagę z rzewnym uśmiechem.

— Ach! — krzyknęli wszyscy: jest tam ta kukulka, ale ponieważ kula armatnia oberwała jej głowę, nasz towarzysz wstydził się pokazać ją w tym żalobnym stanie!... Chodź, chodź, zbliż się, to nie twoja wina!

Wszyscy śmieli się do rozpuku i ujrzano zbliżającego się dwudziestoletniego młodzieńca z ręką na temblaku: wyciągnął z kieszeni poszarpanego płaszcza „kukulkę“, jak ją nazywali, i kładąc ją z zakłopotaną miną obok innych, tłumaczył się, że orzeł jest uszkodzony.

— Dlatego, że towarzysz jest jeszcze młody, — rzekli najstarsi: i zawsze wysuwał się naprzód!

Nie mogąc dłużej powstrzymać swego wzruszenia, księżę obcierał ukradkiem oczy; żołnierze zapewne wyobrazili sobie, że martwi się i chcąc go pocieszyć, oznajmili, że wkrótce powrócą jego armaty.

— Niech wasza książęca mość będzie spokojny, — mówili: ci, co je prowadzą, nie mogą tak spieszyć, jak my, bo to daleko cięższe. Ale przyjdą za kilka dni. Kiedy nam konie pozdychały, albo kiedyśmy je zjedli, sami zaprzęgaliliśmy się do naszych armat... Bądź tylko zdrow, a zobaczysz, że wszystko będzie dobrze! Będziemy się bili, pomścimy się! Pójdziemy za tobą chociażby do piekła!

I znów okrzyki; czapki wylatują w górę, ale jakie czapki, wielki Boże! Łachmany i gałgany wiązane

z sobą! I ludzie ci nie mieli ciepłego ubrania! Byli bez butów! najszczęśliwsi mieli nogi poobwiązywane kawałkami sukna!...

I oto wzruszony tą miłością, tą wytrwałością, ogłasza ks. Józef nową odezwę „Do Wojska Narodowego“. Brzmi ona:

„żołnierze! W odezwie, którą dziś do waszej podaję wiadomości, niosę wam najchlubniejszą, jedyną, polskich rycerzy jedynie godną nagrodę: głos wdzięcznej Ojczyzny za zapewnioną na zawsze krwią waszą imienia Polaków sławę. Otworzy się jeszcze męstwu waszemu pożądana do nabycia w boju nowych zasług pora. Lecz nim przyjazne losów Ojczyzny koleje zwycięskimi wam uwieńczyć się pozwolą wawrzynami, cieszcie się, że duch was ożywiający jest duchem całego Narodu. Wkrótce bracia wasi, powołani do świętego stawienia się na obronę ziemi polskiej obowiązku, ubiegać się będą o zaszczyt dzielenia z wami wojennych trudów i zasłonięcia wzrastających na nowo waszych związek. Wkrótce nowych wojowników hufce, obok naszych umieszczone szeregów, ochoczo w wasze wstępując ślady dowiodą, że nie powierzchowność, ani jednostajność, lecz święta miłość Ojczyzny i odziedziczona od Przodków walczość zrównały polskiego żołnierza z niezwyciężonymi pierwszymi w świe-

cie wojska rotami. Będziecie pewnie umieli ocenić tak szanownych braci waszych i współobywateli zapał, a wspierając doświadczeniem waszem pierwsze ich w polu sławy kroki, raz jeszcze okażecie światu: że Polak jak dla Ojczyzny się rodzi, tak zawsze dla Niej gotów jest umierać“...

XXIII.

Podczas gdy na śnieżnych polach Rosji armja polska, pod wodzą ks. Józefa, zmagala się z przemocą wroga, mrozem i niedostatkiem, w Księstwie Warszawskim, wśród najwybitniejszych mężów stanu knuto podstępne intrygi, porozumiewano się z wrogiem, zbliżając się nieomal do zdrady.

Krażący po Polsce potajemnie wysłańcy cara Aleksandra składali im propozycje, zapewniali o przychylności carskiej, aż wreszcie dwaj wybitni ministrowie, skarbu Matuszewicz, i spraw wewnętrznych, Mostowski, dali się wziąć na lep tych obiecank i już w końcu listopada za pośrednictwem ks. Adama Czartoryskiego, oraz bezpośrednio przez najbliższą komendę rosyjską, wyciągnęli dłoń do cara Aleksandra.

W przesłanych tą drogą dokumentach najpoufniejszych wyrażali przypuszczenie, iż nadeszła pora sposobna „do podjęcia próby, czyli nie jest możliwem połączyć wolę przeznaczenia i narodu polskiego“, stwierdzali, iż między Polską a Rosją „niemasz na prawdę nienawiści narodowej, jak tylko ze wspomnienia krzywd wzajemnie sobie wyrządzonych“! przywoływali „nową erę... kiedy te dwa narody złączą

się węzłami uczuć miłości i braterstwa, których źródłem koniecznem jest wszak wspólne obu pochodzenie“; przekładali projekt złączenia Polski i Litwy, bez wcielenia, pod berłem dziedzicznem cesarza Aleksandra, z Ustawą Trzeciego Maja „poprawioną“, lub konstytucją Księstwa Warszawskiego odmienioną, wicekrólem i administracją krajową, armją stotysieczną, obustronną wolnością handlu; do „traktowania, w miarę okoliczności, na rzeczowych podstawach“, upoważniali ks. Czartoryskiego „imieniem Konfederacji Generalnej i rządu Księstwa“...

Wyraźnem jest, że obydwaj ci ministrowie działali w tajemnem porozumieniu z pozostałymi członkami rządu, lecz bezwzględnie bez wiedzy i zgody głównego męża stanu, najważniejszego przedstawiciela istnienia państwa, bez wodza naczelnego, ministra wojny, ks. Józefa Poniatowskiego...

Wszystkie te knowania i intrygi musiały ulec nie tyle zmianie, ile odroczeniu, gdy na widownię wystąpił ks. Józef, rycerz bez trwogi w ogniu bitew i czyscu cierpienia, najwyższy przedstawiciel honoru i prawy Naczelnik Narodu... Ten, o którym pisał nowy rezydent francuski w Warszawie, baron Bignon, uczestnik prac jego wszystkich:

„Człowiek, którego imię przypomina uczucia najpiękniejsze, najszlachetniejsze myśli, bohater, którego pamięć zawsze dla rodaków jest świętą, księżę Poniatowski, zabrał niedobitki

chwałą okryte 7 — 8000 ludzi wszelkiej broni — smutne szczątki wspaniałej armji, które stanowiły już całą siłę narodu...“

Ciężkie zadania i prace czekały ks. Józefa, który niezupełnie jeszcze wydobrzył z niemocy, zwłaszcza wobec szerzących się tendencji rusofilskich, zupełnego zniechęcenia do prowadzenia dalszej wojny przy boku Napoleona, którego sprawę powszechnie uważano za przegraną...

Musiał wprost wydzierać niedołężnej Konfederacji i rozprzężonej Radzie Ministrów ważne uniwersały i dekrety celem zgromadzenia nowych zastępów...

W dn. 20 grudnia 1812 r. ogłoszono pod naciskiem tragicznych okoliczności „pospolite ruszenie“, w które nikt nie wierzył...

Konfederacja Generalna nie stanęła w tej ważnej chwili dziejowej, wobec grożącego Ojczyźnie niebezpieczeństwa, na wysokości zadania... Zajęta małostkowemi sprawami, nie myślała zupełnie o wzięciu na barki swoje roli i zadań Komitetu Obrony Narodowej, bezradnie usuwała się od wszystkich energiczniejszych działań, zadawałnając się półśrodkami...

Do takich należało i owo pospolite ruszenie, przypominające dawne czasy, teraz stanowiące instytucję przestarzałą, nieżyjącą...

Bo czyż szlachta, ogarnięta troską o mienie i rodzinę, chciałaby nastawiać karku dla sprawy, którą powszechnie uważano za przegraną?... To też na we-

zwanie Konfederacji stawilo się zaledwie kilkuset jeźdźców, nawet nie kilka tysięcy, jak w r. 1806 na błoniach pod Łowiczem...

Nie pomogło nic nawet popularne w narodzie, umiłowane przez wszystkich nazwisko księcia Józefa Poniatowskiego, mianowanego regimentarzem, oraz magnackie nazwisko wiceregimentarza księcia Sanguszki...

Daleko realniejsze wyniki dał nowy pobór rekruta, obliczony na 25.000, nadzwyczajna branka lekkiej jazdy — 1 żołnierz konny, zbrojny i odziany na 50 dymów, — i lekkiej piechoty — 1 żołnierz za 20 dymów...

Mimo wielkich przeszkód, spowodowanych nędzą kraju i upadkiem ducha, ściągął żołnierz nowy, ubrany lichy, na nędznych szkapinach, lecz pełen zapału i chęci bojowej... Czynem tym lud polski dawał najwyraźniejsze świadectwo temu, że on to jest właściwym źródłem siły i obrony narodowej...

Zaświadcza o tem wyraźnie wyż wspomniany Bignon, pisząc:

„Chęci były najlepsze, ludzi nie brakło. Ścieśniona w dwóch departamentach, później w jednym tylko, wreszcie zamknięta w mieście, mała ta armja reorganizowała się w odwrocie; z każdym dniem wzmacniali ją ochotnicy z departamentów najechanych przez wroga, w przekradaniu się pod sztandary narodo-

we tak zręczni, jak są nimi gdzieindziej dezertery w ucieczce; umieli oni przebywać linie Rosjan i Austrjaków, którzy, zdawało się, blokowali nas raczej, nie bronili. A choć dotkliwym był ciężar przeszło 50.000 ludzi i 16.000 koni stłoczonych na tak małej przestrzeni, to jednak patriotyzm mieszkańców i władz starczył na wszystko...“

Tyle bowiem sił zdołał mimo wszystko zgromadzić ks. Józef pod Krakowem w końcu lutego... Na taki wysiłek potrafił się zdobyć naród, znękaną nędzą i klęską wojenną...

Nie brakło w tych szeregach i bataljonu, utworzonego z Francuzów, pozostawionych, jako chorzy i ranni na Litwie, po domach prywatnych, a których, według Bignona, włościanie polscy i litewscy odprawdzali od wioski do wioski, aż do forpocz polskich pod Krakowem...

Wkraczającym do Księstwa Warszawskiego zastępom rosyjskim, w liczbie 30.000, przeważnie wyczerpanym, wynędzniałym, niemniej od armji francuskiej, mógł być ks. Józef stawić czoło, gdyby jego wojska nie składały się w części z rekrutów, nieobeznanych należycie z bronią...

A na pomoc obcą nie mógł liczyć zupełnie... Korpus sasko-francuski gen. Reyniera odszedł, ażeby bronić Saksonji przed Prusakami, a zdradziecki sprzymierzeniec austriacki, korpus pod wodzą ks. Schwar-

zenberga, działając w tajnym porozumieniu z Rosją, raczej wystąpiłby przeciwko niemu, niż pomagał...

W tych warunkach, wobec coraz bliższego podsuwania się wojsk rosyjskich, miast wystąpić przeciwko nim ofensywnie, musiał ks. Józef zdecydować się na opuszczenie Warszawy... Prawda, ks. Eustachy Sanguszko, widząc słabość sił polskich, doradzał naczelnemu wodzowi, aby — zebrawszy rozproszone oddziały — uderzył na nieliczny korpus rosyjski Sackena, dotarł do Zamościa i, ubezpieczywszy tę twierdzę, przeniósł teatr działania wojennego w okolice zasobne, skąd armja rosyjska zaopatrywała swoje potrzeby.

Tym obrotem, jak trafnie uważał Sanguszko, zyskiwało wojsko polskie podstawę działania i mogło, podług okoliczności, albo zasłużyć sobie na wdzięczność Napoleona, czyniąc tak skuteczną dla niego dywersję, albo też układać się z Aleksandrem i uzyskać w tej groźnej postawie korzystne dla Polski warunki.

Książę Józef, bądź złudzony przez Rosjan, bądź też nie ufając siłom swoim, nie usłuchał tej rady, i mimo wszystko postanowił udać się z całym wojskiem do Krakowa i tam oczekiwać dalszych wypadków.

Odwrót w podobnych warunkach wykonany, musiał za sobą jaknajgorsze pociągnąć skutki, mianowicie zupełny upadek ducha w narodzie i oddanie ca-

łego kraju w ręce nieprzyjaciela, zmęczonego zimową kampanją i pragnącego wytchnienia.

Armja polska, wciśnięta w południowy pograniczny kąt kraju, traciła podstawę działania i była zdana właściwie na łaskę conajmniej wątpliwego sprzymierzeńca — Austrii, dla której wszelka myśl odbudowania Polski zdawała się wstrętną i niebezpieczną...

W dniu 5 lutego 1813 r. opuścił ks. Józef wraz z wojskiem stolicę, a za nim pociągnęła do Krakowa rada Konfederacji Generalnej, pojechali ministrowie Księstwa, pozostawiając w Warszawie archiwa rządowe...

Ufali widocznie obietnicom cara Aleksandra, że wojsko rosyjskie do stolicy nie wkroczy; nie wiedzieli zaś, że car zawarł 20 lutego w Kaliszu traktat z królem pruskim i przyrzekł mu uroczyście przywrócić Prusy do dawnej potęgi z roku 1806 i połączyć terytorjalnie — nie inaczej jak kosztem Księstwa Warszawskiego — t. zw. Stare Prusy z dziedzicznymi posiadłościami Hohenzollernów; nie wiedzieli, że Napoleon i król saski gotowi byli poświęcić Polaków, byle tylko dla siebie korzystne uzyskać warunki, jednym słowem, że — jak trafnie zauważył Marcin Bański — oszukiwano naród ponownie i to z dwóch stron.

Mimo to jednakże nie była sprawa polska tak łatwą do pogrzebania, jak się dyplomatom wydawało.

Prusy i Rosja gotowały się do stanowczej woj-

ny z Napoleonem, który — jakkolwiek pokonany — nie przestawał być strasznym; wiedziano, że będzie to bój śmiertelny, decydujący o losach Europy, starano się więc stworzyć koalicję wielką, potężną, aby genialnego przeciwnika zgnieść ogromem sił...

Wobec tego nie było obojętnem zachowanie się Polaków, niepodobna było lekceważyć sobie tej garstki wojska, które na tyłach armji sprzymierzeńczej mogło rozpalić na ziemiach polskich płomień powstania i zmusić koalicję do prowadzenia wojny na dwóch frontach.

Obawiał się tego szczególnie król pruski, z usposobienia lękliwy i pamiętający dobrze o smutnych doświadczeniach roku 1806.

Zasadniczo więc godził się na myśl odbudowania Polski i był niezmiernie zdziwionym, że car Aleksander dotąd nic stanowczego w tym względzie nie uczynił...

Ale polityka rosyjska postępowała innemi drogami. Car, osobiście przychylny Polakom, był zanadto miękkim i zanadto chwiejnym, aby wbrew prądom przeciwnym zamiary swoje wykonać. Rosjanie, uniesieni powodzeniem, pełni dumy i nienawiści ku Francuzom i ich sprzymierzeńcom, wprowadzili w ziemiach polskich napowrót system ucisku i uciemżenia.

W chwili, gdy car Aleksander od obywateli Księstwa Warszawskiego wymagał nieograniczonego zaufania i nie szczędził Polakom ponętnych obietnic, sze-

rzyło się na Litwie podobne prześladowanie patryjotów, jak za czasów Katarzyny. Dodany do boku generał-gubernatora Korsakowa, generał Ertel, prawdziwy „opętaniec“, otoczywszy się zgrają szpiegów i donosicieli, dopuszczał się niesłychanych nadużyć. Nikt nie był pewnym życia ani mienia; porwane nagle z pośród rodzin swoich ofiary zemsty lub chciwości, znikaly bez śladu w lochach więziennych; niewinnych wywożono w głąb carstwa, albo zmuszano niegodziwymi środkami do przyznania się do winy, nigdy niepopelnionej.

Wiadomości o tych gwałtach nie przenikały tak łatwo na lewy brzeg Niemna, ksiązę Adam Czartoryski dowiedział się o nich dopiero od Wawrzeckiego, więc dziwić się nie można, że w Księstwie zabiegi cara Aleksandra inaczej oceniano.

Tu zresztą i zachowanie się władz rosyjskich było łagodne, uprzejme i wyrozumiałe.

Po zajęciu Warszawy ustanowiono rząd tymczasowy: prezydentem jego był Łańskoj, członkami: Nowosilcow, Tomasz Wawrzecki, ksiązę Ksawery Drucki — Lubecki i były dyrektor dóbr narodowych Colomb.

Skład rady i pojednawcze usposobienie zasiadających w niej Rosjan odpowiadały zupełnie kierunkowi polityki Aleksandra i czyniły na ludności dobre wrażenie.

Rosły więc sympatje dla cara, rosło zaufanie do jego osoby. Nawet ksiązę Józef Poniatowski ulegał

poczęści temu prądowi i ta okoliczność była poniekąd przyczyną jego odwrotu do Krakowa.

Tam miał się rozstrzygnąć los, jeżeli nie Polski, to przynajmniej wojska polskiego...

Tam też skierowano nowe wysiłki kuszenia wojska polskiego, by wbrew swemu poczuciu honoru odstąpił Napoleona a złączył się z jego nieprzyjaciółmi...

Były to dla ks. Józefa chwile ciężkie bardzo, lecz o tem wspomniemy dalej.

Dotarłszy do Krakowa i rozłożywszy przed nim główne swe siły, zabrał się ks. Józef gorączkowo do pracy nad wzmocnieniem szczupłych swych zastępów, nad tworzeniem lekkich pułków jazdy chłopskiej, tak zw. krakusów, których tak pragnął Napoleon, ażeby przeciwstawić ich kozakom.

Ciężkie bardzo chwile przeżywał ks. Józef pod Krakowem, zwłaszcza, że znajdował się w pobliżu potęgi austriackiej, prowadzącej dwuznaczną politykę, gotową każdej chwili zdradzić Napoleona w razie pierwszego niepowodzenia jego, i przedewszystkiem uderzyć na zgromadzone pod Krakowem słabe siły polskie...

Z bólem serdecznym też mówił do posła francuskiego, Bignona:

— Panie Bignon, za kilka dni może pan snadnie znaleźć się w Ołomuńcu, jako więzień stanu, ja zaś mogę poedz na czele którego z moich pułków ułańskich...

A tymczasem wokoło księcia Józefa zaczynała się tworzyć pustka, stawał się coraz bardziej samotnym na tym trudnym i niebezpiecznym posterunku, który wszyscy już uważali za stracony...

Opuszczali go jeden za drugim członkowie rządu, pod różnemi pretekstami wyjeżdżający do Księstwa; rozwiązała się niesławnym aktem tchórzliwa i niedołączna Rada Generalna Konfederacji, uchwalając rozjechanie się do domów, jakby podkreślając tem, że sprawę uważa za przegraną...

Opuścił go wreszcie druh dotychczasowy i przyjacie, z którym dzielił dobrą i złą dolę, ks. Eustachy Sanguszko, który po amnestji, ogłoszonej przez cara Aleksandra, obawiał się utracić dobra swoje, gdyby dłużej pozostawał przy ks. Józefie... Nadomiar z gorliwością neofity usiłował przeciągnąć na stronę cara Aleksandra generałów, pozostałych wiernymi obowiązkom służby...

Podał się do dymisji również przebywający u ks. Sanguszki w Tarnowie stary gen. Kniaziewicz, bohaterski i mężny wódz i żołnierz, lecz pełen niesforności szlacheckiej... Udzielił mu jej ks. Józef, lecz towarzyszyły temu słowa ostre, pełne gorzkich a prawdziwych wyrzutów...

Coraz bardziej osamotnionym stawał się wódz polski, coraz większe ciężary spadały na barki jego, coraz większa odpowiedzialność przed narodem obciążała sumienie jego...

A tu, nadomiar wszystkiego, ze wszech stron

rozlegały się głosy, namawiające go do zdrady, do złamania honoru, do pozostania w Księstwie, opuszczenia Napoleona i przejścia na stronę cara Aleksandra, który znów wystąpił ze swojemi obywatelami...

Przybył z Warszawy wysłaniec cara i ks. Czartoryskiego, Kalasanty Szaniawski, przybył z Berlina ks. Antoni Radziwiłł, wysłaniec króla pruskiego...

Obydwaj delegaci nie przywozili właściwie nic, oprócz golosłownych zapewnień, że monarchowie sprzymierzeni pragną uszczęśliwienia Polski i godzą się na nie...

Ks. Adam Czartoryski starał się oddziaływać na niego przez obecnych w Krakowie szwagra swego ordynata i siostrę Zofję Zamoyskich; nasyłał mu wymownych pośredników, aby go tylko przekonali i zatrzymali...

Przywieziono mu nawet w marcu do Krakowa i okazano pismo własnoręczne cara Aleksandra do Czartoryskiego, w którym zawartą była rada „pozostać spokojnie w Warszawie“ z liczbą wojska „ile tylko można najmniejszą“ i zapewnienie dość ogólne „nie będą tego żalowali“...

W społeczeństwie polskiem brano się coraz bardziej na lep tych pięknych słówek, ba, widziano w nich jedyną deskę ratunku... Zaślepieni jakimś dziwnym uporem statyści polscy nie chcieli, czy też może bali się zrozumieć, że w ten sposób, przez zbytnią uległość, nie zdołają nawet zabezpieczyć nie tylko już istnienia Polski, ale nawet i drobnych jej inte-

resów... że, odsuwając się od ks. Józefa i siły przez niego stworzonej, osłabiają moc Polski, zdają się na łaskę i niełaskę zwycięzców...

Nie wiedzieli o tem, że w kuźniach dyplomatycznych mocarstw, zapewniających tak wymownie o swej przyjaźni i dobrych chęciach, kuto już projekty nie odnowicielskie bynajmniej, lecz aneksyjne, że na żądanie generałów i dyplomatów pruskich przygotowywano plany nowego rozbioru Polski, przyczem na rzecz Prus przypaść miały ziemie polskie aż po linję Wisły i Narwii...

O tych knowaniach zdradzieckich i zgubnych nie wiedział nic ks. Józef, lecz instynktem szlachetnym swoim, umiłowaniem gorącym Ojczyzny, czuł, że we wszystkich tych obietnicach czai się zguba, odrzucał też wszelkie propozycje pertraktacji, zdobywając się jedynie na to, że wyczekiwał na rozplątanie tego fatalnego splotu wydarzeń, że oczekiwał na rozkaz Napoleona.

A tymczasem potajemne knowania dyplomacji rosyjskiej, wspieranej w tajemnicy przez gabinet wiedeński, odniosły ten skutek, że odcięły wojsko polskie od kraju, wstrzymały je od kroków nieprzyjacielskich w chwili najkrytyczniejszej dla sprzymierzonych i rozdzieliły naród polski na dwa stronnictwa, z których potężniejsze widziało zbawcę Polski w carze Aleksandrze...

Skutki porozumienia austriacko-rosyjskiego nie dały długo na siebie czekać...

Bez żadnego sprzeciwu ze strony rzekomo sprzymierzonych z Napoleonem wojsk austriackich pod wodzą ks. Schwarzenberga, koncentrowała się na przeciwko ks. Józefa silna armja rosyjska pod wodzą gen. Sackena, licząca trzy dywizje piechoty, 8 tysięcy jazdy, 60 dział, wsparta przytem przez cztery pułki piechoty pruskiej...

Sile tej mógł ks. Józef przeciwstawić zaledwie 14 tysięcy ludzi, w znacznej większości świeżego rekruta, z 20 działami i amunicją zaledwie na trzy godziny boju...

Rozpoczął ks. Józef z gen. Sackenem pertraktacje o rozejm, lecz gdy ten postawił mu warunek rozbrojenia i rozproszenia wojska, wybuchnął oburzeniem i oświadczył, że nie pozwoli, ażeby go traktowano jak jakieś książątka kaukazkie...

Sytuacja jednak stawała się z każdym dniem gorszą... Groziła walka z dwoma już przeciwnikami, gdyż i Austrija niedwuznacznie objawiać zaczęła dążenia do rozbrojenia wojsk polskich...

Pozostawało mu jedynie opuścić Kraków, co znaczyło już opuszczenie nie tylko stolicy, ale i ziemi polskiej...

Nadomiar wszystkiego komplikował znacznie sprawę i księżę warszawski, Fryderyk Saski, który wobec klęski Napoleona, zagrożony zagarnięciem Saksonji przez Prusaków, rozpoczął w początku kwietnia pertraktacje z Austrią... W wyniku ich stanęła w Wiedniu umowa sasko-austriacka, przepisująca przemarsz



korpusu polskiego przez Austrię na warunkach, równających się zgubie tego korpusu: w drobnych oddziałach, z przerwami, w odległości marszów całodziennych i co główna, bez broni.

W wielce trudnej i ciężkiej sytuacji znalazł się ks. Józef po odebraniu podobnych poleceń od króla Fryderyka Augusta, poleceń, których nigdyby nie usłuchał, wiedząc że prowadzą one do zagłady korpusu...

A wkrótce potem otrzymał od Napoleona rozkaz, zabraniający mu kategorycznie poddać się rozbrojeniu przez Austriaków...

Krzyżujące się a sprzeczne te polecenia wprowadzały w jego zamęt w jego działania i zamiary...

A przytem ze wszystkich stron szły do niego żądania i obietnice, sprzeczne, bałamutne, a apelujące do patriotyzmu jego, do miłości Ojczyzny, ba do ambicji i honoru...

To błyskano przed oczyma jego koronę królewską polską za poradą następcy tronu szwedzkiego, zdradzieckiego marszałka Bernadotte...

To znów przybył do niego z Warszawy bernardyn, wysłaniec patriotów, z żądaniem, aby bez dłuższej straty czasu „czynić osobno i narodowie, bez oglądania się na Francję“, aby wyruszyć zbrojnie z Krakowa, rzucić się z powrotem do Księstwa i rozpocząć jakąś wielką samodzielną akcję zaczepną...

To znów ks. Adam Czartoryski słał mu obszerne pismo z Kalisza, po widzeniu się z carem Aleksand-

rem, w którym ostrzegał go przed Austriakami, spekulującymi na Kraków i Galicję Zachodnią; przepowiadał niechybną zgubę wojsk polskich, zwabionych do sieci austriackiej; zapewniał o stałości zbawionych zamiarów cara Aleksandra; żądał tajnego zawarcia rozejmu z Rosjanami; przedewszystkiem zaś radził, aby, nie oglądając się zgola na ustąpienie Austriaków, bezwarunkowo nie ruszać się z Krakowa i spokojnie z wojskiem polskim pozostać...

A jednocześnie z tem przybył potajemnie do Krakowa stary jego przyjaciel, ks. Antoni Radziwiłł, przybył z misją polityczną, widział się z prezesem rządu, Stanisławem Potockim, z wiceprezesem Konfederacji, Zamoyskim, z ministrem Mostowskim, a wszędzie znalazł posłuch i zgodę co do porzucenia przegranej sprawy napoleońskiej dla ratowania kraju... Od jednego tylko ks. Józefa otrzymał stanowczą odmowę...

Miał z tego powodu książe Józef wiele nieprzyjemności, gdyż pozostawiona przez nieostrożność przez ks. Radziwiłła w sztabie kartka do niego, została otwarta i odczytana, a zawiadomiony o tem rezydent francuski, Bignon, postawił żandarmów przy drzwiach ks. Radziwiłła i natychmiast zwołał Radę Ministrów na posiedzenie w tej drażliwej sprawie jego pobytu i czynności...

Wystąpił jednak tedy ks. Józef i z całą swoją szlachetną lojalnością, wzięwszy na siebie winę za-

prosin i pobytu ks. Radziwiłła, zwolnienie jego uzyskał...

W tym całym wirze wypadków i sprzecznych rad i zarządzeń, ks. Józef widział przed sobą jedynie dwie drogi: albo pozostania w Krakowie i narażenia się na bezwzględne rozbrojenie, albo też marszu na Zachód, do armji francuskiej, dającego pewne szanse wyjścia obronną ręką z tej trudnej sytuacji...

Nie zważając na zawartą przez króla Fryderyka Augusta konwencję wiedeńską co do przemarszu, czynił na własną rękę starania o jej złagodzenie i uzyskał znaczną zmianę, polegającą na tem, że marsz odbywać się będzie jednym ciągiem bez żadnej przerwy między kolumnami, artylerja zachowa armaty i amunicję, cała jazda broń, część trzecia piechoty również, reszta karabinów pójdzie na wozach pośrodku każdej kolumny.

Tymczasem zdradziecki posiew, rzucony ręką ks. ks. Czartoryskiego i Radziwiłła wśród członków rządu, zaczął wydawać owoce...

W końcu kwietnia, w kilka dni zaledwie po wyjeździe ks. Radziwiłła, odbyło się w siedzibie rządu, w pałacu pod Baranami, posiedzenie Rady Ministrów, bez udziału ks. Józefa, z czego korzystając uchwalono jednomyślnie:

„Aby wojsko polskie mogło utrzymywać się w położeniu swoim około Krakowa z tej strony mi cofnąć się, gdyby te znalazły się być przemagającymi i dopiero po zmierzeniu sił swoich z nieprzyjacielskimi

mi cofnąć się, gdyby te znalazły się być przewagającymi...“

Uchwała ta, powzięta bez ks. Józefa, a wymierzona przeciw niemu, była wprost zgubną dla wojska polskiego...

To też gdy dowiedział się o niej ks. Józef, odbywający rewję wojsk, przerwał ją, pospieszył na posiedzenie i w sposób ostry i stanowczy zaprotestował przeciwko powzięciu podobnej uchwały bez niego...

Bez żadnych ogródek wyraził, iż „nie mógł spodziewać się w Radzie Ministrów takiego wniosku, który tembardziej jest delikatny, że ma za sobą pociągające pozory, a w dojrzałym rozborze nie może odpowiadać obecnemu położeniu rzeczy we względzie wojskowym...“

Zapewniał z goryczą, „że gdyby Rada mogła wziąć na siebie odpowiedzialność za chybione użycie wojska, gdyby szło tylko o osobiste wystawienie się jego wodza, nie wahałby się na chwilę z poświęceniem osoby swojej, lecz tu idzie o zachowanie korpusu na większy pożytek sprawy powszechnej i własnej ojczyzny...“

W końcu oświadczył kategorycznie, stanowczo, że przy swoim poglądzie na rzeczy, przy zamierzonym odwróceniu ku Wielkiej Armji niewzruszenie obsta, gdyż innego wyjścia nie widzi, a wyższe wymagania rzetelnego interesu publicznego „woli przenieść nad widoki pozorne, które na chwilę tylko dogodziłyby

opinji popularnej a potem przez zły skutek nie znalazłyby w niej samej aprobacji“...

Zaskoczona tem jego ostrem a stanowczem wystąpieniem, przyparta do muru jasnym postawieniem sprawy przez ks. Józefa, Rada Ministrów musiała, ażeby chociaż zachować pozory honoru, na tem samem jeszcze posiedzeniu odwołać swoją uchwałę...

Jednocześnie postanowiono wycofać się za Wisłą do Podgórza, czyniąc w ten sposób krok zasadniczy w kierunku, wskazanym przez ks. Józefa...

I znów ciężkie wielce chwile przeżywał ks. Józef w kwaterze swojej w pałacu Krzeszowickim pod Krakowem, ciężkie zwłaszcza pod względem moralnym, gdy opuszczali go jeden za drugim ostatni już towarzysze pracy i doli i niedoli, zarówno cywilni i wojskowi, jak coraz bardziej chwiać się poczyniała w nim wiara zarówno w króla Fryderyka Augusta, który, jak się przekonał, gotów był prehandlować i jego, i wojsko, i Księstwo nawet, byle tylko zachować w całości swą Saksonję, jak i w Napoleona, który wciąż jeszcze ludził się nadzieją dojścia do porozumienia z carem Aleksandrem i dla dopięcia tego gotów był bez skrupułów poświęcić i Polskę i Polaków...

Dlatego też zapewne polecał mu trwać w Krakowie.

Niedziwota więc, że wśród tych wszystkich zwątpień, wobec spadających coraz nowych na niego ciósów, nieraz przychodziła mu myśl o samobójstwie, ja-

ko kładącym kres wszystkim cierpieniom, a od którego powstrzymały go jedynie dwa uczucia: honor i sumienie...

Wreszcie w początku maja zdecydował się ostatecznie wyruszyć z Krakowa i Podgórza, by podążyć do Saksonji, do Wielkiej Armji...

Gdy wieść o tem się rozeszła, przybiegł do niego rankiem w dniu wymarszu senator Linowski, jeden z zaufanych ludzi ks. Czatoryskiego, i gorąco odradzać mu począł, namawiając, ażeby pozostał jeszcze w Krakowie, przedstawiając wymownie, że gubi siebie i kraj...

Śluchał cierpliwie wywodów jego ks. Józef, a gdy skończył, wskazał na leżące przy łożu swoim pistolety i rzekł:

— Widzisz te pistolety? Dziś je w nocy dwa razy miałem w ręku, chciałem w łeb sobie strzelić, aby wyjść z tak trudnego położenia, ale nakoniec wziąłem determinację, nie odstąpię Napoleona...

Determinacja ta, wypływająca z najwyższego poczucia honoru, kierowała już teraz jedynie i wyłącznie dalszymi jego krokami...

Powoli bardzo wybierał się ks. Józef z kraju, jakby przeczuwając, że nie ujrzy go już nigdy więcej... Wstrzymywały go też w pochodzie wieści, przychodzące z placu boju, sprzeczne instrukcje królewskie i rozkazy cesarskie...

Gdyż w tym czasie Napoleon, który zdołał genjuszem swoim stworzyć potężną armję, w dn. 2 maja

1813 r. zdołał pokonać w krwawej bitwie pod Lützen w Saksonji sprzymierzoną armję rosyjsko-pruską...

Zwycięstwo to natchnęło Napoleona otuchą i dało mu pewność, że pokona potężnych przeciwników...

Tegoż jeszcze dnia z pobojowiska pod Lützen wysłał Napoleon do księcia Józefa generała Sokolnickiego z rozkazem, ażeby szedł do Polski, na tyłach wroga rozpalić powstanie, a pomagać mu w tem mieli sprzymierzeńcy austriaccy, gdyż Francuzi „niezadługo będą nad Wisłą“...

Niósł Sokolnicki słowa cesarskie, zawarte w wydanym mu bezpośrednio rozkazie pisemnym Napoleona:

„Idę do Polski i dla Polski — tam mają się ze mną połączyć Polacy... Niechaj będą wytrzymali w miłości Ojczyzny, i w zaufaniu swem do mnie, a poświęceń, które w tym celu złożą żałować nie będą...“

Sokolnicki spotkał wojska polskie wstępujące na szlak tułaczy... Zatrzymał je i rozpoczął pertraktacje z feldmarszałkiem austriackim Firmontem co do rozpoczęcia działań ofensywnych...

Lecz feldmarszałek Firmont, zrzucając maskę, odmówił wykonania odebranych od Napoleona rozkazów...

Ks. Józef natychmiast po przybyciu Sokolnickiego dał mu zupełną możność przekonania się o istotnym stanie rzeczy i spróbowania wymowy swej u feldmarszałka austriackiego...

I znów znalazł się ks. Józef w położeniu bardzo ciężkiem, zda się bez wyjścia. Napoleon nakazywał mu ruszać do Księstwa, by walczyć z Rosjanami; król Fryderyk August upoważniał go do zawarcia rozejmu z Rosją, miał uchwałę Rady Ministrów, aby czynić jedno; miał prośbę Czatoryskiego, aby czynić drugie — a sam zdrowym rozumem swoim zdawał sobie sprawę, że ostatecznym wynikiem tego wszystkiego może być jedynie kapitulacja...

Przeczekał jeszcze trzy dni, ażeby nie przeszkadzać w pertraktacjach Sokolnickiemu, a gdy ten ostatecznie przekonał się o zdradzie Austriaków, nie zatrzymał się już dłużej i w dniu 12 maja ruszyły zastępy polskie przez Cieszyn, Austerlitz, Berno do Saksonji, gdzie pod Zittau złączyły się z Wielką Armją...

Rozpoczął się ostatni akt tragedji ks. Józefa, a z nim razem i narodu polskiego...

XXIV.

Z ciężkiem bardzo sercem wyruszał w ostatni swój pochód wojenny ks. Józef, który jakby chcąc przebłagać zły los, jakby chcąc okupić swe przewiny, hojne ofiary składał na rzecz ubogich ze swego i tak już bardzo pustego trzosa...

Żaden ubogi nie odszedł od niego bez wsparcia, a z szczególną już hojnością obsypywał darami żołnierzy, tych jedynych już prawie wiernych towarzyszy niedoli swojej...

Uciążliwą wielce i niebezpieczną była ta droga przez ziemie austriackie, na których zła wola jej władców dawała mu się dotkliwie we znaki...

Prawda, że po zwycięstwie Napoleona pod Lützen zezwoliły władze austriackie na przemarsz w pełnem uzbrojeniu, lecz za to nie szczydziły mu szyskan i drobnych, lecz wielce dokuczliwych przykrości...

Szczególnie zaś ta złośliwość austriacka objawiła się na Morawach, gdzie rządził niefortunny współzawodnik ks. Józefa, arcyksiążę Ferdynand d'Este.

Jakby chcąc się pomścić na nim za porażkę, czynił mu wszelkiego rodzaju trudności, odmawiając

żywności i furazu dla wojska, a przytem przez specjalnych wysłańców demoralizując żołnierzy przez namawianie wprost do dezercji...

Ażeby położyć kres temu, musiał się ks. Józef uciec do ostatecznego środka i rozstrzelać paru żołnierzy za dezercję, co powstrzymało innych...

Posuwano się wolno naprzód, po drodze zajechał ks. Józef na krótki czas do Pragi, jakby pragnąc pożegnać się tam ze wspomnieniami dzieciństwa. i w połowie czerwca stanął w Zittau...

Odetchnął ks. Józef i wojsko polskie, znalazłszy się na gościnnej ziemi saskiej, gdy skończyła się męcząca wędrówka wśród wrogich sprzymierzeńców austriackich...

Wyprawiono im tam przyjęcie wprost entuzjastyczne, wystąpił z uroczystem przywitaniem magistrat, wyległa prawie cała ludność, z podziwem i radością witając sławnego już, przybyłego z delekich stron wodza polskiego i jego zastępy...

Sytuacja na terenie wojny nie przedstawiała się świetnie... Napoleon, po zwycięskiej znów bitwie pod Budziszynem zamiast gnać przed sobą wrogów aż nad Wisłę, przstraszony topnieniem w bojach i pochodach swych wojsk, a paraliżowany przytem w swej akcji dwuznaczną polityką Austrii, popełnił fatalny błąd i w dn. 4 czerwca zawarł rozejm, łudząc się jeszcze nadzieją na pokój, a nie przeczuwając, że wyniknie z tego jego zguba...

Rozejm ten, zawarty początkowo do 20 lipca,

a następnie przedłużony do 10 sierpnia, dyplomacja sprzymierzeńców wykorzystała znakomicie. Jakoż w dniu 14 czerwca zawarty został traktat pomiędzy Anglią a Prusami, a w dwa tygodnie później stanęło przymierze austriacko-prusko-rosyjskie...

Pierwszym warunkiem tego traktatu był podział Księstwa Warszawskiego między trzy mocarstwa rozbiorowe...

Austria, korzystając z rozejmu, przystąpiła energicznie do zbrojeń...

Rozporządzając taką potęgą i mając zapewnioną pomoc pieniężną ze strony Anglii, postawili sprzymierzeni najtwardsze warunki Napoleonowi, a gdy ten przyjąć ich nie chciał, wypowiedziała mu Austria wojnę i otwarcie już przystąpiła do koalicji...

W ten sposób zbliżał się ostatni akt tragedii, w którym Polacy niepospolitą jeszcze odegrać mieli rolę...

Przybycie wojska polskiego, mimo nieliczne zasępy jego, powitał Napoleon wprost z radością, gdyż stanowiły one dla niego bezcenne wprost posiłki...

Zajął się też niemi gorąco, nadał im nazwę Korpusu VIII Wielkiej Armji, ks. Józefa mianował „generałem naczelnie dowodzącym armją polską“, i nadał mu rangę i uposażenie narówni z marszałkami Francji.

Nie była bowiem ta siła do pogardzenia, gdyż łącznie z dywizją Dąbrowskiego, z szczątkami dawnej dywizji Girarda, szczątkami legji nadwiślańskiej, puł-



kami lansjerów francuzko-polskich, szwoleżerami gwadji — sięgała siła zbrojna polska, złączona z Napoleonem, 24—25.000 żołnierzy, a doliczywszy do tego jeszcze pułki, które stały załogą w oblężonym Gdańsku, Modlinie i Zamościu, stało pod bronią jeszcze około 40.000 Polaków.

Zabrano się energicznie do odziewania, ekwipowania, zbrojenia i reorganizacji pułków polskich. Formowano z nich nowe jednostki bojowe, łączono z sobą pułki, kasując z nich niektóre... Z siedemnastu pułków piechoty zredukowano pięć, a z szesnastu jazdy — osiem...

Spieszono się gorączkowo z temi pracami, gdyż zbliżała się nieuniknienie chwila wznowienia działań wojennych... O pięć dni przyspieszono uroczystość imienin Napoleona, obchodzoną w dniu 10 sierpnia bankietami, balami, wiwatami...

Ze wszech stron gromadziły się olbrzymie zastępy wrogów, już Austria otwarcie przeszedłszy na ich stronę, wysłała liczną armję, już na czołe północnej armji sprzymierzonych stanęła zdradziecki Ber-radotte...

Potęga ta groziła armji francuzkiej otoczeniem ze wszech stron...

W dn. 17 sierpnia rozpoczęły się działania wojenne potyczką Krakusów pod wodzą Umińskiego, i od tego czasu korpus polski, działając na prawem skrzydle armji Napoleona, osłaniając jej koncentra-

cję pod Dreznem, przerzucany z miejsca na miejsce, trwał ustawicznie w boju...

W dn. 26 i 27 sierpnia rozegrała się wielka bitwa pod Dreznem, zakończona zupełnem roz biciem korpusu Schwarzenberga, którego zdradzieckie układy z carem Aleksandrem przyczyniły się w znacznym stopniu do przystąpienia Austrii do koalicji...

Lecz zwycięstwo to jeszcze nie stanowiło o losach wojny... Podczas gdy Napoleon odnosił zwycięstwa marszałkowie jego — Oudinot pod Berlinem, Ney pod Dennewitz, a generał Vandamme pod Kulmem — zostają haniebnie pobici...

Zorjentowali się wnet w tem sprzymierzeni, i odtąd toczyli walki z marszałkami, unikając walk z samym Napoleonem, pozbawiając go w ten sposób rezerw...

Armja polska walczyła wszędzie, rozpraszając się na wszystkie strony, a jazda polska dokazywała wprost cudów odwagi, walcząc niejednokrotnie z przewagą nieprzyjacielską...

Rozmłówał się też w nich wielce Napoleon i „na widok Krakusów na małych konikach nie posiadał się ze śmiechu. Po zlustrowaniu koni i ludzi, rozkazał konia jednego rozsiodłać, a widząc lichą szkapę pod wołokiem, jeszcze się bardziej śmiać zaczął i obróciwszy się do Caulaincourta, zawołał:

— Oto ludzie, co na takich koniach biją kozaków i zabierają im sztandary; to przecież dzielna jazda i dzielny naród ci Polacy...

Księciu Poniatowskiemu, który na ten czas nadjechał powtórzył: właśnie widziałem pańską jazdę pigmejską, muszę mieć 3.000 podobnej...

Przerzucili się Polacy na lewy brzeg Elby, walcząc z potężnymi podjazdami rosyjskimi i pruskimi, uwijającymi się na tyłach Wielkiej Armji. Dzień nie mijał bez walki z przeważającemi najczęściej siłami wroga. Wojsko trzymało się świetnie:

„Pamiętna trudów kampanji 1812, porównując je z życiem dzisiejszem, wojnę prawie za wypoczynek uważali... Żołnierz ufny, karny, niejako dumny był z tego, że idzie na pomoc tym Francuzom, którzy się niedawno za mistrzów uważali i czuł, że niosąc pomoc, trzeba ją nieść szczerą...”

I tak w ciągłych bojach upływał dzień za dniem, a mimo przewagi wroga nieraz garść Polaków decydowała o zwycięstwie...

A więc nad rzeką Muldą nieliczne siły polskie pod wodzą gen. Sokolnickiego powstrzymały posuwanie się naprzód licznego korpusu austriackiego gen. Mohra, narażając go na straty niezmiernie...

Pod Löben huzarzy i ułani polscy pod wodzą Weyssenhoffa uratowali wielki park artylerji francuzkiej.

Pod Peterwalde jazda polska w obliczu cesarza dokonała szarży na masy wroga i wzięła armaty...

Wszędzie, wszędzie dokonywali oni cudów odwagi, jak np. pod Dreznem brygada Weysenhoffa szalonymi atakami odpierała tłumy kozaków, hordy baszkirów, czworobokiem przebijając się przez nawałtę dziczy, z łuków rażące jazdę polską...

Napoleon systematycznie ściągał swe korpusy pod Lipsk, zamierzając tam stoczyć bitwę decydującą o dalszych losach wojny... Naraz zdradziecka kapitulacja marszałka Saint-Cyr, osłaniającego Drezno, zadała mu cios dotkliwy... A wraz za armią jego dostały się do niewoli austriackiej pułki jazdy polskiej, należącej do niej...

Ściągały zastępy Napoleona na pola pod Lipskiem, gdzie miał się rozegrać bój morderczy, rozstrzygający...

Przeciwko trzysta dwudziestotysięcznej armji sprzymierzonej stawał Napoleon ze sto osiemdziesięcio siedmio tysięczną armję zaledwie, uszczuploną jeszcze przed porażką pod Jüterborg i Katzbach...

Arjergarda polska znajdowała się ciągle w ogniu, a w jednej z ciągłych potyczek król Murat i ks. Józef znaleźli się w niebezpieczeństwie, otoczeni ze wszystkich stron przez wrogów; ocaliła ich szarża ułanów, prowadzona przez samego księcia, który przy tej okazji odniósł lekką ranę od spisy kozackiej...

Znów bój w dniu 14 października, zacięty bój pod Liebertwolkwitz, a „we wszystkich tych bitwach

książę Poniatowski okrył się chwałą“, — jak głosił rozkaz dzienny.

Dzień 15 października zajęły przygotowania do stoczenia wielkiej bitwy. Korpusowi polskiemu ks. Józefa wyznaczono stanowisko na skrajnym prawym skrzydle, opartem o bagniste łoża rzeczki Pleissy, z frontem zwróconym ku południowi, rychło jednak był on zmuszony walczyć na dwa fronty, bronić przejścia przez Pleissę, oskrzydlającym oddziałom austriackim...

Przeciwnie lewe skrzydło Wielkiej Armji zajęli również Polacy pod wodzą Dąbrowskiego. Ogółem w tej wielkiej bitwie, słusznie zupełnie nazwanej w dziejach „bitwą narodów“, wzięło udział 16—17.000 żołnierzy polskich, nie licząc szwoleżerów Krasieńskiego i grenadjerów Kurcjusza...

Tegoż dnia z samego rana przybył na prawe skrzydło swej armji cesarz Napoleon i obwieścił wojsku, że mianuje ks. Józefa Poniatowskiego marszałkiem Francji... Wojsko wystąpiło pod broń, aby wysłuchać rozkazu dziennego o tej nominacji; wszystkie sztaby, złączone w deputacji, stawiły się przed ks. Józefem, by powinszować mu buławy marszałkowskiej, niebywałego dotychczas dla cudzoziemca zaszczytu... Generałowie cesarscy przyjęli tę nominację z pełną radością; Murat był zapewne tym, który się o nią upomniał; Macdonald mówił do innych marszałków:

—Podziękujmy cesarzowi, że nas takim jak Poniatowski zaszczycił kolegą...

A ks. Józef?... A Polacy?...

Książę Józef przyjął to wyróżnienie z powinną wdzięcznością, lecz obojętnie zupełnie... Cóż dla niego znaczyła ta nagroda, to wyróżnienie, gdy wiedział, że sprawa polska jest przegrana?... Nie używał też w ciągu paru pozostałych mu dni życia ani razu tego tytułu, podpisując się na wszystkich papierach po prostu: generał — wódz naczelny korpusu VIII.

Uczucia jego dzielili wszyscy Polacy, którym zaszczyt ten wydał się czemś przykrem, niewłaściwym, jakby odszkodowaniem za utraconą Ojczyznę... A przytem, ich zdaniem, podzielanem i przez ks. Józefa, czyż naczelne dowództwo armji polskiej nie było najwyższym zaszczytem wojskowym dla Polaka?...

A nazajutrz, dn. 16 października, zawrzał bój morderczy i zacięty wokoło Lipska... Broniła się armja francuska przed nawałą korpusów austriackich, pruskich i rosyjskich; dokonywała wprost cudów waleczności, wśród grzmotu nieustannego tysiąca armat przeszło, odpierała ataki, rozpraszała wrogów, byle tylko utrzymać się na stanowisku, byle nie ustąpić choć piędzi ziemi...

Nad rzeką Pleissą, na prawem skrzydle atakował korpus polski generał austriacki Marfelt, z którym już Polacy toczyli walki w r. 1809... Mężnie stawiał mu czoło ks. Józef, zbił go doszczętnie i wziął do niewoli, a z nim 2000 jeńców...

Na prawem skrzydle święcono zwycięstwo, okupione coprawda znacznymi stratami w zabitych i rannych. Sam ks. Józef odniósł ranę od kuli w prawą rękę...

Dziękował mu gorąco za to dnia następnego, który był dniem wypoczynku, Napoleon, gradem dekoracji zasypał jego korpus, a ks. Józef prosił go tylko o jedno, ażeby pozostawiono mu dowództwo nad walecznymi zastępami jego i pozwolono nosić mundur polski...

W dniu 18 października wznowiona została bitwa, pierścień wraży zaciskał się coraz ciasniej wokoło Lipska i zamkniętej w nim armji francuskiej... Sędziwy Dąbrowski na czele swej dywizji jak lew walczył pod Haller Thor, bohatercko odpierając napór nawały rosyjskiej pod wodzą Sackena, obronił swą pozycję i cofnął się dopiero na wyraźny rozkaz Napoleona...

Ks. Józef znów, na czele swoich coraz bardziej topniejących szeregów, walczył z korpusem pruskim w południowej stronie miasta pod Probstheidą, szarżą za szarżą odpierając wroga, a nawet zdobywając działa i biorąc jeńców...

W wirze bojowym ks. Józef znów odniósł kontuzję, a szeregi jego stopniały do jakichś półtrzecia tysiąca żołnierzy...

Pomimo szalonych wysiłków, pomimo niezliczonych ofiar, szala zwycięstwa przechyliła się na stronę sprzymierzonych...

W szeregach armji Napoleona, pod wpływem kłębki, szerzyła się zdrada... Opuścili go w czasie bitwy Sasi i Wirtemberczycy, zwracając swój oręż zdradziecko przeciwko niemu... Zamyślali o zdradzie Badeńcy, a przytem na lewem skrzydle wojska zostały rozbite, a amunicja zupełnie wyczerpana...

Przy boku cesarza pozostali wierni mu aż do zgonu Polacy... Pomni na przykazania honoru, szli już teraz na pewną zagładę przy boku tego, który im jasną jutrzenkę wolności ukazał, szli, wiedząc, że nie wrócą już do kraju ojczystego; szli, wiedząc dobrze, że ten, który im odbudować Ojczyznę obiecał, nie może im już ich poświęcenia wynagrodzić, że sam teraz o obronie ziemi swojej przed nawałą wrogów myśleć musi...

Polakom też przeznaczyl w czasie odwrotu swego najniebezpieczniejszy posterunek Napoleon, mianowicie osłanianie wraz z Marszałkiem Macdonaldem tyłów cofającej się armji...

W milczeniu przyjął ks. Józef ten rozkaz ostatni, choć żołnierze jego mdleli ze zmęczenia, zrozpaczeni przegraną...

Przyjął, jakby postanawiając wychylić ten kielich męczarni do dna, jakby składając w ten sposób ostatnią ofiarę za umęczoną Ojczyznę...

Zbudził się mglisty, pochmurny ranek dn. 19 października, gdy wśród gęstych dymów płonących wokoło domów na przedmieściach, zbierały się szczątki piechoty polskiej, by iść w ten bój śmiertelny,

ostatni, już nie o wolność Ojczyzny, już nie o jej odrodzenie, a dla honoru sztandarów swoich, które do czasu tego zachowały bez skazy...

Na czele ich stanął ks. Józef, blady ze zmęczenia, z ran i kontuzji... Smutnym wzrokiem powiódł wódz po tej garści mężnych i zaczął przemawiać do nich, zachęcając do wytrwania, zaklinając w imieniu Ojczyzny, by w tym ostatnim boju godności narodowej nie splamili...

Miał ks. Józef w dn. 19 października tylko ośmiuset ludzi przy sobie, ale nie ustępował. Zapowiedział żonierzom, że trzeba ginąć mężnie i nie myślał już o niczem, jak tylko o tem, aby jak najdłużej utrzymać się wśród gradu kól i nawały nieprzyjacielskiej. Piekło istne szalało wokół szczupłego zastępu Polaków, ale ci nie ustępowali, zagrzewani przez zgorączkowanego, rannego parokrotnie wodza...

Przedwczesne wysadzenie mostu przez oficera francuskiego, oraz zdrada Hessów i Badeńczyków, którzy ostrzeliwać zaczęli oddział polski, zwiększyły jeszcze grozę sytuacji...

„Dostrzeegliśmy, — pisze świadek naoczny, Antoni Ostrowski: ostatki odwrotu Wielkiej Armji, ową garstkę mężnych krakusów polskich, kirasjerów, oficerów od sztabu otaczających wodza, — wszyscy odpierając ciągle natarcia, naprzód posuwali się ku mostowi, z którym co się stało nie wiedzieli, i już wolnej nie

znajdując przeprawę (była to rzecz dwóch minut zaledwie), wpadli do ogrodu, naprzeciw nas o kilkadziesiąt kroków sytuowanego; za nimi tuż postępowała piechota krokiem podwójnym do ataku, z najeżonymi bagnietami, nie szczędząc i strzałów. Byli to Rosjanie i landwera pruska, kozacy, słowem, jakaś pomieszana, pijana, zmasowana przeciw drużyna: kluli, mordowali, kto się tylko nawinął — rozumielśmy, że i dla nas już ostatnia wybiła godzina.“

Jeden z tych ośmiuset, którzy pozostali do ostatniej chwili przy ks. Józefie, L. Tykiell, tak w sześć lat później opisał te straszne godziny:

„Na placu, gdzie się statua królewska wznosi, uszykował Poniatowski w ściśniętej kolumnie większość pozostałego mu wojska, a kilka dział konnych z stosownem zakryciem za rogatkami roztawiwszy, wraca na ów plac zbioru i tamże czeka, póki nieprzyjaciel hasła do boju nie wyda. Tu Poniatowski daje czas wytchnienia zmęczonemu wojsku, a sam podług wrodzonej sobie dobroci, otoczywszy się kołem wiernych towarzyszków, opowiada im, jak wysokie jest przeznaczenie tej małej garstki Polaków: oświadczą, że mając wzgląd na niebezpieczeństwa, na jakie ciągle od dni kilku wojsko polskie wystawione było, przekładał był

Napoleonowi, aby go na nowe nie narażał i przedstawiał, że z ośmiotysięcznego korpusu, który w dniu upłynionym się spotykał, ośmiuset tylko walczących została, ale że na to wszystko, ów dawniej zwyciężający, a teraz pokonany wojownik, odpowiedział: „osiemset walczących więcej znaczy nad osiem tysięcy“, — polskiemu orężowi obronę reszty swej potęgi powierzył. Wiedział Poniatowski, że dosyć jest Polakom otworzyć szranki do boju, aby w nich męstwo rozpałcił; nie potrzebował przeto pochlebiać onychże miłości własnej dla zachęcenia do większej waleczności. Nie dla innej zatem przyczyny powtarzał Poniatowski Polakom pochlebne wyrazy, jak z powodu, iż wszystkich chciał zrobić uczestnikami radości, jaką sam był przejęty, gdy najwyższy naczelnik oddawał hołd słuszny, do jakiego nieustraszone męstwo i wytrwałość nieugięte prawa Polakom dawały...

Kiedy Poniatowski, tak wesołości umysłu wrzekomo daje oznaki, wewnętrznym uczuciom skrycie się powierza, to nad dobrem w mieście pozostać mających Polaków czuwa, przesyłając im z własnej kieszeni pieniężne zasiłki do ogółu bezpieczeństwa przestrzega, to nieprzyjaciela kroki uważa, odleglejszych czat wystrzały głośzą, iż nieprzyjaciel pod mury miasta się podsuwa. Zaledwie zwycięzca raszyń-

ski z oczów stracił Napoleona, wraz zadrżał Lipsk zdumiały, a wśród dymnych kłębow, słońce ćmiących, szczątki wysadzonego mostu w proch się rozpadają. Wraz odwieczna lipa, udzielająca cień Poniatowskiemu, runęła od gromiącego pocisku i przywaliwszy swoim ciężarem jednego z przybocznych Poniatowskiego szeregowych, chmurą śmiertelną oko butnego żołnierza powlekła... Tu postrach, przebiegłszy nadwiślańców szeregi, nigdy śmiercią nieustraszonego Polaka zatrwożył. Poznał każdy całe brzemie niebezpieczeństwa i zadrżał. Nie zajął się nikt wprawdzie o swój własny byt, bo wszyscy wszakże w tyloicznych bitwach krocie dowodów dali, iż zawsze sławę i szczęście Ojczyzny nad własne szczęście przenoszą; ale przeculi w tej chwili niestety, jakby wieszczym duchem natchnieni, jaki los czeka nieodzownie Tego, który im się stał równie drogim, jak Ojczyzna, który sławę imieniowi polskiemu przynosić nie przestawał, i za którego ostatnią kroplę krwi swojej wszyscy przelać gotowi. Poznali, niestety, przytomni walce Polacy, co czeka drogiego im wodza. Ale Poniatowski, jak ów dąb starowieczny, co najgwałtowniejszemu nawet wichrowi zachwiać się nie dozwoli, niczem się nie daje oderwać od powinności wodza Polaków; z zimną krwią szykuje swoich do boju, tam udziela rozkazy, tu czyni rozporządze-

nia do później nastąpić mającego przejścia przez Elsterę...

W tej to chwili, mniemając, że wszystko jest stracone, poważono się radzić Poniatowskiemu, aby złożył broń z swoim wojskiem i, za przykładem sasów, szczęście i sławę Polaków wspaniałomyślności sprzymierzonych monarchów powierzył. Zdumiony Poniatowski taką śmiałością podwładnych, nigdy nie zachmurzone zmarszczył czoło i wyrzekł te wiekopomne słowa: „**Bóg mi powierzył honor Ojczyzny. Jemu Samemu go oddam.**“

Ale pędzi czas, nie umiający spóźniać swoich kroków, ciągnąc za sobą godziny, między innemi i nienawistną Polakom, co śmierć do Poniatowskiego wieździe.

Wzbija się coraz wyżej słońce, a szyki nacieraające coraz bardziej się zbliżają, do mężnie odpierających je Polaków. Niemasz już i kawałka ziemi, coby dwa walczące wojska dzieliła. Już broń polska z bronią nieprzyjacielską ma się stykać, kiedy staje na czele swoich ukochany Poniatowski i dobywszy swego zwycięskiego oręża do otaczających rzecze: „**Dalej, mości panowie! Lepiej umierać walecznymi, niżli żyć shańbionymi!**“ Posłuszni Polacy na głos męstwa, co się usty Poniatowskiego odezwało, zbierają ostatnie siły... Sypie się zewsząd ze świstem śmierć roznoszący ołów na ową garstkę nieustraszonych, roz-

rzędza ze wszech stron szeregi ich z poza miasta przybywający pocisk działowy, wszędzie się krew polska leje potokiem. Pada, jak kwiat podcięty wiosenry, nieodżałowany Malczewski, co nadwiślańcom przewodniczył (zabity przez zdradzieckich Hessów, przyp. aut.), a!e Poniatowski z Polakami z bronią tylko w ręku, bo już z prochu i kul ogołoceni, opierają się mężnie nieprzyjacielowi, ani piędzi krwią polską zbroczonej ziemi zabrać sobie nie pozwalają. Nie dosyć jeszcze na tem. Trupem nieprzyjacielskim zaściela polski oręż pobojuwisko. Wznoszą się coraz wyżej mogiły z nacierającego żołnierza usypane. Po raz ostatni ogląda światło dzienne każdy, ktokolwiek się odważy targnąć na polskie szeregi. Nic jednak najwyższe męstwo Polaków dokazać nie zdoła. Raz w raz powiększa się liczba zwycięzców. Ledwie że jednych oręż polski pokona, już powstały inne zastępy, co z posiłku nadbiegły. A jaknajtwardsza nawet opoka bezprzestannie i licznie bijącym bałwanom oprzeć się nie zdoła, tak Poniatowski, mimo waleczności, godnej Cezara i mimo zupełnego poświęcenia się dla Ojczyzny, nie orężem lecz parciem tysiąckrotnie liczniejszej siły ze stanowiska swojego zepchnięty zostaje. Jeszcze atoli Poniatowski walczyć nie przestawa. Nietylko już jako wódz, ale jako prosty rycerz, każdej stopy ziemi drogo nieprzyjacielowi okupywać się każe aż nakoniec styka się z francuzkiem wojskiem, co w tyle, pod tarczą Polaków spokojnie o swem bezpieczeństwie przemysłwało. Spostrzegłszy Poniatow-

ski wśród hufców nadsekwańskich marszałków, przeznaczonych do wspólnej Lipska obrony, wybiegł naprzeciwko onychże, dla naradzenia się, co w tak stanowczej chwili czynić wypadało.

Poznawszy z obojętnych wyrazów do rady wezwanych marszałków, iż w orężu wodza Polaków wszyscy ocalenia swego wyglądają, w sobie samym znalazł, o co się drugich ze skromności dopytywał...

— „Nacierać trzeba, — wyrzekł: „nacierać“, — przytomni powtarzali, kiedy już Poniatowski, za woławszy na kilkunastu kirasjerów i krakusów: „dzieci! dalej za mną!“ — na nieprzyjaciela się rzucił. Bez wytchnienia ściga uchodzących Poniatowski, niepomny, że krwią własną, co się z rany świeżo otrzymanej sączy, odbytą przez siebie drogę oznacza... Ocalił wprawdzie Poniatowski tak mężnem natarciem rzeczonych marszałków i licznych francuzów, ale za to przyspieszył swoją własną zgubę.

Spostrzegłszy się nieprzyjaciel, jak słaby hufiec Poniatowskiego, tysiącami rzucił się na osłabionego ranami walecznego księcia. Już się nic sprzymierzeńcom oprzeć nie jest w możności, bo już Poniatowski wiał tylko ręką oręż podnosi. Póki jednak ostatnia kropla krwi w jego żyłach płynąć będzie, dopokąd ani oręża nie złoży, ani walczących Polaków nie opuści. Zewsząd cisnąwszy się nieprzyjaciel, co i z tyłu zdradą Lipska od mostu zaskoczył, pcha Poniatowskiego ku nadbrzeżom Pleissy...

Wypełnił Poniatowski, co mu było poruczone,

zasłoniwszy odwrót Francuzów; dokonał nawet więcej, wytrzymał nad wszelkie oczekiwania tak nierówną walkę. Nic mu więc nie pozostawało, jak się połączyć z wojskiem za Elsterą go wyglądającym. Rzucił się więc z resztą pozostałych mu rycerzy i wpław rzekę Pleissę przebył zamyśla. Ale nie przychylnie Polakom losy w tej nawet małej rzeczce Poniatowskiego pogrążyć pragnęły! Zagrzał strudzonej bojem rumak i na dno wody z sobą tak drogiego wodza niezawodnie byłby wciągnął, gdyby nie otaczający Poniatowskiego orszak, a mianowicie z nurtami obeznany adjutant jego, Francuz — kapitan Bleschamps — swemu wodzowi na pomoc nie był pospieszył. Ujrzawszy Poniatowskiego, uratowanym z groźącego niebezpieczeństwa, uradowali się Polacy, :
tem silniej, że się już sądzili być za Elsterą i tem samem cel swojej miłości wolnym w tej chwili od pocisków wroga być mniemali. W pierwszym nawet uniesieniu z oczyma ku niebu wzniesionymi wykrzyknęli:

Nieświadomi, niestety, jak okropne

— Dzięki Ci, Boże! Książę ocalony!...

skiego czekało przeznaczenie.

Z trudy całodziennymi i pasowaniem się z żywiołem, osłabiony Poniatowski, wybrnąwszy z mokrej otchłani, po łączce za Pleissą zieleniejącej, wolnym postępował krokiem.

Widząc Poniatowskiego pieszo, każdy z otaczających oficerów swego konia mu nadstawiał, błagając



jaknajusilniej, by tak słabą ofiarą gardzić nie chciał. Ale żadne prośby nie mogły skłonić Poniatowskiego, by dogadzając własnej potrzebie komubądź trudów przysporzył. Przeciwnie, zamiast pomyślenia o sobie samym, zapomina siebie, a jedynie dobru swoich podwładnych zupełnie się poświęca.

Kiedy tak Poniatowski o dobru wojska przemysliwać nie przestaje, a Polacy zwodniczym omamieniom nadziei się oddają, dowódca inżynierów, co był wysłany na rozpoznanie biegu Elstry, nadjechał i z zadziwieniem przytomnych doniósł, iż znalazł miejsce, któredy Poniatowski i Polacy może przeprowadzić się będą mogli przez Elstrę. Rozpacz zajęła miejsce zawczesnej radości na tak niespodziane doniesienie!

Łzy mimowoli stanęły w oczach przytomnych na widok nowego niebezpieczeństwa, wiszącego nad Poniatowskim.

Poniatowski jeden, niczem nie zachwiany, wsiadłszy przy pomocy otoczenia, na drugiego konia, co mu szczęściem mastelarz nadprowadził, zwolna ku wskazanemu miejscu postępuje, zwołując za sobą polskich wojowników. Ponad brzegiem Elstery przez rozliczne ogrody posuwał się Poniatowski, ścigany przez nieprzyjaciela i już do oznaczonego kresu przybliżał, gdy do otaczających gwałtownie wykrzyknął: „Oto są!“ — wskazując ręką nieprzyjacielskie wojsko, co mu od przodu drogę zabiegło. Ledwie czas mieli przytomni zwrócić oczy w tę stronę, co Poniatowski wskazał, a już książę walczy z Elstrą, w któ-



ra z koniem wskoczył. Rzuca się za nim, krom innych, ów Bleschamps, wołając na towarzyszków: „z brzegu mi pomagajcie!“ Ale próżne usiłowania! Raz tylko jeszcze ukazuje się z głębi nurtów Poniatowski, unoszony przez Bleschamps, i znika na wieki...

Według innej wersji, walcząc o każdą piędź ziemi, ustępowali Polacy z wolna do miasta, księżę Poniatowski sam na czele eskorty swojej, złożonej z krakusów i kirasjerów polskich, uderzał kilkakrotnie na tyraljerów pruskich i przy tej sposobności otrzymał postrzał od kuli karabinowej w rękę. Tymczasem Hesi i Badeńczycy, stojący w mieście, przeszli na stronę sprzymierzonych, grad kul posypał się z tyłu na Polaków i Francuzów. a tyraljerzy z korpusu Sackena dobiegali już do mostu na Pleissie. W tej chwili oficer, mający straż nad mostem, wysadził go w powietrze i odciał jedyną drogę do odwrotu obrońcom miasta...

Parci przez przeważające siły, rażeni nieustającym ogniem ze wszystkich stron, znaleźli się oni nagle przyciśnięci do stromych brzegów wezbranej i błotnistej Pleissy; położenie było rozpaczliwe. Szalona szarża Krakusów odparła raz jeszcze chmury tyraljerów nieprzyjacielskich, wtedy — ulegając prośbom oficerów — rzucił się księżę Józef w nurty Pleissy i z pomocą kapitana sztabu Bléchamps dostał się szczęśliwie na drugą stronę; przed nim była jeszcze głęboka i błotnista odnoga Elstery. Ku niej dążąc pieszo, został księżę raniony po raz drugi w bok kulą

karabinową, odzyskawszy jednak wnet przytomność dosiadł konia, a na zakłęcia otaczających, aby się dał opatrzeć i komendę powierzył innemu generałowi, odrzekł: „Il faut mourir en brave“ — „umrzeć trzeba śmiercią mężnych“, poczem dodał: „Nie, nie, Bóg mi powierzył honor Polaków, Bogu tylko go oddam“... poczem, prowadzony przez oficera inżynierji, rzucił się w nurty Elstery.

Pomimo silnego prądu przepłynął koń wezbraną rzekę, ale nie mógł się już wydostać na brzeg stromy i urwisty. W tej chwili księżę, ugodzony kulą po raz trzeci, zsuwa się z siodła i tonie, kapitan Bléchamps rzuca się za nim, porywa w pół nieprzytomnego, unosi go przez czas jakiś nad powierzchnią wody i ginie z nim razem w spienionych falach.

Otaczający wodza oficerowie, z przerażeniem spoglądający na ten zgon bohatera, osłupieni żalem, dostali się do niewoli, garstka żołnierzy, pozostałych w Lipsku pod wodzą pułkownika Rybińskiego, złożyła broń przed Aleksandrem...

Tak skończył wódz, nie wolny wprawdzie od błędów i ułomności ludzkich, ale wierny aż do grobu sprawie narodowej i tą wytrwałością szlachetną mający winy stryja i grzechy własnej młodości...

Wiadomość o śmierci ks. Józefa przyniósł Polakom, znajdujący się przy głównej armji, o godzinie 11 zrana oficer inżynierów Klemensowski, który szczęśliwie Pleissę i Elsterę przepłynął. Jak gromem rażeni rzucili się oni pod pierwszym wrażeniem ku mostowi w nadziei, że wodza ukochanego uratować jeszcze zdołają. Tu zatrzymał ich jednak marszałek Mortier i skłonił do powrotu.

W niemem milczeniu podążyły szczątki VIII korpusu za orłami napoleońskimi, ale gdy zabrakło wodza, który ich łączył, w umysłach zaczęły się rodzić wątpliwości, a stąd wyniknęły pokątne intrygi i nie-subordynacja...

Napoleon, po otrzymaniu wieści o zgonie ks. Józefa, głęboko był tem przybity, i w biuletynie swoim umieścił następujące słowa: „Niepodobna opisać żalu, jaki cała armja czuje na myśl o księciu Poniatowskim“...

A o wiele później, gdy jako więzień znalazł się na wyspie św. Heleny, rzekł:

„Poniatowski był właściwym królem polskim, łączył wszelkie do tego tytuły i miał wszelkie do tego zdolności. A milczał!“

Gdy wieść o zgonie ks. Józefa dotarła do sprzymierzonych, cesarz Aleksander, otoczony wodzami, wyrzekł do orszaku: — Słyszycie, wódz polski nie żyje!...

A wtedy ks. Schwarzenberg, usłyszawszy to, schwycił się za czoło, mówiąc:

— Ach mój Boże! Ach mój Boże!...

Zwłoki ks. Józefa znalezione zostały w nurtach rzeki w dn. 24 października przez jednego rybaka, od którego odebrał je hr. Potocki, płacąc za pierścienie księcia 100 friedrichsdorów, poczem złożono je w dn. 26 października tymczasowo w sklepniach magistratu miasta Lipska przy kościele św. Jana, na przedmieściu Grimma...

Cały kraj na wieść o zgonie bohatera okryła żałoba, rozpacz przejęła prawie wszystkich i wszędzie odprawiano nabożeństwa żałobne za spokój jego duszy...

Długo opierał się car Aleksander prośbom o pozwolenie sprowadzenia zwłok ks. Józefa do kraju, aż wreszcie po zajęciu Paryża, ażeby zjednać sobie Polaków, zgodził się w dn. 24 maja 1814 r., polecając gubernatorowi Saksonji, ks. Repninowi „wydać wracającemu do ojczyzny wojsku polskiemu ciało księcia Józefa dla pogrzebania z należną czcią w Warszawie.“

W dn. 17 lipca, z honorami wojskowemi, oddanemi przez armję rosyjską, otoczony przez eskortę honorową z 56 oficerów, dawnych towarzyszy broni

ks. Józefa, pod wodzą gen. Sokolnickiego, wyruszył w drogę do Ojczyzny kondukt żałobny...

Przez całą drogę przyjmowano wszędzie kondukt z czcią, odprawiano w świątyniach wszystkich wyznań nabożeństwa żałobne, jedynie na ziemi pruskiej oddziały pruskie nie tylko nie okazywały zwłokom uszanowania, ale nawet pogardę, w najobelżywszych wyrazach spotwarzając cały naród i ks. Józefa...

W dn. 26 lipca stanął kondukt żałobny na granicy polskiej, i odtąd zamienił się, mimo swój charakter pogrzebowy, w jakiś pochód tryumfalny zwłok tego, który do ostatka dzierżył wysoko sztandar honoru narodu...

Powoli posuwał się kondukt przez Polskę, a wsząd zbiegali się ludzie, by nieść ostatnie pożegnanie, tak że dopiero dnia 9 września stanął w Warszawie.

Z monarszym przepychem odbył się pogrzeb nazajutrz i zwłoki bohatera złożono tymczasowo w podziemiach kościoła św. Krzyża...

Tymczasowo, gdyż natychmiast prawie wszczęto starania o przeniesienie zwłok na Wawel, do grobów królewskich.

Po uzyskaniu zgody cara Aleksandra przystąpiono do przygowań i w dn. 16 lipca 1817r. wyruszył książę Józef w ostatni swój pochód pośmiertny by spocząć między królami, którym nie tylko był równy, ale i przewyższał wielu mocą ducha, bohaterstwem i umiłowaniem Ojczyzny...

W dniu 23 lipca 1817r. spoczął wśród grobów królewskich Ten, co naprawdę był królem niepodległego ducha, targającej więzy niewoli Ojczyzny...

Szumi mu tam wierna Wisła nieśmiertelną pieśń o chwale, o honorze i polskim męstwie...

Uczciła Warszawa i Polska całą pamięć bohatera pomnikiem dłuta Thordwalsena, który po nieszczęsnym roku 1831 zabrany do niewoli rosyjskiej, jako łup zwycięzcy, wrócił do wolnej już Ojczyzny w roku 1922, by stanąć na placu, ochrzczoneym imieniem Tego, który Polsce niepodległość wywalczył, by z wzniesienia patrzeć na odrodzone, a okryte już niezmierną chwałą bojową wojsko polskie, które tak gorąco umiłował...

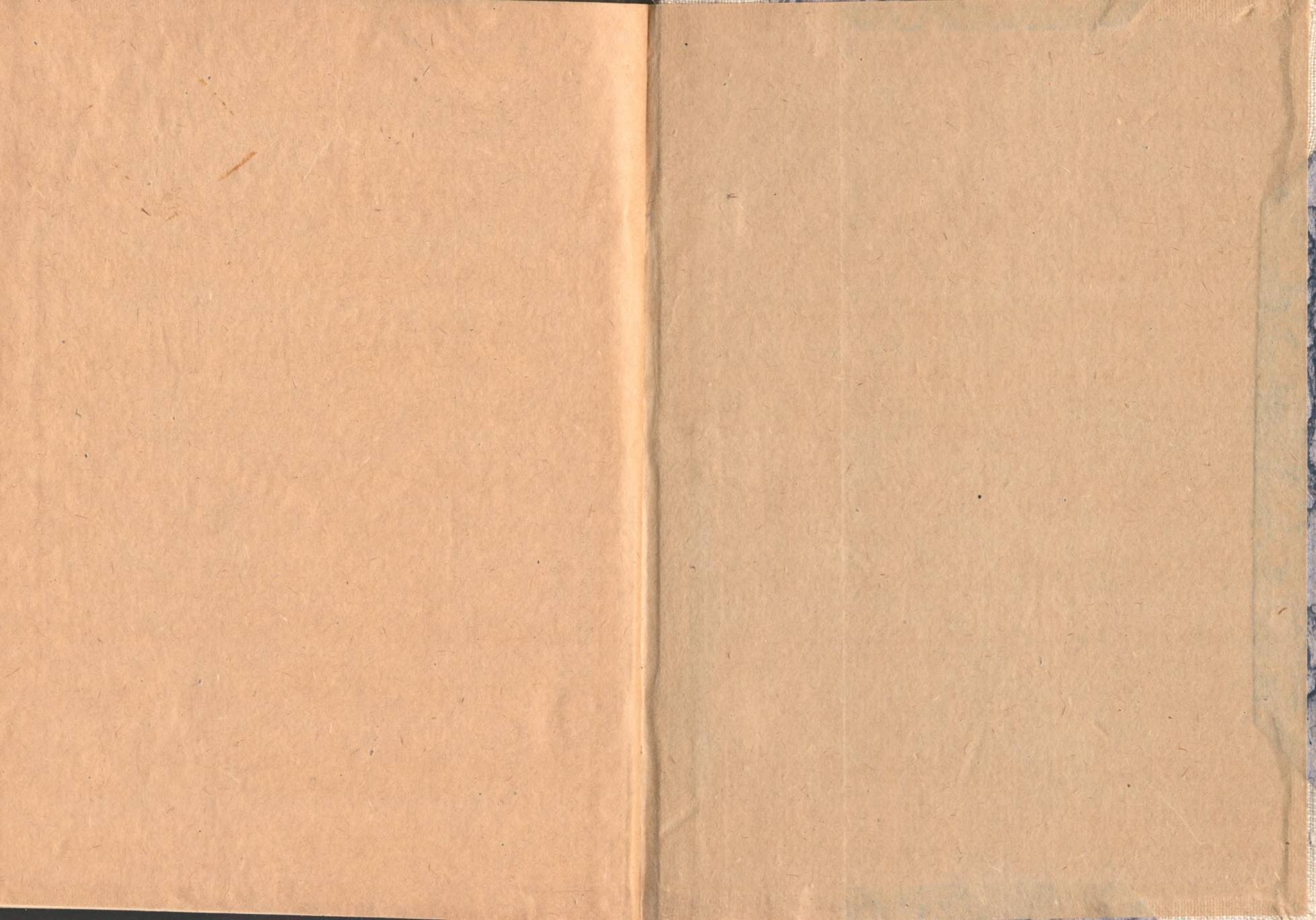
K O N I E C

Centrala Bibliotek Ruchomych
Wydz. Powiatowego
przy Inspektoracie Szkolnym
W CHELMIE

~~Nr. 100, 2563~~







BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA
W CHEŁMIE

CZYTELNIA

JEZ

KSI

929